

Agatha Christie

Wigilia Wszelkich Świętych

Przełożył Krzysztof Masłowski

Tytuł oryginału Hallowe'en Party

Rozdział pierwszy

Pani Ariadna Oliver i Judith Butler — goszcząca ją przyjaciółka — przysły pomóc w przygotowaniach do dziecięcego przyjęcia, które miało odbyć się tego wieczoru.

Trafiły na moment chaotycznej krzątaniny. Zaaferowane kobiety biegały we wszystkie strony, przesuając krzesła, małe stoliki i wazony z kwiatami. Przynosiły olbrzymie ilości żółtych dyń i umieszczały je w wybranych miejscach.

Miało to być przyjęcie w wieczór Halloween dla gości w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat.

Pani Olivier stanęła z boku. Schyliła się, uniosła wielką żółtą dynię i przyglądała się jej krytycznie.

— Ostatni raz widziałam je w Stanach Zjednoczonych — stwierdziła, odgarniając siwe włosy z wysokiego czoła. — Były ich setki. Wypełniały cały dom. Nigdy przedtem nie widziałam tylu dyń. Właściwie — dodała w zamyśleniu — nigdy nie odróżniałam dyni od kabaczka. Co to jest?

— Przepraszam, moja droga — powiedziała pani Butler, potykając się o jej nogę.

Pani Oliver przylgnęła do ściany.

— Moja wina — rzekła. — Stoję w przejściu i przeszkadzam. Jednak warto było zobaczyć taką obfitość dyń, czy też kabaczków, cokolwiek to było. — Były wszędzie — w sklepach, w domach, ze świecami lub żaróweczkami w środku, czy też porozwieszanymi na sznurkach. Ale to było Święto Dziękczynienia, nie Halloween. Teraz dynie kojarzą mi się zawsze z Halloween, a to koniec października. Święto Dziękczynienia jest znacznie później, prawda? Chyba gdzieś w trzecim tygodniu listopada? Tak czy inaczej, Halloween mamy na pewno trzydziestego pierwszego października. Najpierw Halloween, a co potem? Wszystkich Świętych? To wtedy w Paryżu chodzi się na cmentarze i składa kwiaty na grobach. To wcale nie jest smutne święto — dzieci też biorą w nim udział i lubią je. Najpierw idzie się na targ i kupuje mnóstwo pięknych kwiatów. Kwiaty nigdzie nie wyglądają tak pięknie jak na paryskich targach...

Co chwila któraś z biegających kobiet wpadała na panią Oliver, ale nie słuchały tego, co mówiła. Były zbyt zajęte.

Przeważnie były to matki, ale znalazło się również kilka znających się na rzeczy starych panien. Pomagały nastolatki; szesnasto-, siedemnastoletni chłopcy wspinali się na drabiny lub wchodzili na krzesła, mocując na właściwej wysokości dekoracje — dynie, kabaczki i jaskrawo malowane kule czarnoksiężskie. Kilkunastoletnie dziewczęta tłoczyły się w niewielkich grupach, żartując i chichocząc.

— A po Wszystkich Świętych i cmentarzach — ciągnęła dalej pani Oliver, siadając na poręczy

kanapy — mamy Zaduszki. Chyba się nie mylę?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie. Wydająca przyjęcie pani Drake, przystojna kobieta w średnim wieku, ogłosiła:

— Choć dziś jest rzeczywiście Hallowe'en, nie nazywam tak naszego przyjęcia. Jest to przyjęcie „Eleven Plus”*. Decyduje o profilu dalszej nauki. — większość naszych gości to właśnie te dzieci, które zakończyły kształcenie elementarne i idą do innych szkół.

— Niezbyt właściwa nazwa, Roweno — wtrąciła z dezaprobatą panna Whittaker, poprawiając na nosie pince-nez. — Przecież już zniesiono ten egzamin.

Panna Whittaker, miejscowa nauczycielka, była zawsze pewna swoich racji.

Pani Oliver podniosła się z kanapy i powiedziała ze skruchą: — Nie było ze mnie dotąd pożytku. Siedziałam, opowiadając głupoty o dyniach i kabaczkach. — Prostując nogi i odpoczywając, pomyślała z lekkim wyrzutem sumienia, jednak niewystarczająco silnym, aby głośno się do niego przyznać. — Co mogę teraz zrobić? — spytała, dodając: — Jakie wspaniałe jabłka!

Akurat ktoś wniósł do pokoju wielką misę jabłek. Pani Oliver przepadała za jabłkami.

— Są tak cudownie rumiane — dodała.

— Nie są zbyt smaczne — zauważyła Rowena Drake — ale wyglądają pięknie i nadają się do łapania zębami w wodzie. Są raczej miękkie i będzie można łatwo je ugryźć. Weź je do biblioteki, Beatrice, dobrze? Chwywanie jabłek zębami to zawsze okropny bałagan, rozchlapuje się przy tym mnóstwo wody, ale w bibliotece nie ma to znaczenia, bo dywan i tak jest stary. O! Dziękuję, Joyce.

Joyce, krzepka trzynastolatka, przytrzymała miskę z jabłkami. Dwa potoczyły się i, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zatrzymały u stóp pani Oliver.

— Pani lubi jabłka, prawda? — powiedziała Joyce. — Czytałam o tym, a może słyszałam w telewizji. To pani pisze opowiadania o morderstwach, tak?

— Tak — odparła pani Oliver.

— Powinniśmy namówić panią do zrobienia czegoś, co by wyglądało na zbrodnię. Żeby na przyjęciu było morderstwo i żeby ludzie musieli znaleźć winnego.

— Nie, dziękuję, nigdy więcej — odpowiedziała pani Oliver.

— Co to znaczy nigdy więcej?

— No cóż. Już raz to zrobiłam, ale nie wypadło to najlepiej — odparła pani Oliver.

— Ale napisała pani dużo książek i zarobiła na nich dużo pieniędzy, tak?

— O tyle o ile. — Jej myśli podążyły w kierunku Izby Skarbowej. — I ma pani detektywa, który jest Finem.

Pani Oliver przytaknęła Mały, flegmatyczny chłopiec, który, jak sądziła, nie osiągnął jeszcze poważnego wieku jedenastu lat, spytał surowo:

— Dlaczego Finem?

— Często sama się nad tym zastanawiam — odpowiedziała szczerze.

Ciężko posapując, weszła do pokoju pani Hargreaves, żona organisty. Przyniosła wielkie, zielone plastikowe wiadro.

— Chyba będzie dobre do chwytania jabłek? Uważam że świetnie się nadaje.

— Lepsze byłoby ocynkowane — powiedziała panna Lee, aptekarka. — Nie przewróci się tak łatwo. Pani Drake, gdzie pani zamierza to urządzić?

— Myślę, że do chwytania jabłek zębami najlepsza będzie biblioteka. Mamy tam stary dywan, a zawsze wylewa się przy tym tyle wody.

— Dobrze. Bierzmy to wszystko. Roweno, tu jest jeszcze jeden kosz jabłek.

— Pozwólcie mi pomóc — powiedziała pani Oliver.

Podniosła dwa jabłka leżące u jej stóp. Niemal odruchowo wbiła zęby w jedno z nich i zaczęła gryźć. Pani Drake zdecydowanym ruchem odebrała jej drugie i umieściła w koszyku. Rozmowa ucichła.

— Tak, ale gdzie urządzimy konkurs płonących rodzynek?

— Najlepiej w bibliotece, to najciemniejszy pokój.

— Nie. Myśleliśmy o stołowym.

— Będziemy musieli najpierw położyć coś na stole.

— Jest zielone sukno i cerata do przykrycia.

— A co z czarodziejskimi zwierciadłami? Czy rzeczywiście zobaczymy w nich swoich mężów?

Pani Oliver usunęła się ukradkiem i wciąż gryząc jabłko, usiadła ponownie na kanapie, spoglądając krytycznie na zatłoczony pokój.

„Gdybym tak chciała opisać tych ludzi, jak powinnam to zrobić? Wydają się mili, ale kto wie?” — jej pisarski umysł nie próżnował.

Przy okazji pomyślała, że to fascynujące — nic o nich nie wiedzieć. Wszyscy mieszkają w Woodleigh Common. Z tego, co mówiła jej Judith, zapamiętała coś niecoś o niektórych. Panna Johnson ma coś wspólnego z kościołem, ale chyba nie jest siostrą wikarego. Ach nie — jest siostrą organisty. Rowena Drake zdaje się rządzić w Woodleigh Common. Wyjątkowo wstrętne plastikowe wiadro przyniosła jakaś ciężko posapująca kobieta. Pani Oliver nigdy nie lubiła plastikowych przedmiotów. Ponadto są dzieci — kilkunastoletni chłopcy i dziewczęta. Dla pani Oliver byli wciąż tylko imionami: jakaś Nań, jakaś Beatrice, Cathie, Diana i Joyce — zarozumiała i zadająca mnóstwo pytań. Pomyślała, że jej nie lubi. Wysoka i chyba wyróżniająca się spośród reszty dziewczyna, nazywana Anną. Wreszcie dwóch nastoletnich chłopców wypróbowujących, z mizernymi rezultatami, różne style uczesania.

Wszedł mały, nieco zawstydzony chłopiec.

— Mama przysłała lustra, żeby zobaczyć, czy będą dobre — powiedział lekko zdyszany.

Pani Drake wzięła je od niego.

— Dziękuję ci, Eddy.

— Wyglądają jak zwykłe podręczne lusterka — zauważyła dziewczyna nazywana Anną. — Czy rzeczywiście zobaczymy w nich twarze naszych przyszłych mężów?

— Jedne zobaczą, inne nie zobaczą — odpowiedziała Judith Butler.

— Czy pani kiedykolwiek widziała twarz swojego męża na przyjęciu — myślę o takim przyjęciu jak to?

— Oczywiście, że nie widziała — stwierdziła Joyce.

— Mogła widzieć — powiedziała z wyższością Beatrice. — Nazywaj ą to PPZ. Poznanie ponadzmysłowe — dodała tonem wyrażającym zadowolenie ze znajomości modnych określeń.

— Czytałam jedną z pani książek — powiedziała Anna, zwracając się do pani Oliver. — *Umierająca złota rybka*. Całkiem niezła — dodała uprzejmie.

— Nie podobała mi się — stwierdziła Joyce. — Za mało krwi. Lubię, gdy krew leje się obficie.

— Nie sadzisz, że to paskudne? — spytała pani Oliver.

— Ale ekscytujące — odpowiedziała Joyce.

— Niekoniecznie — odrzekła pani Oliver.

— Kiedyś widziałam morderstwo — stwierdziła Joyce.

— Nie bądź głupia, Joyce — rzuciła panna Whittaker, nauczycielka.

— Widziałam — twierdziła z uporem.

— Naprawdę? — spytała Cathie, spoglądając na Joyce szeroko otwartymi oczyma. — Rzeczywiście, naprawdę widziałaś morderstwo?

— Oczywiście, że nie — powiedziała pani Drake. — Nie mów głupstw, Joyce.

Stojący na drabinie siedemnastoletni chłopak spojrział w dół z zainteresowaniem.

— Jakie morderstwo? — spytał.

— Nie wierzę w to — powiedziała Beatrice.

— Pewnie, że nie — dodała matka Cathie. — Coś tam wymyśliła.

— Nieprawda. Widziałam.

— Dlaczego nie poszłaś na policję i nie powiedziałaś? — spytała Cathie.

— Ponieważ wtedy nie wiedziałam, że to morderstwo. Zrozumiałam to dopiero dużo później. Ktoś coś powiedział miesiąc lub dwa miesiące temu i wtedy przyszło mi na myśl, że widziałam morderstwo.

— Widzisz, że ona fantazjuje. Przecież to nonsens.

— Kiedy to się zdarzyło? — spytała Beatrice.

— Rok temu — powiedziała Joyce. — Byłam wtedy jeszcze mała — dodała.

— Kto kogo zabił? — dopytywała się Beatrice.

— Nie powiem nikomu z was — stwierdziła. — Jesteście tacy okropni.

Panna Lee weszła, niosąc wiadro innego typu. Zmieniono temat i zaczęto porównywać wiadra i plastikowe kubły, szukając najbardziej odpowiedniego do zabawy z chwytnymi jabłkami zębami. Większość pomocników udała się do biblioteki, aby ocenić rzecz na miejscu. Najmłodsi pałali chęcią wypróbowania stopnia trudności i wykazania się własną sprawnością. Mokre włosy i kałuże wody wymagały wytarcia. Posłano po ręczniki. W końcu zdecydowano, że lepsze będzie wiadro ocynkowane. Plastikowe, choć wyglądało piękniej, przewracało się zbyt łatwo.

Pani Oliver przyniosła i postawiła misę z jabłkami, aby uzupełnić zapasy na jutro. Tak jak poprzednio, wzięła jedno.

— Czytałam w gazecie, że pani bardzo lubi jabłka — usłyszała oskarżycielski głos Anny lub Susan; nie była pewna, do której z nich ów głos należał.

— To moja nieuleczalna wada — przyznała pani Oliver. — Z melonami byłaby lepsza zabawa —

stwierdził jeden z chłopców. — Są bardziej soczyste. Pomyślcie, ile byśmy nabrudzili — dodał, patrząc na dywan i ciesząc się na samą myśl o tych możliwościach.

Pani Oliver, czując się publicznie oskarżona o łakomstwo, opuściła pokój, szukając szczególnego pomieszczenia, którego położenie zwykle łatwo ustalić. Weszła na schody i skręcając na półpiętrze, natknęła się na parę, ciasno splecioną ramionami i opartą o drzwi, za którymi — tego była pewna — mieścił się przybytek, którego szukała. Para nie zwracała na nią uwagi. Wzdychali i tulili się do siebie. Zainteresowało ją, w jakim są wieku. Chłopiec miał może piętnaście lat, dziewczyna nieco więcej niż dwanaście, lecz jej wyraźnie już zarysowane piersi wskazywały na pewną dojrzałość.

Jabłonki były dużym domem. Miał kilka przytulnych kątów i kącików. Ludzie są okropni, pomyślała pani Oliver. Nie zważają na innych. Przypomniała sobie tę starą prawdę. Mówiły jej o tym po kolei niańka, bona, guwernantka, babka, dwie ciotko-babki, matka i jeszcze parę innych osób.

— Przepraszam — powiedziała głośno i wyraźnie. Chłopak i dziewczyna przywarli do siebie ciaśniej niż poprzednio, wpijając się w siebie wargami.

— Przepraszam — powtórzyła. — Czy moglibyście mnie przepuścić? Chciałabym się dostać do tych drzwi.

Para rozdzieliła się niechętnie. Patrzyli na nią zagniewani. Weszła, zatrzasnęła drzwi i zamknęła na zasuwkę.

Drzwi nie były dobrze dopasowane i usłyszała z zewnątrz ściszone słowa.

— Ludzie są okropni — mówił głos niepewnym tenorem. — Nietrudno chyba zgadnąć, że nie chcemy, aby nam przeszkadzano.

— Ludzie są tak samolubni — przyłączył się głos dziewczyny. — Nigdy nie myślą o innych, tylko o sobie.

— Tak, nigdy nie zważają na innych — odpowiedział głos chłopca.

ROZDZIAŁ drugi

Przygotowania do dziecięcego przyjęcia zawsze sprawiały organizatorom więcej kłopotu niż przygotowanie zabawy dla dorosłych. Dobre jedzenie, pokrzepiające trunki i postawione gdzieś z boku napoje chłodzące — to zestaw wystarczający do zorganizowania dobrej imprezy. Koszta mogą być większe, ale kłopotów jest bez wątpienia znacznie mniej. W tej kwestii Ariadna Oliver i jej przyjaciółka Judith Butler całkowicie się zgadzały.

— A co powiesz o przyjęciu dla młodzieży? — spytała Judith. — Nie znam się zanadto na tym — odpowiedziała pani Oliver.

— Z jednej strony — rzekła Judith — jest z tym chyba najmniej kłopotu. Oni po prostu wyrzucają wszystkich dorosłych za drzwi i mówią, że sami dadzą sobie radę.

— I rzeczywiście sobie dają?

— Nie tak, jak my to rozumiemy — odparła Judith. — Zapominają zamówić wiele rzeczy, a sprowadzają inne, których nikt później nie chce. Wyrzucając nas za drzwi, wypominają nam, czego zapomnieliśmy im dostarczyć. Tłuką dużo szkła, niszczą mnóstwo rozmaitych rzeczy i zawsze znajdzie się wśród nich ktoś niepożądany lub taki, który przyprowadzi niepożądanego znajomego. Wiesz, co mam na myśli. Te różne narkotyki — jak oni je nazywają? — maryśka, hasz i LSD, które w moim przekonaniu zawsze były drogie, ale najwyraźniej nie miałam racji.

— No, podejrzewam, że jednak trochę kosztują — zasugerowała Ariadna Oliver.

— Są bardzo nieprzyjemne, a haszysz śmierdzi okropnie.

— Wszystko to bardzo przygnębiające — stwierdziła pani Oliver.

— W każdym razie, to przyjęcie minie spokojnie. Możemy polegać na Rowenie. Jest wspaniałą organizatorką. Zobaczysz.

— Nie sadzę, abym miała ochotę przyjść na przyjęcie — westchnęła pani Oliver.

— Przyjdiesz i posiedzisz z godzinę. Popatrzysz. Na pewno ci się spodoba. Mam nadzieję, że Miranda nie dostanie gorączki. Biedne dziecko tak przeżywa, jeśli nie może przyjść.

Przyjęcie miało się zacząć o wpół do ósmej. Ariadna stwierdziła, że przyjaciółka miała rację. Goście zjawiali się punktualnie. Wszystko przebiegało wspaniale — było dobrze pomyślane, dobrze prowadzone i działało jak w zegarku. W domu było pełno żółtych dyń, a na schodach płonęły czerwone i niebieskie światełka. Chłopcy i dziewczęta przynieśli na konkurs udekorowane kije od mioteł. Po powitaniach Rowena Drake przedstawiła program wieczoru:

— Najpierw konkurs udekorowanych kijów. Trzy nagrody: pierwsza, druga i trzecia. Potem krojenie ciasta w małej oranżerii. Następnie chwytanie jabłek zębami; lista uczestników jest już wywieszona. Wreszcie tańce. Po każdym zgaszeniu świateł zmieniacie partnerów. Potem dziewczęta dostaną lusterka w małym gabinecie. W końcu kolacja, chwytanie płonących rodzynek i rozdanie nagród.

Jak na wszystkich przyjęciach, początek był dość niemrawy. Podziwiano miotły — były to właściwie miniaturki mioteł z dekoracjami na niezbyt wysokim poziomie artystycznym.

— Tym lepiej — mówiła pani Drake na stronie do kogoś ze swoich przyjaciół. — Zawsze jest jedno lub dwoje dzieci, o których wiadomo, że nic nie zdobędą w innych konkurencjach, więc można będzie tutaj trochę oszukać.

— Tak bez skrpułów, Roweno?

— Niezupełnie. Zorganizuję to tak, aby wszystko było rozdzielone sprawiedliwie i po równo. Rzecz w tym, aby każdy coś wygrał.

— Co to za gra z mąką? — spytała pani Oliver.

— A tak, oczywiście, pani nie było, kiedy robiliśmy to poprzednio. Napęlamy kubek mąką i dobrze ją ubijamy. Odwracamy do góry nogami na tacy, zdejmujemy kubek, a na wierzchu umieszczamy sześciopensówkę. Potem wszyscy ostrożnie ścinają plasterki, uważając, aby nie zrzucić monety. Kto ją zrzuci, odpada. Taki rodzaj eliminacji. Oczywiście ostatni bierze sześciopensówkę. Chodźmy już.

Z biblioteki dochodziły podniecone piski. Odbywało się tam wyławianie jabłek zębami. Zawodnicy wracali z mokrymi włosami i ubraniami przesiąkniętymi wychlapaną wodą.

Wśród dziewcząt największą popularnością cieszyła się wiedźma, zjawiająca się tradycyjnie na Halloween. Grała ją z powodzeniem pani Goodbody, miejscowa sprzątaczką, obdarzona przez naturę niezbędnym haczykowatym nosem i niemal stykającym się z nim podbródkiem. Z godną podziwu wprawą straszliwie chrypiącym głosem wypowiadała magiczne frazy poskładane w nieudolne rymy.

— A teraz podejdź ty. Masz na imię Beatrice, prawda? Tak, Beatrice. Bardzo ładne imię. Chciałabyś się dowiedzieć, jak będzie wyglądał twój przyszły mąż? Teraz, moja droga, usiądź tutaj. Tak, tak, pod tym światłem. Siadaj tutaj i trzymaj w ręku lusterko. Ujrzysz go, gdy światła zgasną. Ujrzysz, kiedy zajrzy ci przez ramię. Trzymaj zwierciadło nieruchomo.

Hokus — pokus, kto tam jest?

Chłopcze miły ukaż się!

Lustreczko męża chowa,

Beatrice niech się podoba.

Nagły błysk światła przebiegł przez pokój ze szczytu drabiny ukrytej za zasłoną. W prawym kacie pokoju oświetlił punkt, który odbił się w lustrze trzymanym w zaciśniętej dłoni podekscytowanej Beatrice.

— O! Widzę go! — krzyknęła Beatrice. — Widzę go! Widzę go w lusterku!

Promień zgasł, światła się zapaliły i kolorowa fotografia, przyklejona do kartonika, spłynęła w dół spod sufitu. Podniecona Beatrice zatańczyła wokół.

— To był on! To był on! Widziałam go! — krzyczała. — Miał wspaniałą rudą brodę.

Podbiegła do pani Oliver, stojącej najbliżej.

— Niech pani spojrzy. Niech pani spojrzy. Czyż nie wygląda cudownie? Jest podobny do piosenkarza Eddiego Presweighta. Prawda?

Pani Oliver nie sądziła, aby był podobny do którejkolwiek z tych godnych ubolewania twarzy, oglądanych codziennie w porannych gazetach. Broda, pomyślała, jest znamieniem geniuszu.

— Skąd się to wszystko bierze? — spytała.

— Och, Rowena poprosiła o to Nicky'ego. Pomógł jego przyjaciel, Desmond, który sporo eksperymentuje z fotografią. Ucharakteryzował się wraz z kilkoma chłopakami, poprzyczepiali wielkie czupryny, bokobrody, brody i coś tam jeszcze. Odpowiednio oświetleni wprawiają dziewczyny w zachwyty.

— Nie mogę powstrzymać się od refleksji — stwierdziła Ariadna Oliver — że dzisiejsze dziewczęta są bardzo głupie.

— Nie sądzi pani, że takie były zawsze? — spytała Rowena Drake.

Pani Oliver zastanowiła się.

— Chyba ma pani rację — przyznała.

— A teraz kolacja — krzyknęła pani Drake.

Kolacja była wspaniała. Świetne torty lodowe, pikantne przystawki, kraby, przekąski z sera i orzechów. Nastolatki z entuzjazmem napychały brzuchy.

— A teraz — powiedziała Rowena — ostatni punkt wieczoru, płonące rodziniki. Ale najpierw nagrody.

Kiedy prezentowano nagrody, rozległ się żaloszny głos ducha śmierci. Dzieci pognały przez hol z powrotem do jadalni.

Jedzenie było już uprzątnięte. W poprzek stołu położono zielone sukno, na którym pojawił się

wielki półmisek z płonącymi rodzynekami. Wszyscy rzucili się do stołu i chwytając je, krzyčili: „Och, sparzyłem się! Czy to nie wspaniałe?” Stos płonących rodzynek powoli topniał błyskając. Zapłonęły światła. Przyjęcie było skończone.

— Pełne powodzenie — stwierdziła Rowena.

— Tak musiało być. Włożyłaś w to wiele wysiłku.

— Było wspaniałe — stwierdziła Judith spokojnie. — Wspaniałe. A teraz — dodała żałośnie — musimy posprzątać. Nie możemy tym biednym kobietom zostawić wszystkiego na jutro rano.

Rozdział trzeci

W pewnym londyńskim mieszkaniu zadzwonił telefon. Właściciel mieszkania, Herkules Poirot, poruszył się na krześle. Owładnęło nim rozczarowanie. Jeszcze przed podniesieniem słuchawki wiedział, co oznacza ten dzwonek. Jego przyjaciel Solly, z którym zamierzał spędzić kolejny wieczór na roztrząsaniu nie kończącego się sporu o to, kto był rzeczywistym sprawcą morderstwa w Łażniach Miejskich przy Canning Road, dzwoni, aby zawiadomić, że nie może przyjść. Poirot, który zebrał kilka drobnych dowodów na poparcie swojej dość swobodnej teorii, był bardzo niezadowolony. Nie sądził, aby Solly zaaprobował jego sugestie. Nie wątpił natomiast, że gdy Solly roztoczy swoje fantastyczne rojenia, on z łatwością zniszczy je w imię czystości myślenia, logiki i systematycznego podejścia. Byłoby w najwyższym stopniu nie na miejscu, gdyby Solly nie przyszedł dzisiejszego wieczoru. Ale prawdą jest, że gdy spotkali się w ciągu dnia, Solly był mocno zakatarzony i w strząsał nim silny, głęboki kaszel.

— Strasznie się przeziębiał — rzekł Herkules Poirot — i nawet pomimo lekarstw, które mam pod ręką, mógłby mnie zarazić. Lepiej, że nie może przyjść. *Tout de meme* * — dodał z westchnieniem — oznacza to, że przyjdzie spędzić nudny wieczór.

Ostatnio wiele wieczorów jest nudnych, rozmyślał dalej Herkules Poirot. Jego umysł, wspaniały jak zawsze (tego faktu i nigdy nie ośmieliłby się poddać w wątpliwość), potrzebował i zewnętrznej podniety. Wspaniały detektyw nigdy nie miał umysłu filozofa. Czasami prawie żałował, iż nie poszedł na studia teologiczne, zamiast wstępować w młodości do policji. Jak wspaniałe byłoby rozważać, ile aniołów może tańczyć na czubku szpilki i prowadzić na ten temat dysputy z kolegami. Do pokoju wszedł służący, George.

— To był, proszę pana, pan Solomon Levy.

— Ach tak — rzekł Herkules Poirot.

— Bardzo żałuje, ale nie może przyjść dziś wieczorem. Ma straszną grypę i leży w łóżku.

— Nie ma żadnej grypy, tylko silne przeziębienie — powiedział Herkules Poirot. — Wszyscy zawsze sądzą, że mają grypę. To brzmi poważniej i wzbudza współczucie. Przeziębienie i katar nie pozwalają zebrać odpowiedniego żniwa współczucia wśród przyjaciół.

— W każdym razie nie przyjdzie tutaj, proszę pana — stwierdził George. — Te przeziębienia są bardzo zaraźliwe. Nie byłoby dobrze dla pana zarazić się czymś takim.

— To skazałoby mnie na straszliwą nudę — zgodził się Poirot. Telefon zadzwonił ponownie.

— Kto się teraz przeziębiał? Nie zapraszałem nikogo więcej. — George podszedł do telefonu.

— Odbiorę tutaj — rzekł Poirot. — Nie ma wątpliwości, że to nic ciekawego. Może jednak zajmie

mi trochę czasu — dodał, wzruszając ramionami. — Kto wie?

— Dobrze, proszę pana — powiedział George, wychodząc z pokoju.

Poirot wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

— Mówi Herkules Poirot — rzekł z wielkopańską manierą, aby zrobić wrażenie na tym kimś, kto był po drugiej stronie linii.

— To cudownie — usłyszał rozgorączkowany kobiecy głos, nieco zniekształcony przez zadyszkę. — Byłam pewna, że pan wyszedł, że pana nie ma.

— Dlaczego tak pani sądziła? — spytał Poirot. — Ponieważ nie mogę powstrzymać się od myśli, że w dzisiejszych czasach wszystko staje nam na przeszkodzie. Potrzebuje pan kogoś natychmiast, czuje pan, że nie może pan czekać dłużej, i musi pan czekać. Musiałam odnaleźć pana natychmiast, absolutnie natychmiast.

— Ale kim pani jest? — spytał Herkules Poirot. Kobiecy głos wyraził zdumienie.

— Nie wie pan? — zabrzmiało niedowierzająco.

— Już wiem — odpowiedział Herkules Poirot. — Jest pani moją przyjaciółką Ariadną.

— I jestem w strasznym stanie — dodała Ariadna.

— Tak, tak. Słyszę to. Czy pani biegła? Jest pani tak zadyszana?

— Nie biegłam. To podniecenie. Czy mogę przyjść i zobaczyć się z panem natychmiast?

Poirot zwlekał przez moment z odpowiedzią. Jego przyjaciółka, pani Oliver, była, zdaje się, bardzo podekscytowana. Cokolwiek było tego powodem, mogłaby bez wątpienia spędzić wiele czasu, wylewając swe złości, zgryzoty i frustracje, i co tam jeszcze jej dolegało. Jeżeli wpuści ją raz do swego domu, będzie miał trudności z pozbyciem się jej w sposób delikatny i grzeczny. Tak wiele rzeczy oburzało panią Oliver, że należało być ostrożnym w rozpoczynaniu z nią dyskusji.

— Czy coś panią poruszyło?

— Tak. Oczywiście, że jestem wzburzona. Nie wiem, co robić. Nie wiem, och, nic nie wiem. Czuję, że muszę przyjść i opowiedzieć panu, co się zdarzyło, bo jest pan jedyną osobą, która może wiedzieć, co z tym począć. Kto mógłby mi powiedzieć, co mam zrobić? A więc, czy mogę przyjść?

— Ależ oczywiście, oczywiście. Będę uszczęśliwiony pani wizytą.

Po drugiej stronie słuchawka opadła na widełki. Poirot wezwał George'a. Zastanawiał się kilka minut i wreszcie zamówił napój słodowy, cytrynę i szklanekę brandy dla siebie.

— Pani Oliver będzie tutaj mniej więcej za dziesięć minut — powiedział.

George wyszedł. Powrócił z brandy dla Poirota, co zostało przyjęte pełnym satysfakcji skinieniem głowy, i udał się po bezalkoholowy napój dla pani Oliver, jedyny, jaki mógł jej smakować. Poirot pociągnął delikatnie łyk brandy, przygotowując się na czekającą go ciężką próbę.

— Szkoda — mruknął do siebie — że jest taka zwariowana. Poza tym ma oryginalny sposób myślenia. Może te jej rewelacje dadzą mi trochę rozrywki. Ale jest też możliwe — zastanowił się przez chwilę — że zajmie mi większość wieczoru jakąś straszliwą głupotą. *Eh bien*, w życiu trzeba ryzykować.

Rozległ się dzwonek — tym razem przy drzwiach wejściowych. Nie było to lekkie naciśnięcie na guzik. Ktoś trzymał przycisk dłużej czas, robiąc wiele hałasu.

— Na pewno jest wzburzona — stwierdził Poirot. Usłyszał George'a idącego do drzwi i otwierającego je.

Nie mogło być mowy o oficjalnym zaanonsowaniu. Drzwi saloniku otworzyły się i do środka wpadła Ariadna Oliver, ciągnąc za sobą George'a, uwieszona na czymś, co wyglądało na nieprzemakalną pelerynę rybacką.

— Co, na Boga, ma pani na sobie? — spytał Herkules Poirot. — Proszę pozwolić George'owi, aby zdjął to z pani. Jest bardzo mokre.

— Oczywiście, że jest mokre — powiedziała pani Oliver. — Na zewnątrz bardzo pada. Nigdy przedtem nie myślałam o wodzie. Myśl o niej może być straszna.

Poirot spojrzał na przyjaciółkę z zainteresowaniem.

— Czy pozwoli pani podać sobie nieco cytrynowego napoju słodowego? — zapytał. — A może namówię panią na szklaneczkę *eau de vie*?*

— Nienawidzę wody — odpowiedziała pani Oliver. — Nie sądziłam nawet, co może spowodować, i w ogóle... Poirot spojrzał, teraz już zaskoczony.

— Moja droga przyjaciółko — rzekł, podczas gdy służący uwalniał j ą ze sztywnych fałd nieprzemakalnej materii — wejdź, usiądź i pozwól George'owi ostatecznie uwolnić się od... Cóż pani właściwie nosi na sobie?

— Dostałam to w Kornwalii — odpowiedziała pani Oliver. — Nieprzemakalny materiał. Prawdziwy nieprzemakalny płaszcz rybacki.

— Nie wątpię, że bardzo odpowiedni dla rybaka — zauważył Poirot — ale chyba nie dla pani. Zbyt ciężki do noszenia. Ale proszę wejść i opowiadać.

— Nie wiem, od czego zacząć — powiedziała pani Oliver, padając na krzesło. — Wie pan, czasami wydaje mi się, że to niemożliwe, ale to się zdarzyło. Naprawdę się zdarzyło.

— Proszę opowiedzieć — rzekł Poirot.

— Właśnie po to przyszłam. Ale kiedy już tu jestem, trudno mi, bo nie wiem, od czego zacząć.

— Chyba od początku — zasugerował Poirot. — Czy może to zbyt konwencjonalna metoda?

— Nie wiem, kiedy to się zaczęło. Naprawdę. Wie pan, to może sięgać daleko w przeszłość.

— Proszę się uspokoić — poprosił Poirot — zebrać w myśli wszystkie wątki i opowiedzieć, co panią tak zdenerwowało.

— Zdenerwowałoby również pana — powiedziała pani Oliver. — Przynajmniej tak przypuszczam.

— Wydawało się, że wątpi w to, co powiedziała. — Nikt naprawdę nie wie, co jest w stanie pana zdenerwować. Tak wiele rzeczy przyjmuje pan ze spokojem.

— To często najlepsze wyjście — zauważył Poirot.

— No dobrze — powiedziała pani Oliver. — Zacznę od przyjęcia.

— Ach tak — odetchnął Poirot, zadowolony, że ma do czynienia z czymś tak przyjemnym, jak przyjęcie. — Przyjęcie.

Poszła pani na nie i coś się zdarzyło.

— Czy pan wie, co to jest przyjęcie w wieczór Hallowe'en? — spytała pani Oliver.

— Wiem, co to jest Hallowe'en — odpowiedział Poirot.

— 31 października, więdźmy latają na miotłach — dodał, mrugnawszy filuternie.

— Były i miotły — odparła pani Oliver. — Dawano za nie nagrody.

— Nagrody?

— Tak, za najpiękniej udekorowaną.

Poirot spojrział z powątpiewaniem. Początkowo odczuł ulgę na wzmiankę o przyjęciu, lecz teraz znowu zaczął mieć wątpliwości. Ponieważ wiedział, że pani Oliver nie spożywa napojów alkoholowych, odrzucił wytłumaczenie, które nasunęłoby mu się w każdym innym wypadku.

— Dziecięce przyjęcie — wyjaśniła pani Oliver — lub raczej przyjęcie dla tych, którzy zdają „Eleven Plus”.

— „Eleven Plus”?

— Tak to nazywają w szkołach. Patrzą, czy jest pan wystarczająco rożgarnięty, i jeżeli potrafi pan zdać egzamin „Eleven Plus”, idzie pan do gimnazjum lub podobnej szkoły, a jeżeli nie, posyłają pana do Secondary Modern*.

— Przyznaję, że niezupełnie rozumiem, o czym pani mówi — przyznał Poirot.

Wyglądało, że porzucili już temat przyjęcia i zajęli się sprawami edukacji.

Pani Oliver zaczerpnęła powietrza i spróbowała raz jeszcze. — Zaczęło się od jabłek — powiedziała.

— Ach tak — rzekł Poirot. — Zawsze to panią spotyka. Prawda?

Pomyślał o małym samochodzie na wzgórzu i postawnej kobiecie wysiadającej z torbą jabłek. Torba pęka i jabłka lecą kaskadą w dół stoku.

— A więc jabłka — powtórzył zachęcająco.

— Chwywanie zębami jabłek pływających w wodzie — powiedziała pani Oliver. — To jedna z atrakcji przyjęcia w wigilię Wszystkich Świętych.

— Ach tak. Sądzę, że słyszałem już o tym.

— Robiono wszystko. Wyławiano jabłka zębami, odcinano sześciopensówkę leżącą na szklance ubitej mąki, patrzono w zwierciadło...

— Aby zobaczyć twarz ukochanego — zasugerował Poirot ze znanstwem.

— Ach, zaczyna pan w końcu rozumieć — powiedziała pani Oliver.

— W rzeczy samej, sporo starego folkloru — odrzekł Poirot. — I wszystko to miało miejsce na tym pani przyjęciu.

— Tak. Odniosło wielki sukces. Skończyło się jedzeniem płonących rodzynek. Wie pan, rodzynki podpalone na wielkim półmisku. Przypuszczam — zająknęła się — że właśnie wtedy to się stało.

— Kiedy i co się stało?

— Morderstwo. Po zjedzeniu płonących rodzynek wszyscy poszli do domu. Wtedy — mówiła pani Oliver — nie mogli jej znaleźć.

— Kogo nie mogli znaleźć?

— Dziewczynki. Dziewczynki o imieniu Joyce. Wszyscy wołali ją, szukali i pytali, czy nie poszła już z kimś innym. Jej matka się zdenerwowała i mówiła, że Joyce zapewne była zmęczona lub chora i bezmyślnie wyszła sama, nie mówiąc ani słowa. Matki zawsze w takich przypadkach wygadują coś bez ładu i składu. Tak czy inaczej, nie mogliśmy odnaleźć Joyce.

— Czy poszła sama do domu?

— Nie — odpowiedziała pani Oliver — nie poszła...

— Jej głos załamał się. — Znaleźliśmy ją w końcu w bibliotece. To właśnie tam, tam ktoś to zrobił. Chwywanie jabłek zębami. Było tam wiadro. Wielkie ocynkowane wiadro. Nie mogło być plastikowe. Gdyby było plastikowe, może nie stałoby się to wszystko. Nie byłoby wystarczająco ciężkie. Mogłoby się wywrócić...

— Co się stało? — Poirot spytał szorstkim głosem.

— Tam ją znaleźliśmy — ciągnęła pani Oliver. — Wie pan, ktoś wepchnął jej głowę w wodę z jabłkami. Wepchnął i przytrzymał; oczywiście już nie żyła. Utopiła się. Utopiła się w ocynkowanym wiadrze pełnym wody. Klęcząc pochylała głowę, aby schwytać jabłko. Nienawidzę jabłek — powiedziała pani Oliver — i do końca życia nie chcę już ich widzieć.

Poirot zerknął na nią i podał jej mały kieliszek koniaku.

— Niech pani to wypije. Dobrze pani robi.

Rozdział czwarty

Pani Oliver odstawiła kieliszek i otarła usta.

— Miał pan rację — powiedziała. — To... to pomogło. Zaczynałam histeryzować.

— Przeżyła pani silny szok. Kiedy to się stało?

— Ostatniej nocy. Czy minęła tylko jedna noc? Tak, tak, oczywiście.

— I przyszła pani do mnie. — Nie było to właściwie pytanie, lecz żądanie, aby podała więcej informacji. — Przyszła pani do mnie. Dlaczego?

— Sądziłam, że może pan pomóc — odpowiedziała pani Oliver. — Widzi pan, to nie takie proste.

— Może mógłbym pomóc, a może nie — rzekł Poirot. — To zależy od wielu rzeczy. Musi mi pani powiedzieć więcej, wszystko, co pani wie. Policja, oczywiście, została zawiadomiona, i bez wątpienia wezwano również lekarza. Co powiedział?

— Będzie sekcja — odparła pani Oliver.

— Oczywiście.

— Jutro lub pojutrze.

— Ile lat miała ta dziewczyna?

— Nie wiem dokładnie. Chyba dwanaście, może trzynaście.

— Mała jak na swój wiek?

— Nie, nie. Raczej dojrzała i masywna — odpowiedziała pani Oliver.

— Dobrze rozwinięta? Czy wyglądała pociągająco?

— To miałam na myśli, lecz nie sądzę, aby było to morderstwo tego rodzaju, to byłoby zbyt proste. Prawda?

— To ten rodzaj zbrodni, o której wciąż czytamy w gazetach — stwierdził Poirot. — Zaatakowanie dziewczyny, zabójstwo dziecka, zdarza się to codziennie. Nasze morderstwo jest inne, gdyż dokonano go w prywatnym domu, ale może nie różni się tak bardzo. Nadal jednak nie jestem pewien, czy opowiedziała pani wszystko.

— Nie, raczej nie — odparła pani Oliver. — Nie powiedziałam, dlaczego do pana przyszłam.

— Czy znała pani Joyce? Dobrze ją pani znała?

— W ogóle jej nie znałam. Chwileczkę, najpierw wytłumaczę panu, skąd się tam wzięłam.

— Gdzie to jest?

— Och, miejscowość nazywa się Woodleigh Common.

— Woodleigh Common — Poirot powtórzył w zamyśleniu. — Tam, gdzie ostatnio... — przerwał.

— To niezbyt daleko od Londynu. Jakieś trzydzieści czy czterdzieści kilometrów. Tuż koło Medchesteru. Jedno z tych miejsc, gdzie stoi kilka przyjemnych rezydencji, ale gdzie ostatnio zbudowano kilka nowych budynków. Reprezentacyjne. Dobra szkoła w pobliżu, a ludzie mogą dojeżdżać stamtąd do Londynu lub do Medchesteru. Po prostu całkiem zwyczajne miejsce, gdzie mieszkają ludzie, którzy, jak to mówimy przyzwoicie zarabiają.

— Woodleigh Common — powtórzył Poirot w zamyśleniu.

— Zatrzymałam się tam u przyjaciółki, Judith Butler. Jest wdową. Wybrałam się w tym roku na rejs wokół wysp greckich. Judith też była na tej wycieczce, no i zaprzyjaźniłyśmy się. Ma córkę dwunasto- czy trzynastoletnią, Mirandę. W każdym razie zaprosiła mnie do siebie. Powiedziała, że jej przyjaciele wydają przyjęcie dla dzieci w Hallowe'en, i spytała, czy nie mam jakichś dobrych pomysłów.

— A czy nie sugerowała — spytał Poirot — aby zaaranżowała pani polowanie na mordercę lub coś podobnego?

— Dzięki Bogu, nie — powiedziała pani Oliver. — Czy sądzi pan, że mogłabym jeszcze raz spróbować czegoś takiego?

— Sądzę, że to mało prawdopodobne.

— Ale to, co się zdarzyło, jest straszne. Nie mogło się przecież zdarzyć tylko dlatego, że ja tam byłam, prawda?

— Tak sądzę. Czy ktokolwiek z obecnych na przyjęciu wiedział, kim pani jest?

— Tak — odpowiedziała pani Oliver. — Jedno z dzieci mówiło coś o moich książkach i o tym, że lubi morderstwa. To właśnie prowadzi do sedna sprawy, do przyczyny, która sprowadziła mnie do pana.

— I wciąż mi pani o tym nie powiedziała.

— Tak. Na początku nie myślałam o tym. To nie takie proste. Dzieci robią czasami dziwaczne rzeczy. Zdarzają się przecież takie, które powinny przebywać w szpitalach psychiatrycznych, lecz posyłają je do domu i każą prowadzić normalne życie. Potem takie dzieci robią coś strasznego.

— Czy była tam młodzież?

— Było dwóch chłopaków, młodocianych, jak mi się wydaje, tak nazywają ich w raportach policyjnych. Mieli około szesnastu, osiemnastu lat.

— Przypuszczam, że mógł to zrobić jeden z nich. Czy policja też tak sadzi?

— Nie mówią, co myślą, ale wygląda na to, że są właśnie tego zdania.

— Czy Joyce była atrakcyjna?

— Nie sądzę — odparła pani Oliver. — Czy atrakcyjna dla chłopców? To miał pan na myśli?

— Nie — odpowiedział Poirot. — Myślałem o najprostszym, najzwyczajniejszym znaczeniu tego słowa.

— Nie uważam, aby była miłą dziewczyną — stwierdziła pani Oliver — taką, z którą chciałby pan dłużej porozmawiać. Lubiła się popisywać i chełpić. Wie pan, to raczej męczący wiek. To, co mówię, brzmi może nieładnie, ale...

— W wypadku morderstwa mówienie, co się myśli o ofierze, nie jest nieładne. To konieczne. Osobowość ofiary jest przyczyną wielu morderstw. Ilu ludzi było wówczas w domu?

— Na przyjęciu i w domu? Myślę, że pięć lub sześć kobiet — kilka matek, nauczycielka, żona albo siostra doktora, małżeństwo w średnim wieku, dwóch chłopaków w wieku szesnastu lub siedemnastu lat, piętnastoletnia dziewczyna, dwoje lub troje jedenasto-, dwunastolatków i to mniej więcej wszystko. Razem może około dwudziestu pięciu czy trzydziestu osób.

— Jacyś nieznajomi?

— Raczej wszyscy się znali. Niektórzy lepiej, inni gorzej. Dziewczęta były chyba w większości z tej samej szkoły. Dwie kobiety pomagały przy przygotowaniu kolacji i tym podobnych rzeczach. Po zakończeniu przyjęcia większość matek poszła do domu wraz z dziećmi. Ja zostałam z Judith i dwiema innymi paniami, aby nieco pomóc Rowenie Drake, która wydała to przyjęcie, i uporządkować to wszystko tak, żeby nie zostawiać zbyt wielkiego bałaganu kobietom, które rano miary przyjść do sprzątania. Wie pan, było dużo rozsypanej mąki, opakowań po krakersach i podobnych rzeczy. Zmiotłyśmy nieco to wszystko i na koniec weszłyśmy do biblioteki. I wówczas znalazłyśmy ją. Wtedy przypomniałam sobie, co powiedziała.

— Kto powiedział?

— Joyce.

— Co powiedziała? Teraz dochodzimy do sedna, prawda? Dochodzimy do przyczyny, dla której pani jest tutaj?

— Tak. Wydawało mi się, że to nie ma znaczenia dla doktora i policji, ale pomyślałam, że może

mieć znaczenie dla pana.

— *Eh bien* — rzekł Poirot — proszę powiedzieć. Czy Joyce powiedziała to w czasie przyjęcia?

— Nie, wcześniej, w ciągu dnia. Po południu, gdy wszystko przygotowywaliśmy. Było to po tym, jak mówiono, że piszę opowiadania o morderstwach i Joyce stwierdziła: „Widziałam morderstwo”, a jej matka czy ktoś inny powiedział: „Nie bądź głupia, Joyce, i nie mów takich rzeczy”, a jedna z dziewcząt dodała: „Wymyślasz coś”. Joyce odpowiedziała: „Naprawdę. Mówię wam, że widziałam. Naprawdę. Widziałam, jak ktoś popełnił morderstwo”. Ale nikt jej nie uwierzył. Zdenerwowała się bardzo, że ją wyśmiano.

— Czy pani jej uwierzyła?

— Oczywiście, że nie.

— Tak, tak. Rozumiem — powiedział Poirot. Milczał przez chwilę, stukając palcem w stół. W końcu rzekł: — Zastanawiam się... Nie podała żadnych szczegółów, żadnych imion?

— Nie. Poszła sobie, chełpiąc się, pokrzykując i złościąc się, że większość dziewcząt ją wyśmiała. Matki i inni dorośli byli dla niej nieprzyjemni, ale dziewczęta i chłopcy po prostu się śmiali! Mówili mniej więcej tak: „No dalej, Joyce. Kiedy to było? Dlaczego nigdy o tym nie mówiłaś?” Odpowiedziała: „Zapomniałam o wszystkim. To było tak dawno”.

— Aha. Czy powiedziała, jak dawno?

— Ileś lat temu. Lub raczej, tak by wypadło według miary dorosłych. „Dlaczego nie poszłaś wtedy na policję?” — spytała jedna z dziewcząt. Anna albo Beatrice, raczej pewna siebie i dominująca w towarzystwie.

— Aha. I co na to Joyce?

— Odparła: „Ponieważ wtedy nie wiedziałam, że to było morderstwo”.

— Bardzo interesująca uwaga — stwierdził Poirot, prostując się na krześle.

— Myślę, że wtedy się zmieszala — powiedziała pani Oliver. — Rozumie pan, próbując wytłumaczyć, zdenerwowała się, gdyż wszyscy z niej drwili. Pytali nadal, dlaczego nie poszła na policję, a ona powtarzała: „Ponieważ wtedy nie wiedziałam, że to było morderstwo. Dopiero później nagle pojęłam, co widziałam”.

— Ale nikt nie uwierzył jej ani trochę. Pani również nie uwierzyła. Ale po jej śmierci poczuła pani, że ona mogła mówić prawdę?

— Tak. Właśnie tak. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić i co mogłabym zrobić. A później pomyślałam o panu.

Poirot przyznał jej rację, z powagą kiwając głową. Milczał przez chwilę, po czym powiedział:

— Muszę postawić pani ważne pytanie i proszę zastanowić się przed udzieleniem odpowiedzi. Czy sądzi pani, że ta dziewczyna naprawdę widziała morderstwo, czy też jedynie wierzyła, że je widziała?

— Myślę, że to pierwsze — odpowiedziała pani Oliver. — Poprzednio nie wierzyłam. Przypuszczałam, że niedokładnie coś zapamiętała i wymyśliła resztę, aby całość wyglądała poważnie i interesująco. Twierdziła stanowczo: „Mówię wam, że widziałam to naprawdę. To się naprawdę zdarzyło”.

— A więc?

— A więc przyszedłam do pana — powiedziała pani Oliver — ponieważ jej śmierć miałaby sens jedynie w takim przypadku, gdyby rzeczywiście popełniono morderstwo, a ona była tego świadkiem.

— To pociąga za sobą kilka wniosków. Między innymi ten, że jedna z osób obecnych na przyjęciu popełniła morderstwo i że ta sama osoba musiała być tam wcześniej i słyszeć, co mówiła Joyce.

— Nie sądzi pan chyba, że to wszystko sobie wyimaginowałam? — powiedziała pani Oliver. — Może uważa pan, że wszystko to jest tworem mojej wybujałej wyobraźni?

— Dziewczyna została zamordowana — rzekł Poirot — zamordowana przez kogoś, kto miał wystarczająco dużo siły, aby przytrzymać jej głowę w kubie z wodą. Wstrętne morderstwo i w dodatku zostało popełnione, można powiedzieć, bez straty czasu. Ktoś się przestraszył i ktokolwiek to był, uderzył tak szybko, jak to było możliwe.

— Joyce mogła nie wiedzieć, kto popełnił morderstwo, które widziała — stwierdziła pani Oliver. — Uważam, że nie powiedziałyby tego wszystkiego, gdyby ten, kogo to rzeczywiście dotyczyło, znajdował się w pokoju.

— Tak — zgodził się Poirot — myślę, że ma pani rację. Widziała mordercę, ale nie widziała jego twarzy. Musimy pójść dalej.

— Nie całkiem rozumiem, co pan ma na myśli.

— Mogło się zdarzyć, że oskarżenie Joyce, wypowiedziane wcześniej w ciągu dnia, usłyszał ktoś, kto wie o morderstwie, zna mordercę i, być może, jest z nim blisko związany. Być może jest to ktoś, kto sądził, że jest jedyną osobą, która wie o tym, co zrobiła jego żona, matka, córka lub syn. Może jest to kobieta, która wie, co zrobił jej mąż lub syn, co popełniła matka lub córka. Ktoś, kto przypuszczał, że nie wie o tym nikt inny. I wtedy Joyce zaczęła mówić...

— I...

— I Joyce musiała umrzeć?

— Tak. Co zamierza pan teraz robić?

— Muszę sobie przypomnieć, dlaczego nazwa Woodleigh Common nie jest mi obca.

Rozdział piąty

Herkules Poirot spoglądał ponad małą furtką prowadzącą do Pine Crest. Był to przyjemny, nowoczesny domek o śmiałej linii. Herkules Poirot niemal wstrzymał oddech. Stojący przed nim mały, schludny budynek miał dobrze dobraną nazwę. Stał na szczycie wzgórza z rzadka porośniętego sosnami. W niewielkim, schludnym ogródku potężny starszy mężczyzna ciągnął po ścieżce polewaczkę z ocynkowanej blachy.

Włosy nadinspektora Spence'a zbieleły zupełnie, tracąc urok delikatnego muśnięcia siwizny na skroniach, ale w pasie niewiele mu ubyło. Teraz przestał ciągnąć zbiornik i spojrział na gościa przy furcie. Herkules Poirot stał tam bez ruchu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — powiedział nadinspektor Spence. — Nie może być, a jest. Tak, to musi być... Niech mnie diabli, jeśli to nie jest Herkules Poirot.

— Aha — rzekł Herkules Poirot — poznaje mnie pan. To cieszy.

— Pańskie wąsy nigdy się nie zmniejszą — stwierdził Spence. Rzucił polewaczkę i podszedł do furki. — Przeklęte zielska — powiedział. — A cóż pana tu sprowadza?

— To samo, co w swoim czasie sprowadziło mnie w wiele innych miejsc — odpowiedział Herkules Poirot — i co przed wielu laty przywiodło pana do mnie. Morderstwo.

— Nie licząc tych chwastów — mruknął Spence — wciąż miałem do czynienia z morderstwami. Właściwie teraz też to robię. Zabijam chwasty. Nie takie to łatwe, jak pan przypuszcza. Zawsze coś jest nie tak, zwykle zaś nie dopisuje pogoda. Nie może być za mokro, nie może być za sucho i tak dalej. Skąd się pan dowiedział, gdzie mnie znaleźć? — spytał, odsuwając zasuwkę i wpuszczając Poirota.

— Przesłał mi pan kartkę na Boże Narodzenie. Była tam informacja o pańskim nowym adresie.

— Ach tak, rzeczywiście. Widzi pan, jestem staromodny. Na Boże Narodzenie lubię wysyłać kartki do kilku starych przyjaciół.

— Doceniam to — powiedział Poirot.

— Jestem teraz starym człowiekiem — stwierdził Spence.

— Obaj jesteśmy starzy.

— Ale na pańskich włosach nie ma tyle siwizny — rzekł Spence.

— Używam pewnego płynu — odparł Poirot. — Nie ma potrzeby pokazywać publicznie siwizny, chyba że ma się na to ochotę.

— Nie sadzę, aby z kruczą czernią było mi do twarzy — stwierdził Spence.

— Zgadzam się — potwierdził Poirot. — Z bielą włosów wygląda pan bardzo dystyngowanie.

— Nigdy nie myślałem o sobie jako o człowieku dystyngowanym.

— To moje zdanie o panu. Co skłoniło pana do przeniesienia się do Woodleigh Common?

— W rzeczy samej przyjechałem tutaj, aby pomóc siostrze. Straciła męża, dzieci pożenione, mieszkają za granicą — jedno w Australii, drugie w Afryce Południowej. Więc przeprowadziłem się tutaj. Emerytury nie są dziś zbyt duże, ale żyjemy tu razem całkiem wygodnie. Proszę wejść i spocząć.

Poprowadził na małą oszkloną werandę, gdzie stały krzesła i jeden czy dwa stoły. Promienie jesiennego słońca przyjemnie oświetlały to zacisze.

— Co mogę podać? — spytał Spence. — Obawiam się, że nie ma niczego specjalnego. Ani syropu z czarnej porzeczki czy głogu, ani żadnego z pańskich ulubionych napojów. Może piwo? Lub może poproszę Elspeth o filiżankę herbaty? A może shandy* albo coca-colę, albo kakao, jeżeli pan lubi. Moja siostra, Elspeth, wciąż pija kakao.

— Jest pan bardzo uprzejmy. Poproszę shandy, jeśli można. Piwo z piwem imbirowym? Czy nie sprawię kłopotu?

— Ależ skąd.

Inspektor wszedł do domu i za chwilę powrócił, niosąc dwa wielkie szklane kubki.

— Wypiję z panem — powiedział.

Przysunął krzesło do stołu i usiadł, stawiając napoje przed sobą i Poirotem.

— O czym pan mówił przed chwilą? — spytał, podnosząc szklanicę. — Nie wznoszę toastu: „Za zbrodnię”. Zbrodnia była moją pracą, lecz przyznaję, że nie lubię tego szczególnego rodzaju mordu, z którym właśnie mieliśmy do czynienia. Sądzę, że myślimy o tym samym, gdyż nie przypominam sobie, aby zdarzyło się tu ostatnio jakieś inne morderstwo.

— Nic dziwnego, że pan tego nie lubi.

— Mówimy o dziecku, którego głowę wepchnięto do wiadra?

— Tak — przyznał Poirot. — Właśnie o tym mówię.

— Nie wiem, dlaczego przyszedł pan do mnie — powiedział Spence. — Nie mam teraz nic wspólnego z policją. Skończyło się to wiele lat temu.

— Policjantem zostaje się na całe życie — stwierdził Herkules Poirot. — Jak mówią, policyjny

sposób widzenia, choć ukryty, tkwi w człowieku nadal. Ja również zaczynałem od służby w policji w swoim kraju.

— Tak, kiedyś wspominał pan o tym. Zapewne pozostaje na zawsze ślad zawodowego sposobu patrzenia, ale ja odszedłem ze służby wiele lat temu.

— Ale słyszy pan plotki — powiedział Poirot. — Ma pan tu przyjaciół. Dowie się pan, co myślą, podejrzewają lub wiedzą. Spence westchnął.

— Wiedzieć zbyt wiele — zauważył — to tylko kłopot w dzisiejszych czasach. Mamy zbrodnię, której schemat jest typowy. Policjanci mają dość dobre pojęcie o tym, kto jest prawdopodobnie zbrodniarzem. Nie mówią tego prasie, ale prowadzą dochodzenie i znają właściwą odpowiedź. Jeżeli jednak zamierzają zakończyć sprawę, zaczynają natrafiać na trudności.

— Gdy w grę wchodzi żony, dziewczyny i cała reszta?

— Częściowo tak. Być może w końcu ktoś kogoś złapie. Czasami minie rok lub dwa. Jak pan widzi, Poirot, chciałbym z grubsza powiedzieć, że teraz dziewczyny wybierają sobie nieodpowiednich facetów o wiele częściej, niż zdarzało się to za moich czasów.

Herkules Poirot rozmyślał, skubiąc wąsa.

— Tak — przyznał — chyba ma pan rację. Przypuszczam, że dziewczęta zawsze miały ochotę na różnych gagatków, ale w przeszłości istniały pewne zabezpieczenia.

— Tak. Ktoś zawsze się nimi opiekował — matki, ciotki i starsze siostry. Młodsze siostry i bracia pilnie śledzili każdy ich krok. Ojcowie nie wahali się wyrzucić młodego nicponia z domu. Oczywiście, czasami któraś z dziewcząt uciekała z hultajem. Teraz już nie trzeba uciekać. Matka nie wie, z kim jest jej córka, ojcu o tym nie powiedziano, bracia wiedzą, ale myślą: „Jak jest głupia, to jej sprawa”. Jeżeli rodzice nie wyrażą zgody na małżeństwo, młodzi idą do urzędu i dostają pozwolenie na ślub. Kiedy chłopak, o którym wszyscy wiedzą, że nie jest wiele wart, udowodni własnej żonie, co z niego za ziółko, nie pozostaje jej nic innego, jak tylko brnąć w to bagno. Serce nie sługa i żadna dziewczyna nie chce się przyznać, że jej luby ma odrażające obyczaje i zbrodnicze skłonności. Będzie dla niego kłamać, krzywoprzysięgać i tak dalej. Tak, to trudna sprawa. Choć trudna raczej dla nas, jak sądzę. Tak czy inaczej, Poirot, w jaki sposób został pan w to wszystko wciągnięty? Zawsze myślałem, że mieszka pan w Londynie. Przynajmniej mieszkał pan tam, kiedy utrzymywaliśmy kontakty.

— Nadal mieszkam w Londynie. Zająłem się tą sprawą na prośbę mojej przyjaciółki, pani Oliver. Pamięta ją pan?

Spence uniósł głowę i zamknął oczy, starając się przypomnieć.

— Pani Oliver? Nie pamiętam.

— Pisze książki. Kryminały. Niech pan sobie przypomni. Spotkał ją pan, gdy namawiał mnie pan do zajęcia się sprawą morderstwa pani McGinty. Nie zapomniał pan chyba pani McGinty?

— Na Boga, nie. Ale to było już tak dawno. Zrobił pan wtedy dla mnie dobrą robotę, bardzo dobrą robotę. Przyszedłem po pomoc do pana i nie zostawił mnie pan na lodzie.

— Byłem zaszczycony — przypochlebiał się Poirot — że zwrócił się pan do mnie o radę. Przyznaję, że raz lub dwa wpadłem w rozpacz. Człowiek, którego głowę musieliśmy wtedy ocalić, był wyjątkowo trudny we współpracy. Klasyczny przykład kogoś, kto nie chce nic dla siebie zrobić.

— Ożenił się z tą dziewczyną, prawda? Nie z tą tlenioną blondynką, tylko z tą nijaką. Ciekawe, jak im się wiedzie. Czy słyszał pan coś o nich?

— Nie — odpowiedział Poirot. — Przypuszczam, że powodzi im się nieźle.

— Ciekawe, co ona w nim widziała?

— Trudno powiedzieć — odrzekł Poirot — tak to już jest, że nawet najmniej atrakcyjny mężczyzna znajdzie kobietę, której się spodoba. Możemy więc tylko mieć nadzieję, że pobrali się i żyją szczęśliwie.

— Nie wiem, czy żyliby równie szczęśliwie, gdyby mieli matkę i musieli z nią mieszkać.

— Na pewno nie — stwierdził Poirot. — Albo ojczyma — dodał.

— Tak — powiedział Spence. — Znów mówimy o starych dziejach. Wszystko to przeminęło. Ten facet, nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska, powinien prowadzić przedsiębiorstwo pogrzebowe. Miał odpowiednią twarz i stosowny sposób bycia. Dziewczyna chyba miała trochę pieniędzy? Tak, byłby bardzo dobrym przedsiębiorcą pogrzebowym. Wyobrażam go sobie ubranego na czarno, przychodzącego po zamówienie na pogrzeb. Pewnie z entuzjazmem zająłby się doborem odpowiedniego wiązu, teczyny lub innego drewna używanego do wyrobu trumien. Nigdy natomiast nie prowadziłby dobrze agencji ubezpieczeniowej lub sprzedaży nieruchomości. Ale nie rozwódźmy się nad przeszłością. — Zamilkł i nagle powiedział: — Pani Oliver. Ariadna Oliver. Jabłka. Czy przez nie wplątała się w tę historię? Głowę biednego dziecka wepchnięto do wiadra z wodą, w której pływały jabłka. Czy pani Oliver była na tym przyjęciu i czy to właśnie ją zainteresowało?

— Nie sądzę, aby akurat jabłka były dla niej szczególnie interesujące — powiedział Poirot — ale była na tym przyjęciu.

— Powiedział pan, że mieszka tutaj?

— Nie, nie mieszka. Zatrzymała się u swojej przyjaciółki, pani Butler.

— Butler? Ach tak, znam ją. Mieszka na dole, niedaleko kościoła. Wdowa. Jej mąż był pilotem. Ma córkę, śliczną dziewczynę, i doskonałe maniery. Jest atrakcyjną kobietą, nie sądzi pan?

— Widziałem ją tylko przez chwilę, ale tak, uważam, że jest bardzo atrakcyjna.

— Ale co to wszystko ma z panem wspólnego, Poirot? Nie było pana tutaj, gdy to się zdarzyło.

— Nie. Pani Oliver przyjechała do mnie do Londynu. Była wzburzona, bardzo wzburzona. Chciała, abym coś zrobił.

Słaby uśmiech przebiegł po twarzy nadinspektora Spence'a.

— Rozumiem. Wciąż ta sama historia. Ja również kiedyś przyszedłem do pana, gdyż chciałem, aby pan zaczął działać.

— A teraz ja jestem u pana — dokończył Poirot.

— Ponieważ chce pan, abym ja coś zrobił? Mówiłem już, że nic nie mogę.

— Och, nie, jest coś, co pan może. Może pan opowiedzieć mi wszystko o ludziach, o tutejszych mieszkańcach, o tych, którzy byli na przyjęciu, o ojcach i matkach dzieci obecnych na przyjęciu, o szkole, nauczycielach, prawnikach i lekarzach. Ktoś przecież podczas przyjęcia skłonił dziecko do ukłęknięcia, pewnie śmiejąc się i mówiąc: „Pokażę ci, jak najłatwiej schwytać jabłko zębami. Znam pewien sposób”. I wtedy on lub ona, ktokolwiek to był, przycisnął ręką głowę dziewczynki. Nie było zbyt wiele szarpaniny ani krzyku, ani niczego w tym rodzaju.

— Ohydna sprawa — stwierdził Spence. — Tak właśnie pomyślałem, gdy o tym usłyszałem. Co chce pan wiedzieć? Jestem tu od roku. Moja siostra mieszka tu dłużej, dwa lub trzy lata. To mała społeczność. Nie jest zbyt gęsta. Ludzie przychodzą i odchodzą. Mąż pracuje w Medchester lub Great Canning, albo gdzieś w okolicy. Dzieci chodzą tu do szkoły. Potem on zmienia pracę i wszyscy wyjeżdżają. To nie jest stabilna społeczność. Parę osób, jak nauczycielka, panna Emlyn, i doktor Ferguson, jest tu od dawna, ale całość ciągle się zmienia.

— Zgadza się — rzekł Herkules Poirot — że mamy do czynienia z ohydą sprawą, i mam nadzieję, że potrafi pan powiedzieć, kto z miejscowych byłby zdolny do takiego czynu.

— Tak — odrzekł Spence. — W pierwszym rzędzie takich należy szukać. A w dalszej kolejności, jak zwykle przy tego rodzaju historiach, trzeba wziąć pod uwagę jakiegoś wstrętnego niedorostka. Któż inny chciałby pozbyć się trzynastoletniej dziewczynki, dusząc ją lub topiąc? Nie sądzę, aby były jakiegokolwiek dowody ataku na tle seksualnym lub czegoś takiego, od czego w podobnym wypadku rozpoczyna się poszukiwania. Spraw tego rodzaju mamy dziś bardzo dużo. Myślę, że więcej, niż było w czasach mojej młodości. Mieliśmy także niezrównoważonych psychicznie, czy jak ich tam nazywają, ale nie tak wielu jak dzisiaj. Myślę, że większość z nich przedwcześnie wypuszczono z miejsc odosobnienia. Wszystkie nasze szpitale psychiatryczne są przepełnione, więc lekarze mówią: „Pozwólmy mu prowadzić normalne życie. Idź i mieszkać z rodziną”. A potem faceta mającego patologiczną osobowość lub biedaka dotkniętego chorobą, zależnie od tego, jak na to spojrzymy, ogarnia znów gwałtowne pożądanie i następną młodą kobietę, która wyszła na spacer, znajdujemy martwą w jakimś dole, bo była na tyle głupia, aby zdecydować się na podwiezienie samochodem. Dzieci nie wracają ze szkoły, bo, choć je przed tym ostrzegano, zgodziły się, aby ktoś obcy je podwiózł. Tak, dzisiaj mamy wiele historii tego rodzaju.

— Ale czy to, co się tutaj zdarzyło, pasuje do tego schematu?

— Jest to po prostu pierwsza rzecz, która przyszła mi na myśl — powiedział Spence. — Być może na przyjęciu był ktoś, kogo nagle naszła przemożna chęć morderstwa. Być może zrobił już kiedyś coś takiego, a może tylko miał na to ochotę. Chcę przez to powiedzieć, że być może w przeszłości zdarzyła się podobna napaść na dziecko. O ile wiem, nikt czegoś takiego nie zgłaszał. Przynajmniej oficjalnie. Na przyjęciu było dwóch osobników, którzy by mi do tego pasowali. Nicholas Ransom, chłopak siedemnasto-, osiemnastoletni, o przyjemnym wyglądzie. Byłby w odpowiednim wieku. Pochodzi chyba ze Wschodniego Wybrzeża. Wygląda normalnie, ale kto wie? Mamy również Desmonda, posłanego niegdyś na badania psychiatryczne, choć nie mogę powiedzieć, aby były po temu szczególne powody. Mógł to być ktoś z obecnych albo ktoś z zewnątrz. W czasie przyjęcia dom zwykle nie jest zamknięty. Boczne drzwi lub okno są otwarte. Przypuszczam, że ktoś mógł podejść, aby zobaczyć, co się dzieje, a następnie wśliznąć się do środka. Sporo ryzykował. Czy dziecko, które przyszło na przyjęcie, zechciałoby bawić się w łapanie jabłek z nieznanym? Ale dotąd nie wyjaśnił pan, Poirot, dlaczego zajął się pan tą sprawą. Powiedział pan o pani Oliver. Czy to jeden z jej szalonych pomysłów?

— Pomysł nie jest całkiem szalony — stwierdził Poirot. — To prawda, że pisarze mają skłonności do wymyślania rzeczy nieprawdopodobnych, ale tutaj chodzi po prostu o to, co pani Oliver usłyszała od dziewczynki.

— Której dziewczynki? Joyce?

— Tak.

Spence pochylił się do przodu, spoglądając na Poirota z ciekawością.

— Opowiem to panu — rzekł Poirot.

Spokojnie i zwięźle streścił historię opowiedzianą przez panią Oliver.

— Rozumiem — rzekł Spence, pocierając wąsa. — Dziewczynka to powiedziała, tak? Widziała, jak popełniono morderstwo. Czy powiedziała, kiedy lub gdzie?

— Nie — odparł Poirot.

— Czy mamy jakąś wskazówkę?

— Myślę, że jest nią pewna uwaga na temat morderstw opisanych w książkach pani Oliver. Ktoś powiedział jej coś na ten temat. Chyba jedno z dzieci stwierdziło, że w jej powieściach nie ma wystarczająco dużo krwi i trupów. Wtedy Joyce powiedziała, że widziała morderstwo.

— Przechwalała się? Z tego, co pan opowiedział, na to wygląda.

— Takie wrażenie odniosła pani Oliver. Tak, Joyce chełpiła się tym.

— Może to nie była prawda.

— Nie, zdecydowanie to nie mogła być nieprawda — powiedział Poirot.

— Dzieci często wygłaszają bulwersujące stwierdzenia, aby ściągnąć na siebie uwagę i zrobić na innych wrażenie. Z drugiej strony, to mogłoby być prawdziwe. Nie sądzi pan?

— Nie wiem — przyznał Poirot. — Dziecko przechwalało się, że było świadkiem morderstwa. Kilka godzin później nie żyło. Zgodzi się pan, że są podstawy, aby sądzić, iż te rzeczy się wiążą choćby w odległy sposób. Ktoś nie marnował czasu.

— Oczywiście — przytaknął Spence. — Czy wie pan dokładnie, ile osób było obecnych, kiedy dziewczynka mówiła o morderstwie?

— Pani Oliver potrafiła jedynie powiedzieć, że było czternaście lub piętnaście osób, a nawet więcej. Pięcioro lub sześcioro dzieci i chyba sześcioro dorosłych organizujących zabawę. Ale dokładnej informacji oczekuję od pana.

— Zdobycie jej nie będzie trudne — stwierdził Spence. — Nie powiem, że mam ją w tej chwili w zanadrzu, ale powinienem dowiedzieć się bez trudu od miejscowych. O samym przyjęciu wiem już dużo. Przeważały kobiety. Ojcowie nie bywają na dziecięcych przyjęciach. Ale czasami zaglądają na chwilę lub przychodzą, aby zabrać dzieci do domu. Byli tam doktor Ferguson i wikary. Innymi słowy, obecne były matki, ciotki, opiekunki społeczne i dwie nauczycielki ze szkoły. Och, mogę dać panu ich listę. Ponadto było z grubsza czternaścioro dzieci. Najmłodsze miało nieco ponad dziesięć lat.

— I przypuszczam, że mógłby pan wyliczyć, kto z nich jest podejrzany? — powiedział Poirot.

— Nie będzie to takie łatwe, jeżeli to, co pan powiedział, jest prawdą.

— Jeśli dobrze rozumiem, nie zamierza pan szukać kogoś o nienormalnych skłonnościach seksualnych. Chce pan natomiast znaleźć osobę, która już raz popełniła morderstwo i zdołała umknąć, kogoś, kto nigdy nie oczekiwał, że jego czyn zostanie odkryty, i nagle przeżył paskudny szok.

— Niech mnie Bóg pobłogosławi, jeżeli wiem, kto mógłby spełnić te wszystkie warunki — westchnął Spence. — Nie powiedziałbym, że mieliśmy tu w okolicy jakichś potencjalnych zbrodniarzy i na pewno nie było żadnego spektakularnego morderstwa.

— Potencjalnych morderców możemy spotkać wszędzie — rzekł Poirot — lub raczej ludzi, którzy są mordercami, choć na to nie wyglądają. Nikt nie jest skłonny podejrzewać ich o morderstwo, ponieważ nie sprawiają wrażenia zbrodniarzy. Dowodów przeciw nim właściwie nie ma i każdy z nich byłby wielce zaskoczony, gdyby okazało się, że istnieje naoczny świadek ich zbrodni.

— Dlaczego Joyce wcześniej nic nie powiedziała? Chciałbym to wiedzieć. Czy sądzi pan, że zapłacono jej za milczenie? To nazbyt ryzykowne.

— Nie sądzę — powiedział Poirot. — Z tego, co wspomniała pani Oliver, wnioskuję, że Joyce nie uświadomiła sobie od razu, iż widziała morderstwo.

— To brzmi najmniej prawdopodobnie — zauważył Spence.

— Niekoniecznie — odrzekł Poirot. — Przecież mówiło to trzynastoletnie dziecko. Pamiętała coś,

co widziała w przeszłości. Nie wiemy dokładnie kiedy. Mogło to się zdarzyć trzy lub cztery lata wcześniej. Widziała coś, lecz nie zrozumiała prawdziwego znaczenia tego, co zobaczyła. Wie pan, *mon cher*, że mogło się to odnosić do wielu rzeczy. Jakiś szczególny wypadek drogowy. Samochód, który najechał wprost na przechodnia, raniąc go lub zabijając. Dziecko mogło nie od razu pojąć właściwy sens tego zdarzenia. Ale jakieś słowo, wypowiedziane przez kogoś, lub coś, co zobaczyła, mogło obudzić jej wspomnienia i zaczęła myśleć: „A lub B, lub X zrobił to specjalnie. Być może było to morderstwo, a nie wypadek”. Jest dużo innych możliwości. Wiele z nich, przyznaję, podsunęła mi mój a przyjaciółka, pani Oliver, która we wszystkich sytuacjach ma około dwunastu różnych rozwiązań. Większość z nich nie jest zbyt prawdopodobna, lecz niektóre mogły się zdarzyć. Na przykład tabletki wsypane do podawanej komuś filiżanki herbaty lub coś innego w tym rodzaju. Choćby popchnięcie kogoś w niebezpiecznym miejscu. Szkoda, że nie mamy tutaj skał, które byłyby pomocne przy tworzeniu wiarygodnych teorii. Tak, sądzę, że tkwi tu cała masa możliwości. Być może przeczytany kryminał przypomniał dziewczynce wydarzenie, które kiedyś ją zdumiało. Czytając mogła powiedzieć: „Rozumiem, to mogło być tak i tak. Ciekawe, czy on lub ona zrobili to celowo?” Tak, jest wiele możliwości.

— I przybył pan tutaj, aby je zbadać?

— Leżałoby to w interesie publicznym, nie sądzi pan? — powiedział Poirot.

— Ach, zawsze mamy skłonności do myślenia o interesie publicznym, pan i ja, prawda?

— Może mi pan przynajmniej udzielić kilku informacji — stwierdził Poirot. — Zna pan tutejszych ludzi.

— Zrobię, co będę mógł — odpowiedział Spence. — I wciągnę w to Elspeth. Nie ma zbyt wielu rzeczy, których by o ludziach nie wiedziała.

Rozdział szósty

Poirot opuścił przyjaciela, zadowolony z tego, co osiągnął.

Informacje, których potrzebował, powinny wkrótce napłynąć — w to nie wątpił. Wzbudził zainteresowanie Spence'a. A Spence, raz uchwyciwszy trop, nigdy go nie porzucił. Poza tym reputacja wysokiego rangą emerytowanego oficera Wydziału Śledczego zdobędzie mu sprzymierzeńców w lokalnych posterunkach policji.

A teraz — Poirot spojrział na zegarek — dokładnie za dziesięć minut, przed domem o dźwięcznej nazwie Apple Trees, powinien spotkać panią Oliver. Zdumiewające, jak nazwa pasowała do sytuacji.

W rzeczy samej, pomyślał Poirot, nie można uciec od jabłek. Nie ma nic miłszego niż soczyste angielskie jabłko, tutaj zaś jabłka zmieszały się zmiotłami, wiedźmami, starodawnymi zwyczajami i zamordowanym dzieckiem.

Idąc zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, Poirot w ciągu minuty dotarł przed dom z czerwonej cegły, w stylu gregoriańskim, z pięknym bukowym żywopłotem i ukrytym za nim zadbanym ogrodem.

Wyciągnął rękę i podważywszy rygielek, wszedł przez furtkę z kutego żelaza, na której widniała tabliczka z napisem „Jabłonki”. Ścieżka prowadziła do drzwi frontowych, które otworzyły się niczym drzwiczki nad tarczą szwajcarskiego zegara i pani Oliver ukazała się w progu, jak kukółka wyskakująca, gdy zegar wybija godzinę.

— Jest pan idealnie punktualny — powiedziała. — Wypatrywałam pana przez okno.

Poirot odwrócił się, starannie zamykając za sobą furtkę. Właściwie zawsze, gdy spotykał panią Oliver — przypadkowo lub po uprzednim umówieniu się — niemal natychmiast pojawiały się jabłka. Pani Oliver albo właśnie je jadła, albo przed chwilą zakończyła ich konsumpcję, o czym świadczyły pestki i inne drobiny na jej obfitych piersiach, albo niosła torbę z jabłkami. Ale dzisiaj nie było po nich śladu. Całe szczęście, pomyślał Poirot z aprobatą. Jedzenie jabłek tutaj, na miejscu zbrodni i tragedii, byłoby w bardzo złym guście. Czemu mogło to służyć? — zastanawiał się Poirot. Nagła śmierć zaledwie trzynastoletniego dziecka. Nie chciał o tym myśleć, a ponieważ nie chciał, był coraz bardziej przekonany, że będzie o tym myślał bez przerwy, aż — w ten czy inny sposób — uda mu się rozproszyć ciemność i jasno zobaczy to, po co tu przyjechał.

— Nie mogę pojąć — powiedziała pani Oliver — dlaczego zamiast zatrzymać się u Judith Butler, powędrował pan do zajazdu piątej kategorii.

— Ponieważ lepiej jest, kiedy obserwuję sprawę z pewnego dystansu i w samotności — odpowiedział. — Proszę zrozumieć, nie mogę się zbytnio angażować.

— Nie widzę, w jaki sposób może pan uniknąć zaangażowania — powiedziała pani Oliver. — Musi pan z każdym się spotkać i porozmawiać, prawda?

— Oczywiście — przyznał Poirot.

— Z kim się pan już widział?

— Z moim przyjacielem, nadinspektorem Spence'em.

— Cóż u niego słyhać? — spytała pani Oliyer.

— Bardzo się postarzał — odpowiedział Poirot.

— Naturalnie — przytaknęła pani Oliver. — Czego innego mógł pan oczekiwać? Gorzej słyszy czy może gorzej widzi? Utył czy schudł?

Poirot zastanowił się.

— Stracił nieco na wadze. Do czytania zakłada okulary. Nie sędzę, aby przygłuchł, a w każdym razie nie w sposób zauważalny.

— A co myśli o tym wszystkim?

— Na to jeszcze za wcześnie — stwierdził Poirot.

— A co dokładnie pan i on zamierzacie robić?

— Ułożyłem plan działania — powiedział Poirot. — Najpierw spotkałem się ze starym przyjacielem i przedyskutowaliśmy sprawę. Poprosiłem go o zebranie pewnych informacji, które w inny sposób trudno byłoby mi zdobyć.

— Myśli pan, że tutejsi policjanci zostaną jego kumplami i pozwolą wyciągnąć z siebie sporo danych?

— Tak bym tego nie nazwał, ale przyznaję, że myślałem podobnie.

— A co potem?

— Przyszedłem tutaj, madame, aby zobaczyć się z panią. Muszę obejrzeć miejsce, w którym to się stało.

Pani Oliver odwróciła głowę i spojrzała na Jabłonki.

— Nie wygląda na dom, w którym można by popełnić zbrodnię — stwierdziła.

„Cóż za nieomylny instynkt!” — pomyślał Poirot.

— Tak — przyznał — zupełnie nie wygląda na taki dom. Kiedy już obejrzę miejsce zbrodni,

pójdziemy razem do matki zamordowanej dziewczynki. Posłucham, co ma do powiedzenia. Dzisiaj po południu mój przyjaciel Spence umówi mnie z inspektorem tutejszej policji. Chciałbym również porozmawiać z lekarzem i może z kierowniczką szkoły. O szóstej udam się ponownie do domu mojego przyjaciela Spence'a, wypiję herbatę i zjem kielbaski z nim i z jego siostrą, i spokojnie porozmawiamy o całej sprawie.

— Co spodziewa się pan jeszcze od niego usłyszeć?

— Przede wszystkim chcę się spotkać z jego siostrą. Mieszka tu dłużej, bo Spence przyjechał do niej dopiero po śmierci jej męża. Powinna dobrze znać tutejszych ludzi.

— Czy wie pan, co mi to wszystko przypomina? — spytała pani Oliver. — Komputer. Pan się programuje. Chyba tak to nazywają? Przez cały dzień wrzuca pan w siebie wszystkie dane, a potem czeka na wyniki.

— Coś w tym jest — Poirot przytaknął z zainteresowaniem. — Tak, tak, odgrywam częściowo rolę komputera. Zbieram informacje...

— I otrzymuje pan natychmiast kilka rozwiązań, a co jedno, to błędne? — zauważyła pani Oliver.

— Och, nie — odparł Poirot. — Komputerom się to nie zdarza.

— Wydaje nam się, że nie — powiedziała pani Oliver — ale byłby pan zdumiony, gdyby pan zobaczył, do czego są zdolne. Na przykład mój ostatni rachunek za światło. Wiem, że jest przysłowie „Mylić się jest rzeczą ludzką”, ale błąd ludzki jest niczym w porównaniu z tym, co potrafi komputer, jeśli już odważy się spróbować. Chodźmy na spotkanie z panią Drake.

Pani Drake wyglądała dokładnie tak, jak Poirot ją sobie wyobraził: wysoka, przystojna kobieta po czterdziestce, ze złocistymi włosami tkniętymi śladem siwizny i błyszczącymi, niebieskimi oczyma. Zdawała się być uosobieniem pewności i kompetencji; każde przyjęcie przez nią organizowane musiało się udać. W salonie oczekiwała na nich poranna kawa z dwoma słodkimi ciasteczkami.

Jabłonki był domem doskonale utrzymanym, z pięknym umeblowaniem i wspaniałymi dywanami. Wszystko było tak dokładnie wypolerowane i wyczyszczone, że niełatwo było zauważyć, iż wewnątrz, wbrew oczekiwaniom, nie było niczego szczególnie godnego uwagi. Kolory zasłon były przyjemne, ale konwencjonalne. Gdyby znalazł się ktoś, gotów zapłacić wysoki czynsz, można by było wynająć cały dom bez konieczności usuwania rzeczy wartościowych czy zmieniania czegokolwiek w umeblowaniu.

Pani Drake powitała panią Oliver i Poirota, usilnie tłumiąc rozdrażnienie. Detektyw domyślał się, że powodem była niezręczna sytuacja, w jakiej znalazła się jako gospodyni przyjęcia, na którym zdarzyła się rzecz tak niestosowna jak morderstwo. Jako szacowną przedstawicielkę społeczności Woodleigh Common unieszczęśliwiała ją znajomość się w tak nieodpowiedniej roli. To, co się zdarzyło, nie powinno było nastąpić. Mogło to spotkać kogoś innego w jakimś innym domu, ale na dziecięcym przyjęciu przez nią wydanym i organizowanym nie powinno mieć miejsca. Tak czy inaczej, powinna była upilnować, aby nic takiego się nie zdarzyło. Poirot podejrzewał również, że z

irytacją poszukiwała w pamięci przyczyny, ale bynajmniej nie przyczyny morderstwa. Chciała znaleźć i wytknąć niedyspozycję kogoś, kto jej pomógł, czyjeś chwilowe zachwianie zdolności postrzegania, które umożliwiło mordercy podjęcie działań.

— *Monsieur Poirot* — powiedziała pani Drake głosem wytwornym, który, jak pomyślał Poirot, świetnie brzmiałby w małej sali wykładowej lub w miejscu spotkań gospodyń wiejskich. — Jestem uszczęśliwiona pańskim przybyciem. Pani Oliver mówiła, że pańska pomoc w tej straszliwej sytuacji będzie nieoceniona.

— Oczywiście, *madame*, zrobię co w mojej mocy, ale zapewne doświadczenie życiowe podpowiada pani, że sprawa będzie trudna.

— Trudna? — powtórzyła pani Drake. — Tak, rzeczywiście wygląda na trudną. Wydaje się niewiarygodne, absolutnie niewiarygodne, że rzecz tak straszna mogła się wydarzyć. Przypuszczam — dodała — że policja może coś wiedzieć. Wiem, że inspektor Raglan ma w okolicy bardzo dobrą opinię. Nie mam pojęcia, czy powinni zawiadomić Scotland Yard. Wydaje mi się, że śmierć tego dziecka to sprawa lokalna. Nie muszę panu mówić, *monsieur Poirot*, przecież tak samo jak ja czyta pan gazety, że w kraju zdarza się wiele podobnych tragedii. I to coraz częściej. Coraz więcej jest ludzi niezrównoważonych psychicznie, a jednak, muszę stwierdzić, matki i, ogólnie mówiąc, rodziny nie opiekują się dziećmi jak należy. Dzieci same wracają wieczorami ze szkoły i same wychodzą wczesnym rankiem. Są na tyle głupie, że nie odmówią, gdy ktoś zaoferuje im podwiezienie ładnym samochodem. Wierzą w to, co im się mówi. Chyba nie ma na to rady.

— Ale, *madame*, wydarzenie, które tu miało miejsce, było zupełnie innej natury.

— Ach wiem, wiem. Dlatego użyłam określenia niewiarygodne. Wciąż nie mogę do końca w to uwierzyć — powiedziała pani Drake. — Wszystko było należycie przygotowane. Wszystko szło doskonale, dokładnie według planu. Trudno w to wszystko uwierzyć. Osobiście uważam, że musiało tu mieć miejsce coś, co nazwałabym ingerencją z zewnątrz. Ktoś wszedł do domu, co nie było trudne w tych warunkach, ktoś o silnych zaburzeniach psychicznych. Przypuszczam, że jeden z tych, których, jak widzę, wypuszczają, ze szpitali psychiatrycznych z powodu braku miejsc. Miejsca są wciąż potrzebne dla nowych pacjentów. Biedaczyna, jeżeli można mieć współczucie dla tych ludzi, co, przyznaję, przychodzi mi z wielką trudnością, zajrzał do środka i zobaczył dziecięce przyjęcie. Wśliznął się, odciągnął dziecko na bok i zamordował. Ciężko sobie wyobrazić, że to mogło się zdarzyć, ale zdarzyło się naprawdę.

— Może zechciałaby pani pokazać, gdzie...

— Oczywiście. Może jeszcze trochę kawy?

— Nie, dziękuję.

Pani Drake podniosła się.

— Policja przypuszcza, że to się zdarzyło podczas jedzenia płonących rodzynek. Byliśmy wówczas w pokoju jadalnym.

Przeszła przez hol, otworzyła drzwi i gestem gospodyni czyniącej honory domu grupie dostojnych gości wskazała na ogromny stół i ciężkie pluszowe zasłony.

— Oczywiście, było tu ciemno. Jedyne półmisek płonął. A teraz...

Poprowadziła ich przez hol i otworzyła drzwi do małego pokoju wypełnionego fotelami, reprodukcjami i półkami na książki.

— Biblioteka — rzekła pani Drake i zadrżała. — Tutaj stało wiadro. Oczywiście, na plastikowej płachcie.

Pani Oliver nie weszła do pokoju. Została na korytarzu. — Nie mogę tam wejść — powiedziała do Poirota. — To zbyt pobudzi moją wyobraźnię.

— Niczego już tam pani nie zobaczy — stwierdziła pani Drake. — Po prostu, tak jak państwo prosiliście, pokazuję wam, gdzie to się stało.

— Domyślam się — rzekł Poirot — że była tu woda, mnóstwo wody.

— W wiadrze, w wiadrze była woda — odparła pani Drake i spojrzała na Poirota jak na kogoś nie całkiem przytomnego.

— Była również na płachcie. Myślę, że jeżeli wepchnięto głowę dziecka do wiadra, wiele wody się rozlało.

— O tak. Nawet podczas chwytania jabłek zębami trzeba było napełniać kubek raz lub dwa.

— A więc należy przypuszczać, że osoba, która to uczyniła, została zmoczona.

— Tak; tak. Tak sędzę.

— Nic takiego nie zauważono?

— Nie, nie. Inspektor pytał mnie o to. Widzi pan, pod koniec wieczoru niemal każdy był nieco rozchełstany, zmoczony lub obsypany mąką. To chyba o niczym nie świadczy. Przynajmniej policja tak sądzi.

— Tak — przyznał Poirot. — Jedyne tropem, jak przypuszczam, jest samo dziecko. Mam nadzieję, że opowiecie mi państwo o niej wszystko, co wiecie.

— O Joyce?

Pani Drake wyglądała na nieco zdumioną. Sprawiała wrażenie, że tak dalece zapomniała o Joyce, iż napomknięcie o dziewczynce wielce ją zdziwiło.

— Ofiara jest zawsze ważna — zauważył Poirot. — Widzicie panie, ofiara jest sama często przyczyną zbrodni.

— Tak, to możliwe. Rozumiem, co ma pan na myśli — powiedziała pani Drake, choć było widoczne, że właśnie ona jest innego zdania. — Może wrócimy do salonu?

— A potem opowiecie mi, panie, o Joyce — rzekł Poirot. Ponownie usiedli w salonie.

Pani Drake wyglądała na zaniepokojoną.

— Zupełnie nie wiem, panie Poirot, czego pan ode mnie oczekuje — stwierdziła. — Na pewno wszystkiego może się pan dowiedzieć na policji lub od matki Joyce. Biedna kobieta. To musiał być dla niej, bez wątpienia, wielki wstrząs, ale...

— Ale to, czego oczekuję — odezwał się Poirot — to nie opinia matki nieżyjącej córki, lecz bezstronne zdanie kogoś, kto zna naturę ludzką. Wiem, że pani brała aktywny udział w wielu pracach społecznych i związanych z opieką społeczną. Jestem pewien, że nikt nie jest bardziej predestynowany do nakreślenia rysów charakteru i wrodzonych skłonności ludzi.

— Tak, lecz jest to nieco trudne, jeżeli chodzi o nastolatki. Joyce miała trzynaście... Niech pomyślę... Tak, dwanaście albo trzynaście lat. Dzieci w tym wieku są do siebie bardzo podobne.

— Ależ skąd. Na pewno nie — zaprzeczył Poirot. — Mają odmienne charaktery i skłonności. Czy pani ją lubiła?

Wydawało się, że dla pani Drake było to dość kłopotliwe pytanie.

— Tak, oczywiście... lubiłam ją. Przecież lubię wszystkie dzieci. Zresztą jak większość ludzi.

— Tu się z panią nie zgadzam — zaprzeczył Poirot. — Uważam, że niektóre dzieci są bardzo nieprzyjemne.

— Tak, to prawda. W dzisiejszych czasach nie są najlepiej wychowywane. Wszystko pozostawia się szkole. Prowadzą bardzo swobodny tryb życia. Same dobierają sobie przyjaciół. Ma pan rację, panie Poirot.

— Czy była miłym dzieckiem, czy wręcz przeciwnie? — pytał z uporem Poirot.

Pani Drake spojrzała na niego i stwierdziła, że jest niezadowolony.

— Musi pan zrozumieć, *monsieur* Poirot, że to biedne dziecko nie żyje.

— Właśnie dlatego pytam. Być może, gdyby była przyjemnym dzieckiem, nikt nie chciałby jej zrobić krzywdy, jeżeli zaś była nieznośna, ktoś miał ochotę ją zabić i zrobił to.

— Tak, rozumiem. Tak naprawdę nie chodzi o to, czy była miła?

— Nie dosłownie. Jeśli dobrze zrozumiałem, twierdziła, że widziała morderstwo.

— O tak — pani Drake potwierdziła z pobłażaniem.

— Nie wzięła pani tego poważnie?

— Oczywiście, że nie. Głupio z jej strony, że to mówiła.

— Jak do tego doszło?

— Myślę, że wszyscy byli bardzo podekscytowani obecnością pani Oliver. Proszę pamiętać, moja droga, że jest pani znaną osobą — powiedziała pani Drake, zwracając się do pani Oliver.

Słowo „droga” było wypowiedziane bez szczególnego entuzjazmu.

— Nie sądzę, aby w ogóle podjęto ten temat, gdyby nie widok słynnej autorki.

— A więc Joyce twierdziła, że widziała morderstwo — powtórzył Poirot w zamyśleniu.

— Tak, powiedziała coś takiego. Nie słuchałam dokładnie.

— Ale pamięta pani, że to mówiła?

— Ach tak, mówiła, ale jej nie uwierzyłam — odpowiedziała pani Drake. — Jej siostra bez trudu ją uciszyła.

— Czy była tym rozdrażniona?

— Tak, upierała się, że to prawda.

— Na pewno się przechwalała.

— Tak, jeżeli tak to określimy.

— Przypuszczam, że to mogła być prawda — powiedział Poirot.

— Nonsens! Nie wierzyłam w to nawet przez chwilę — rzekła pani Drake. — Joyce często plotła takie głupoty.

— Czy była głupia?

— W jej naturze leżała chęć popisywania się — stwierdziła pani Drake. — Wie pan, zawsze chciała widzieć i zrobić więcej niż inne dziewczęta.

— Niełatwo było ją polubić — przyznał Poirot.

— Naprawdę niełatwo — zgodziła się pani Drake. — Nie dawała innym dojść do słowa.

— Co na to inne dzieci? Czy przejęły się tym, co mówiła?

— Wyśmiały ją — odparła pani Drake. — Oczywiście się wściekła.

— Dobrze — powiedział Poirot wstając. — Cieszy mnie, że pamięta pani wszystko tak dokładnie. — Pochylił się uprzejmie nad jej dłonią. — Do widzenia, *madame*. Dziękuję za pokazanie mi miejsca tego nieprzyjemnego wydarzenia. Mam nadzieję, że nie wywołało to u pani zbyt silnych i nieprzyjemnych wspomnień.

— Oczywiście — zgodziła się pani Drake — przypomnianie rzeczy tego rodzaju jest bardzo bolesne. Miałam wielką nadzieję, że to nasze małe przyjęcie się uda. Rzeczywiście wszystko przebiegało doskonale i goście byli zadowoleni, aż do chwili tego strasznego zdarzenia. Jedyne, co możemy zrobić, to starać się zapomnieć o tym wszystkim. Oczywiście, to bardzo niefortunne, że Joyce zrobiła tę głupią uwagę o morderstwie.

— Czy w Woodleigh Common zdarzyło się już jakieś morderstwo?

— Niczego takiego nie pamiętam — bez wahania stwierdziła pani Drake.

— W czasach, w których żyjemy, kiedy liczba zbrodni gwałtownie wzrasta, coś takiego wydaje się niezwykle. Nie sądzi pani?

— Cóż, przypominam sobie, że kiedyś kierowca ciężarówki zabił swojego kumpla. Znalezione również ciało małej dziewczynki, zagrzebane w dole około piętnastu kilometrów stąd, ale było to już wiele lat temu. Oba wypadki to były zbrodnie brudne i nieciekawe, będące, jak sądzę, wynikiem pijaństwa.

— Rzeczywiście, nie wydaje się, aby dwunaste — lub trzynastoletnia dziewczynka mogła być ich świadkiem.

— Wielce nieprawdopodobne, przyznaję. Mogę pana zapewnić, *monsieur* Poirot, że Joyce powiedziała to jedynie w celu wywarcia wrażenia na innych dzieciach i zainteresowania sobą sławnej osoby — mówiąc to, pani Drake spojrzała chłodno na panią Oliver.

— Rzeczywiście — przyznała pisarka — przypuszczam, że wszystko zdarzyło się z powodu mojej obecności na przyjęciu.

— Ależ oczywiście, że nie. Nie to miałam na myśli. Już po opuszczeniu domu, idąc obok pani Oliver, Poirot westchnął.

— Bardzo nieodpowiednie miejsce do popełnienia morderstwa — powiedział, gdy zmierzali ścieżką do furtki. — Brak atmosfery zbrodni, brak tajemniczego sensu tragedii i ani jednej osoby wartej zamordowania, chyba że uznamy, iż od czasu do czasu ktoś ma ochotę ukatrupić panią Drake.

— Rozumiem pana. Czasami bywa bardzo irytująca. Jest ciągle z siebie zadowolona i nieustannie się podziwia, często bez powodu.

— Jakiego ma męża?

— Jest wdową. Jej mąż zmarł rok lub dwa lata temu. Zachorował na polio i przez lata był kaleką. Kiedyś był chyba bankierem. Bardzo lubił gry i sport. Nie mógł ścierpieć, że został inwalidą i musiał

porzucić to wszystko.

— Tak, rozumiem — stwierdził Poirot. Po chwili powrócił do tematu dziewczynki. — Czy ktokolwiek ze słuchających wziął poważnie oświadczenie Joyce o morderstwie?

— Nie wiem. Nie sądzę, aby tak było.

— Na przykład inne dzieci?

— Myślałam już o tym. Nie, nie sądzę, aby uwierzyły w to, co mówiła Joyce. Sądziły, że fantazjuje.

— Czy pani też tak uważała?

— Tak, ja też odniosłam takie wrażenie — odpowiedziała pani Oliver. — Oczywiście — dodała — pani Drake chciałaby uwierzyć, że morderstwa nigdy nie było, ale to jej się chyba nie uda. Prawda?

— Rozumiem, że to było dla niej bolesne.

— Zapewne tak — przyznała pani Oliver — ale pewnie już teraz opowiada o tym z zadowoleniem. Nie sądzę, aby chciała robić z tego tajemnicę.

— Czy pani ją lubi? — spytał Poirot. — Czy myśli pani, że jest miła?

— Pan naprawdę zadaje trudne i kłopotliwe pytania — powiedziała pani Oliver. — Wydaje się, że interesuje się pan jedynie tym, czy ludzie są mili, czy też nie. Rowena Drake rządzi się jak szara gęś. Uwielbia dyrygować rzeczami i ludźmi. Przypuszczam, że w mniejszym lub większym stopniu rządzi całą miejscowością i robi to bardzo skutecznie. Nie wiem, czy lubi pan władcze kobiety. Ja niezbyt...

— A co pani powie o matce Joyce, do której właśnie idziemy?

— To bardzo miła kobieta. Raczej mało błyskotliwa. Współczuję jej. To straszne stracić dziecko w taki sposób. Nie sądzi pan? Co gorsza, wszyscy wokół uważają, że to zbrodnia na tle seksualnym.

— Ale, o ile zrozumiałem, nie było po temu żadnych przesłanek?

— Nie, ale ludzie lubią interpretować to w ten sposób. To bardziej podniecające. Wie pan, jacy są ludzie.

— Tak, wydają osąd, choć czasami naprawdę nie wiadomo wszystkiego do końca.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby moja przyjaciółka, Judith Butler, zaprowadziła pana do pani Reynolds? Znają bardzo dobrze, a ja jestem tu obca.

— Zrobimy tak, jak planowaliśmy.

— A więc pański program komputerowy nadal działa — mruknęła buntowniczo pani Oliver.

Rozdział siódmy

Pani Reynolds była przeciwieństwem pani Drake. Nie starała się być uosobieniem pewności i kompetencji. Rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że cechy te są obce jej charakterowi. Gotowa w każdej chwili rozplątać się we łzach, zaciskała w ręku wilgotną chusteczkę.

— To bardzo miło z pani strony — zwróciła się do pani Oliver — że przyprowadziła pani swojego przyjaciela, aby nam pomógł. — Podała Poirotowi wilgotną rękę, spoglądając na niego z powątpiewaniem. — I jeżeli może jakoś pomóc, będę mu bardzo wdzięczna, chociaż nie widzę, co by tu jeszcze można zrobić. Nic mi nie przywróci mojego kochanego dziecka. To koszmar myśleć o tym. Jak ktoś mógł rozmyślnie zabić dziecko? Gdyby tylko mogła krzyknąć, ale on na pewno od razu wepchnął jej głowę pod wodę i tak trzymał. Nie mogę o tym myśleć. Naprawdę nie mogę.

— Doprawdy, *madame*, nie zamierzam pani niepokoić. Nie ośmieliłbym się. Chciałbym jedynie zadać kilka pytań, które mogłyby pomóc znaleźć mordercę pani córki. Zapewne nie ma pani pojęcia, kto to mógł być?

— Skąd mogłabym wiedzieć? Nie wpadłoby mi do głowy, że to może być ktoś z tutejszych mieszkańców. To taka miła miejscowość. I ludzie są tacy mili. To był jakiś straszny człowiek, który wszedł przez okno. Może przyniósł narkotyki lub coś takiego. Zobaczył światło i przyjęcie, i przyszedł bez zaproszenia.

— Jest pani zupełnie pewna, że napastnikiem był mężczyzna?

— Musiał być. — Pani Reynolds była zaskoczona. — Jestem pewna, że tak. Przecież to nie mogła być kobieta?

— Kobieta również może mieć wystarczająco dużo siły.

— Rozumiem, co ma pan na myśli. Uważa pan, że kobiety są w dzisiejszych czasach wygimnastykowane. Ale kobieta nie byłaby w stanie zrobić czegoś takiego. Jestem tego pewna. Joyce była tylko dzieckiem, trzynastoletnim dzieckiem.

— Nie zamierzam, *madame*, niepokoić pani swoją obecnością i zadawaniem trudnych pytań. To, jestem pewien, robi już gdzie indziej policja. Nie chcę denerwować pani, jątrząc bolesne wspomnienia. Interesuje mnie jedynie uwaga, którą pani córka poczyniła na przyjęciu. Pani chyba tam nie było?

— Nie. Ostatnio nie czuję się dobrze, a dziecięce przyjęcia bywają bardzo męczące. Zaprowadziłam dzieci, a potem przyszedłam je zabrać. Wie pan, poszli razem we trójkę. Starsza ma prawie szesnaście lat, a Leopold jedenaście. Co takiego powiedziała Joyce, o czym chciałby pan wiedzieć?

— Obecna tu pani Oliver powie pani dokładnie, co powiedziała pani córka. Wiem, że mówiła, iż widziała morderstwo.

— Joyce? Och, nie mogła powiedzieć czegoś takiego. Jakie morderstwo mogła zobaczyć?

— Tak, wszyscy uznali to za niemożliwe — powiedział Poirot. — Po prostu chciałem dowiedzieć się, czy pani uważa to za możliwe. Czy kiedykolwiek o tym mówiła?

— O tym, że widziała morderstwo? Joyce?

— Musi pani pamiętać, że słowo morderstwo mogło być użyte przez kogoś w wieku Joyce dość dowolnie. Może dotyczyło to kogoś przejechanego przez samochód lub dziecka, które w czasie wspólnej bijatyki zostało wepchnięte do strumienia lub zepchnięte z mostu. Czegoś niezbyt istotnego, co miało nieszczęśliwy finał.

— Nie przychodzi mi na myśl nic takiego, co Joyce mogłaby tutaj zobaczyć. Na pewno o niczym podobnym nigdy mi nie mówiła. Musiała żartować.

— Była tego pewna — powiedziała pani Oliver. — Upierała się, że to prawda i że to widziała.

— Czy ktoś jej uwierzył? — spytała pani Reynolds.

— Nie wiem — odparł Poirot.

— Nie sądzę, żeby uwierzyli — orzekła pani Oliver — a może nie chcieli zachęcać jej mówiąc, że wierzą.

— Byli skłonni kpić z niej i twierdzić, że wszystko wymyśliła — stwierdził Poirot, mniej oględny niż pani Oliver.

— Tak, to nie było miłe z ich strony — powiedziała pani Reynolds. — Tak jakby Joyce często coś zmyślała. — Zarumieniła się, oburzona.

— Tak, trudno w to uwierzyć — przyznał Poirot. — Jest bardzo prawdopodobne, że się pomyliła. Być może widziała coś, co naprawdę wyglądało na morderstwo. Na przykład jakiś wypadek.

— Powiedziałyby mi o tym, gdyby tak było, prawda? — mówiła oburzona pani Reynolds.

— Prawdopodobnie — zgodził się Poirot. — Czy nigdy o czymś takim nie wspominała? Mogła pani zapomnieć. Zwłaszcza, jeżeli nie było to nic ważnego.

— Kiedy to miało być?

— W tym kłopot, że nie wiemy — powiedział Poirot. — Mogło to się zdarzyć trzy tygodnie lub trzy lata temu. Powiedziała, że była wtedy „całkiem młoda”. Co myśli trzynastoletnie dziecko, mówiąc „całkiem młoda”? Nie pamięta pani jakiegoś sensacyjnego wydarzenia w okolicy?

— Nie, raczej nie. O tym, co było, słyszał pan już albo czytał w gazetach. Wie pan, napadnięto na kobietę, nakryto dziewczynę z jej chłopakiem i rym podobne rzeczy. Ale nic ważnego, co mogłabym zapamiętać lub co zainteresowałoby Joyce. Nic w tym rodzaju.

— Ale gdyby Joyce twierdziła stanowczo, że widziała morderstwo, czy uwierzyłaby jej pani?

— Przecież nie mówiłaby, gdyby naprawdę nie widziała — stwierdziła pani Reynolds. — Myślę, że coś jej rzeczywiście zamieszało w głowie.

— Obawiam się, że to prawdopodobne. Czy mógłbym porozmawiać z dwójką pani dzieci, które również były na przyjęciu?

— Tak, oczywiście, choć nie wiem, czego pan się spodziewa po tej rozmowie. Anna na górze przygotowuje się do matury, a Leopold składa w ogrodzie model samolotu.

Leopold był silnie zbudowanym chłopcem o nalanej twarzy, całkowicie w tej chwili pochłoniętym jakimś mechanizmem. Dopiero po pewnym czasie zwrócił uwagę na zadawane mu pytania.

— Byłeś tam, Leopoldzie, prawda? Słyszałeś, co mówiła twoja siostra. Co powiedziała?

— A, pan myśli o morderstwie? — sprawiał wrażenie znudzonego.

— Tak, o to pytam — potwierdził Poirot. — Mówiła, że widziała kiedyś morderstwo. Czy rzeczywiście widziała?

— Nie, oczywiście, że nie — odpowiedział Leopold. — Czy w ogóle ktoś widział kiedyś morderstwo? Ale to w jej stylu.

— Co przez to rozumiesz?

— Popisywanie się — odparł Leopold, kręcąc kawałkiem drutu i w skupieniu posapując przez nos. — Była strasznie głupia — dodał. — Wie pan, mogła opowiadać byle co, żeby tylko ludzie usiedli i słuchali.

— A zatem przypuszczasz, że wszystko wymyśliła?

Leopold spojrzał na panią Oliver.

— Przypuszczam, że zamierzała zrobić na pani wrażenie — powiedział. — Pani pisze kryminały, tak? Wymyśliła sobie, że powinna pani zwrócić na nią uwagę bardziej niż na innych.

— To też było do niej podobne, prawda? — spytał Poirot.

— Och, powiedziałyby cokolwiek — stwierdził Leopold. — Założę się, że i tak nikt jej nie uwierzył.

— Byłeś przy tym? Czy sądzisz, że ktoś uwierzył?

— Słyszałem, jak o tym mówiła, ale nie słuchałem tego. Beatrice śmiała się z niej razem z Cathie. Mówiła, że to bujda, czy coś podobnego.

Wyglądało na to, że niewiele więcej będzie można wyciągnąć od Leopolda. Weszli na górę, gdzie Anna, wyglądająca na więcej niż szesnaście lat, pochylała się nad stołem zarzuconym podręcznikami.

— Tak, byłam na przyjęciu — stwierdziła.

— Słyszałaś, jak twoja siostra mówiła, że widziała morderstwo?

— Och, tak. Słyszałam, ale nie zwróciłam na to uwagi.

— Nie przyszło ci do głowy, że to prawda?

— Ależ to nieprawda. Od wieków nie było tu żadnych morderstw. Nie sądzę, aby w ostatnich latach zdarzyła się jakaś zbrodnia.

— A więc, jak myślisz, dlaczego tak powiedziała?

— Och, lubiła się popisywać. Miała to w zwyczaju. Kiedyś opowiadała wspaniałą historię o swojej podróży do Indii. Mój wuj był tam kiedyś, a ona udawała, że była wraz z nim. Wiele dziewczyn w szkole naprawdę jej uwierzyło.

— Więc nie pamiętasz żadnego morderstwa, które zdarzyłoby się tutaj w ciągu ostatnich dwóch lub trzech lat?

— Nie. Tylko zwykłe wypadki — powiedziała Anna — takie, o których czytamy codziennie w gazetach. Poza tym nie wydarzyły się w Woodleigh Common, ale, o ile pamiętam, w większości w Medchester.

— Jak sądzisz, Anno, kto zabił twoją siostrę? Musiałaś znać jej przyjaciół i ludzi, którzy jej nie lubili.

— Nie mam pojęcia, kto mógł chcieć ją zabić. Myślę, że ktoś stuknięty. Któż inny mógłby to zrobić?

— Nie było nikogo, kto się z nią kłócił lub jej nie znosił?

— Pyta pan, czy miała wrogów? Myślę, że to głupie pytanie. Ludzie nie mają prawdziwych wrogów. Po prostu się nie lubią.

Kiedy wyszli z pokoju, Anna dodała:

— Nie chciałabym mówić źle o Joyce, bo już nie żyje, ale była strasznym łgarzem. Przykro mi mówić takie rzeczy o własnej siostrze, ale to prawda.

— Czy robimy jakieś postępy? — spytała pani Oliver, gdy wychodzili.

— Żadnych — powiedział Herkules Poirot. — To intrygujące — dodał w zamyśleniu.

Wyglądało na to, że pani Oliver wcale się z nim nie zgadza.

Rozdział ósmy

W Pine Crest była szósta. Herkules Poirot włożył do ust kawałek kiełbasy i popił łykiem herbaty. Herbata była mocna, lecz niezbyt smaczna, za to kiełbasa doskonała. Posłał pełne uznania spojrzenie na drugi koniec stołu, gdzie pani McKay zasiadła nad wielkim brązowym imbrykiem do herbaty.

Elsbeth McKay we wszystkich szczegółach była zupełnie niepodobna do swojego brata, nadinspektora Spence'a. On był okrągły, a ona kanciasta i sucha jak wiór. Jednak istniało między nimi pewne podobieństwo — głównie oczu i silnie zarysowanej szczęki. W ostrych rysach jej twarzy dostrzegało się zdolność do bystrej oceny świata. Poirot pomyślał, że można polegać na zdaniu rodzeństwa i ich poczuciu zdrowego rozsądku. Może inaczej będą wyrażali swoje myśli, ale sens wypowiedzi będzie taki sam. Nadinspektor Spence będzie mówił powoli i ostrożnie, po długim namyśle i rozważaniach. Słowa pani McKay będą ostre i szybkie jak ruchy kota chwytającego mysz.

— Wiele zależy — powiedział Poirot — od charakteru tego dziecka. Joyce Reynolds. To mnie teraz najbardziej zastanawia. — Spojrzał pytająco na Spence'a.

— Proszę na mnie nie liczyć — odparł Spence. — Za krótko tu mieszkam. Lepiej pytać Elspeth.

Poirot spojrział przez stół i uniósł pytająco brwi. Pani McKay odpowiedziała jak zwykle ostro:

— Była strasznym łgarzem.

— Nie można było wierzyć w to, co mówiła? Elspeth zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Nie. Potrafiła opowiadać niestworzone rzeczy i, proszę zauważyć, robiła to dobrze. Nie wierzyłabym jej.

— W ten sposób się popisowała?

— O właśnie, trafnie pan to ujął. Czy już opowiedzieli panu historię o Indiach? Wie pan, że wielu w nią uwierzyło. Joyce była z rodziną gdzieś na wakacjach. Gdzieś za granicą. Matka z ojcem czy wuj z ciotką, nie wiem dokładnie, pojechali do Indii, a ona wróciła z wakacji z niewiarygodnymi opowieściami o tym, jak ją w Indiach przyjmowano. Zrobiła z tego niezłą historię. Maharadza, strzelanie do słoni i tygrysów... Dobrze się tego słuchało i wielu uwierzyło, ale ja powiedziałam wprost, że opowiada więcej, niż się kiedykolwiek zdarzyło. Najpierw pomyślałam, że może po prostu przesadza. Ale historia rosła w miarę upływu czasu. Wciąż przybywało tygrysów; wie pan, co mam na myśli. Było ich już znacznie więcej, niż mogło się pojawić. To samo ze słoniami. Już przedtem wiedziałam, że opowiada niewiarygodne historie.

— Zawsze żeby zwrócić na siebie uwagę?

— Tak, ma pan rację. W sposób mistrzowski przykuwała uwagę.

— Nie możesz powiedzieć, że każda niewiarygodna historia, którą opowiedział ten dzieciak, była kłamstwem, tylko dlatego, że wymyśliła nieprawdopodobne rzeczy o podróży, której nigdy nie odbyła — wtrącił nadinspektor Spence.

— A więc nie uwierzyłaby pani Joyce Reynolds opowiadającej o tym, że widziała morderstwo? Sądziłaby pani, że kłamie?

— Tak właśnie bym pomyślała — przyznała pani McKay.

— Mogłabyś się pomylić — wtrącił brat.

— Tak — zgodziła się pani McKay. — Każdy może się pomylić. To tak, jak w starej historyjce o chłopcu, który zbyt często krzychał: „Wilk, wilk”. Kiedy przyszedł prawdziwy wilk, nikt mu nie uwierzył i wilk go porwał.

— A więc, podsumowując...

— Nadal twierdzę, że prawdopodobnie nie mówiła prawdy, ale podchodząc do sprawy uczciwie, nie mogę zaprzeczyć, że mogła widzieć. Mogła rzeczywiście coś zobaczyć. Może nie całkiem to, co powiedziała, ale jednak coś.

— I została zabita — rzucił nadinspektor Spence. — Zastanów się, Elspeth. Została zabita.

— Rozumiem to doskonale — odpowiedziała pani McKay — i dlatego mówię, że mogłam ją mylnie ocenić. Jeżeli tak, przepraszam. Ale zapytaj kogokolwiek, kto ją znał, a powie ci, że kłamstwa w sposób naturalny płynęły z jej ust. Pamiętaj, że była na przyjęciu i była podniecona. Chciała wywrzeć wrażenie.

— Rzeczywiście, nie uwierzono jej — przyznał Poirot.

Elspeth McKay potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

— Czyją śmierć mogła widzieć? — spytał Poirot.

— Niczyją — stwierdziła stanowczo pani McKay.

— Musiały być tu jakieś zgony, powiedzmy, w ciągu ostatnich trzech lat.

— O tak, oczywiście — powiedział Spence. — Jak zwykle ludzie starzy i inwalidzi, no i ofiary wypadków drogowych, jak wszędzie...

— A niezwykle i nieoczekiwane śmierci?

— Tak... — Elspeth zawahała się. — Myślę...

Spence sięgnął po kartkę.

— Zapisałem tu kilka nazwisk. Zaoszczędzi to panu nieco czasu i wypytywania — powiedział, podając ją Poirotowi.

— Czy to przypuszczalne ofiary?

— To za dużo powiedziane. Powiedzmy, że istnieje cień podejrzenia.

Poirot czytał głośno.

— Pani Llewellyn-Smythe. Charlotte Benfield. Janet White. Lesley Ferrier — przerwał i spoglądając przez stół, powtórzył pierwsze nazwisko. — Pani Llewellyn-Smythe.

— No, może. Tak, w tym może coś być — zauważyła pani McKay, dodając słowo, które zabrzmiało jak „opera”.

— Opera? — zdziwił się Poirot. Nie słyszał o żadnej operze.

— Wyszła któreś nocy — powiedziała Elspeth — i więcej jej nie widziano.

— Pani Llewellyn-Smythe?

— Nie, nie. Dziewczyna z opery. Mogła z łatwością włożyć coś do lekarstw. I przejęła całą fortunę, a przynajmniej tak jej się na początku wydawało.

Poirot spojrzał na Spence’a, oczekując wyjaśnień.

— I odtąd słuch o niej zaginął — dokończyła pani McKay.

— Te cudzoziemskie dziewczyny są wszystkie takie same.

Poirot zrozumiał słowo „opera”.

— Była dziewczyną *au pair** — powiedział.

— Właśnie tak. Mieszkała ze starą damą i w tydzień lub dwa po jej śmierci zniknęła.

— Powiedziałbym, że odeszła z jakimś facetem — zauważył Spence.

— Jeżeli tak, to nikt o nim nie słyszał — stwierdziła Elspeth.

— Zwykle wiele się tu o tym mówi. Wiadomo, kto z kim chodzi.

— Czy ktoś przypuszczał, że śmierć pani Llewellyn-Smythe była nienaturalna?

— Nie. Miała kłopoty z sercem. Była pod stałą opieką lekarską.

— Ale umieścił ją pan na czele swojej listy prawdopodobnych ofiar?

— Była bogata, bardzo bogata. Jej śmierć nie była nieoczekiwana, ale nastąpiła gwałtownie. Powiem od razu, że doktor Ferguson był zaskoczony, a nawet zdumiony. Pewnie spodziewał się, że pożyje dłużej. Ale lekarzy spotykają takie niespodzianki. Nie należała do tych, którzy stosują się do zaleceń lekarzy. Miała się oszczędzać, ale robiła, co chciała. Była zapaloną ogrodniczką, a ciężka praca nie wpływała dobrze na jej serce.

Elsbeth McKay podjęła opowiadanie:

— Przyjechała tutaj, gdy zapadła na zdrowiu. Przedtem mieszkała za granicą. Przyjechała tu, aby być bliżej swojego bratanka i bratanicy, pana i pani Drake. Kupiła Quarry House. Wielki wiktoriański dom z nie używanym kamieniołomem, którego wykorzystaniem się zainteresowała. Wydała tysiące funtów, aby zamienić go w „podwodny” ogród, czy jak to tam nazywają. Sprowadziła tu, chyba z Wisley, ogrodnika, specjalistę od krajobrazów, aby to wszystko zaprojektował. Mówię panu, jest na co popatrzeć.

— Pójdę zobaczyć — zapewnił Poirot. — Może nasunie mi to jakaś myśl.

— Na pańskim miejscu też bym poszła. To warto zobaczyć. — I mówi pani, że była bogata?

— Wdowa po wielkim budowniczym statków. Miała mnóstwo pieniędzy.

— Można się było spodziewać jej śmierci, bo chorowała na serce, ale koniec nastąpił nagle — powiedział Spence. — Nie wątpiono w naturalne przyczyny zgonu. Zwyczajnie, atak serca, choć może lekarze mają na to jakąś bardziej skomplikowaną nazwę.

— Nie próbowano wszcząć dochodzenia? Spence potrząsnął głową.

— To się zdarza — zauważył Poirot. — Zabroniono starszej kobiecie biegać po schodach w górę i w dół, pracować intensywnie w ogrodzie i tak dalej. Ale energiczna, pełna entuzjazmu, przywykła przez całe życie postępować zgodnie z własną wolą, nie potraktowała poleceń z należytą powagą.

— To prawda. Pani Llewellyn-Smythe zrobiła z kamieniołomu coś wspaniałego, lub raczej zrobił to jej specjalista od krajobrazów. Zajmowali się tym oboje przez trzy lub cztery lata. Widziała kilka podobnych rzeczy, chyba w Irlandii, gdzie pojechała na specjalną wycieczkę po ogrodach, zorganizowaną przez Korporację Narodową. Pamiętając tamte cudowności, przy pomocy ogrodnika całkowicie przekształciła kamieniołom. Trzeba to zobaczyć, aby uwierzyć.

— A więc to śmierć naturalna — powiedział Poirot — stwierdzona przez tutejszego lekarza. Czy ten lekarz jest tu nadal? I z kim jeszcze mam się spotkać?

— Lekarz ciągle tu jest, doktor Ferguson. Ma około sześćdziesiątki. Jest dobry w swoim zawodzie i wszyscy go tutaj lubią.

— Ale pani podejrzewa, że mogła zostać zamordowana? Co panią do tego skłania poza tym, co już pani powiedziała?

— A choćby dziewczyna z opery — odpowiedziała Elspeth.

— Dlaczego?

— Ona musiała sfałszować testament. Któż inny mógł to zrobić?

— Musi pani powiedzieć mi coś więcej — stwierdził Poirot.

— O co chodzi z tym fałszowaniem testamentu?

— Było wiele zamieszania, gdy przyszło do jego uprawomocnienia. Chyba tak to nazywają.

— Czy był nowy testament?

Było coś, co brzmi jak ryba: kody... kodycyl*. — Elspeth spojrzała na Poirota, który skinął głową.

— Testamenty sporządzała wcześniej. — wtrącił Spence

— Zapisywała coś dla instytucji charytatywnych i starych służących, ale główna fortuna przechodziła zawsze na jej bratanka i jego żonę, którzy byli najbliższą rodziną.

— A ten szczególny kodycyl?

— Pozostawiła wszystko dziewczynie z opery — powiedziała Elspeth. — „Za jej pełną poświęcenia opiekę i życzliwość”, czy coś w tym rodzaju.

— Zatem proszę powiedzieć mi nieco więcej o tej dziewczynie *au pair*.

— Pochodziła z jakiegoś kraju o bardzo długiej nazwie, w Europie Środkowej.

— Jak długo była ze starszą panią?

— Nieco ponad rok.

— Zawsze nazywa ją pani starszą panią. Ile miała lat?

— Dobrze po sześćdziesiątce. Sześćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt sześć.

— Nie była taka stara — zauważył poruszony Poirot.

— Wszyscy twierdzą, że sporządziła kilka testamentów — powiedziała Elspeth.

— Jak już wspomniał Bert, wszystkie prawie takie same. Zmieniała jedną lub dwie instytucje charytatywne, którym zostawiała pieniądze, starych służących zaś obdarzała coraz to innymi prezentami. Ale główna suma pieniędzy przechodziła zawsze na jej bratanka i jego żonę, i chyba na jakiegoś starego kuzyna, który jednak zmarł przed nią. Specjaliście od krajobrazów zostawiła w wieczne użytkowanie bungalow, który dla niego zbudowała, i jakąś pensję, aby utrzymywał w dobrym stanie ogród w kamieniołomie i udostępniał go publiczności. To mniej więcej wszystko.

— Przypuszczam, że rodzina stwierdziła, iż równowaga jej umysłu została zachwiana i że była pod jakimś wpływem?

— Myślę, że doszłoby do tego — wtrącił Spence — ale, jak już powiedziałem, prawnicy szybko wykryli fałszerstwo. Było oczywiste i niezbyt przekonujące. Wykryli je niemal natychmiast.

— Wyszło na jaw, że dziewczyna z opery mogła je popełnić z łatwością — poinformowała Elspeth. — Widzi pan, pisała dla pani Llewellyn-Smythe większość listów. Pani Llewellyn-Smythe bardzo nie lubiła wysyłać do przyjaciół listów pisanych na maszynie. Jeżeli to nie był list dotyczący interesów, zawsze mówiła: „Napisz to tak, aby wyglądało na mój charakter pisma i podpisz za mnie”. Pani Minden, sprzątaczką, słyszała, jak mówiła to któregoś dnia. Przypuszczam, że dziewczyna przywykła do naśladowania pisma chlebodawczyni i nagle wpadła na pomysł, że może to wykorzystać i uciec. Ale, jak już powiedziałam, prawnicy byli zbyt cwani i nakryli ją.

— Prawnicy pani Llewellyn-Smythe?

— Tak. Fullerton, Harrison i Leadbetter. Firma bardzo szanowana w Medchester. Zawsze załatwiali wszystkie jej sprawy urzędowe. Sprowadzili ekspertów, zadali dziewczynie kilka pytań i rozszyfrowali ją. Odeszła któregoś dnia, zostawiając połowę swoich rzeczy. Zamierzali wystąpić przeciwko niej, ale nie czekała na to. Po prostu wyjechała. Naprawdę, nie tak trudno opuścić ten kraj, jeżeli zrobi się to na czas. Na kontynent można wyjechać na krótką wycieczkę bez paszportu. Wystarczy umówić się z kimś po drugiej stronie i wszystko zorganizować, zanim się zacznie wrzawa. Prawdopodobnie wróciła do swojego kraju albo zmieniła nazwisko, albo uciekła do przyjaciół.

— Ale wszyscy sądzili, że pani Llewellyn-Smythe zmarła śmiercią naturalną? — spytał Poirot.

— Tak. Nie sądzę, aby były jakieś wątpliwości. Może dlatego, że jak już powiedziałam, to zdarzyło się wcześniej, kiedy doktor nie miał jeszcze żadnych podejrzeń. Załóżmy, że ta mała Joyce coś usłyszała. Na przykład pani Llewellyn-Smythe, dostając lekarstwa od tej dziewczyny *au pair*, mogła powiedzieć: „To lekarstwo jakoś dziwnie smakuje” albo „To takie gorzkie” czy też „Jaki dziwny smak”.

— Ktoś mógłby pomyśleć, Elspeth, że byłaś tam i słuchałaś tego wszystkiego — powiedział nadinspektor Spence. — To wszystko twoja imaginacja.

— Kiedy zmarła? — spytał Poirot. — Rano, wieczorem, w domu czy poza domem?

— Ależ w domu. Któregoś dnia robiła coś w ogródku i wróciła, ciężko dysząc. Powiedziała, że jest bardzo zmęczona, poszła się położyć i nigdy się nie obudziła. Wydaje mi się, że z medycznego punktu widzenia nie ma w tym nic dziwnego.

Poirot wyciągnął małe notes. Strona była już zatytułowana — Ofiary. Napisał niżej: *Nr 1. Prawdopodobnie pani Llewellyn-Smythe*. Na następnych stronach zapisał kolejne nazwiska podane przez Spence'a. Spytał:

— Charlotte Benfield?

Spence błyskawicznie odpowiedział.

— Szesnastoletnia pomocnica sklepowa. Liczne rany na głowie. Znaleziona na ścieżce w pobliżu Quarry Wood. Podejrzewano dwóch młodych mężczyzn. Obaj chodzili z nią od czasu do czasu. Brak dowodów.

— Czy pomagali policji w poszukiwaniach?

— Tak się to zwyczajowo nazywa. Nie na wiele się zdali. Byli zbyt wystraszeni. Nie wyglądali na morderców, ale każdy z nich mógł nim być.

— Kto to był?

— Peter Gordon, lat dwadzieścia jeden. Bezrobotny. Podejmował jakąś pracę raz czy dwa, ale szybko ją tracił. Leniwy. Wygląda całkiem przyzwoicie. Był chyba pod nadzorem sadowym za drobne kradzieże lub coś podobnego. Nie karany. Trzymał z grupą potencjalnych młodych kryminalistów, ale unikał poważniejszych kłopotów.

— A drugi z nich?

— Thomas Hudd. Dwadzieścia lat. Nieśmiały i neurotyczny. Chciał zostać nauczycielem, ale nie udało mu się. Matka jest wdową, zwariowaną na punkcie swojego synka. To nie przyciąga do niego dziewcząt. Trzyma go tak blisko spódnicy, jak tylko potrafi. Pracował w sklepie papierniczym. Nie ma na swoim koncie niczego kryminalnego, ale ma odpowiednią psychikę. Dziewczyna bawiła się nim. Motywem mogła być zazdrość, ale brakowało dowodów pozwalających na skazanie. Obaj mieli alibi. Matka Hudda gotowa była przysiąc na wszystko, że tego wieczoru przez cały czas był z nią w domu, a nikt nie widział go ani w sąsiedztwie miejsca morderstwa, ani gdzie indziej. Młodemu Gordonowi alibi dostarczył jeden z jego przyjaciół o wątpliwej reputacji. Niewiele było warte, ale nikt nie potrafił go obalić.

— Kiedy to się stało?

— Przed osiemnastoma miesiącami.

— Gdzie?

— Na polnej ścieżce, niedaleko Woodleigh Common.

— Niecały kilometr — dodała Elspeth.

— Koło domu Joyce? Domu Reynoldsów?

— Nie, po drugiej stronie wsi.

— Nie wygląda na to, żeby Joyce mówiła właśnie o tym morderstwie — powiedział Poirot w zamyśleniu. — Gdyby pani zobaczyła, że młody człowiek wali dziewczynę w głowę, od razu pomyślałaby pani o morderstwie. Nie potrzebowałaby pani roku na skojarzenie tego.

Poirot odczytał następne nazwisko:

— Lesley Ferrier.

Spence odezwał się ponownie:

— Dwadzieścia osiem lat. Urzędnik w biurze prawniczym panów Fullertona, Harrisona i Leadbettera w Medchester.

— O ile pamiętam, mówił pan, że byli prawnikami pani Llewellyn-Smythe.

— Tak, to ci sami.

— Co się stało z Lesleyem Ferrierem?

— Zadano mu cios sztyletem w plecy. Niedaleko baru „Zielony Łabędź”. Miał romans z żoną właściciela, Harry’ego Griffina. Była z niej, a właściwie jeszcze jest, ładna sztuka. Nieco podstarzała. Pięć lub sześć lat starsza od niego, ale lubiła młodszych.

— Jaką bronią go zabito?

— Noża nie znaleziono. Mówiono, że Les zerwał z kochanką i związał się z inną, ale nikt nie wiedział z kim.

— A kto był w tej sprawie podejrzany? Gospodarz czy jego żona?

— Dobre pytanie — przyznał Spence. — Mogli być oboje.

Chyba raczej ona. Jest pół — Cyganką z dużym temperamentem. Były też inne możliwości. Nasz Lesley nie prowadził nienagannego życia. W wieku dwudziestu lat miał kłopoty z powodu fałszowania i podrabiania rachunków. Podobno pochodził z rozbitej rodziny. Pracodawcy bronili go. Dostał niewielki wyrok i gdy wyszedł, przyjęli go Fullerton, Harrison i Leadbetter.

— A potem nic mu się nie przydarzyło?

— Nie ma żadnych dowodów. W pracy postępował jak należy, ale był zamieszany w kilka podejrzanych transakcji ze swoimi przyjaciółmi. Można by go nazwać „ostrożnym draniem”.

— A więc jaka była alternatywa?

— Mógł zostać zasztyletowany przez kogoś ze swojego podejrzanego otoczenia. Jeżeli ma pan do czynienia z łajdakami i zawiedzie ich pan, przyjdą do pana z nożem.

— Jeszcze coś?

— Miał na swoim koncie sporą sumkę. Została wpłacona czekiem, nie wiadomo przez kogo. To wyglądało podejrzanie.

— Może oskubał Fullertona, Harrisona i Leadbettera? — zasugerował Poirot.

— Zaprzeczyli temu. Mieli dyplomowanego księgowego, który to kontrolował.

— A policja nie miała pojęcia, skąd te pieniądze mogły pochodzić?

— Nie.

— Znowu — powiedział Poirot — nie przypuszczam, że wiąże się to z zamordowaniem Joyce. — Przeczytał ostatnie nazwisko: — Janet White.

— Znalaziono ją uduszoną na ścieżce, prowadzącej skrótem ze szkoły do domu. Mieszkała razem z inną nauczycielką. Norą Ambrose. Według Nory, Janet White mówiła od czasu do czasu, że obawia się mężczyzny, z którym zerwała rok temu i który często przysyłał jej listy z pogrózkami. Nora Ambrose nie wiedziała, jak się nazywa ani gdzie dokładnie mieszka.

— Aha — mruknął Poirot. — To mi się bardziej podoba. Postawił grubego czarnego „ptaszka” przy nazwisku Janet White.

— Dlaczego? — spytał Spence.

— Jest bardziej prawdopodobne, że dziewczynka w wieku Joyce widziała to właśnie morderstwo. Mogła rozpoznać ofiarę, nauczycielkę, która być może ją uczyła. Prawdopodobnie nie знаła napastnika. Mogła widzieć walkę i słyszeć kłótnię między znajomą dziwnym mężczyzną. Ale wtedy więcej o tym nie myślała. Kiedy zabito Janet White?

— Dwa i pół roku temu.

— To mniej więcej pasuje — powiedział Poirot. — Mogła nie skojarzyć, że mężczyzna, trzymający ręce na szyi Janet White, nie obejmuje jej, lecz zabija. Właściwe wyjaśnienie przyszło, gdy podrosła. — Spojrzał na Elspeth. — Czy zgadza się pani z moim rozumowaniem?

— Pojmuję, co pan ma na myśli — przyznała Elspeth. — Ale czy nie podchodzi pan do sprawy ze złej strony, poszukując ofiary dawnego morderstwa zamiast zbrodniarza, który zabił dziecko w Woodleigh Common nie więcej niż trzy dni temu?

— Z przeszłości idziemy w stronę przyszłości — poinformował Poirot. — Przeszliśmy na razie od dwóch i pół lat do trzech dni temu. I dlatego musimy rozważyć, kto w Woodleigh Common, spośród przebywających na przyjęciu, mógł mieć coś wspólnego ze starą zbrodnią.

— Joyce twierdziła, że widziała, jak popełniono zbrodnię — zauważył Spence. — Jeżeli mamy rację, zgadzając się z pańskim założeniem, że dlatego ją zabito, możemy zawęzić krąg poszukiwań. Mówiła to w czasie przygotowań do przyjęcia. Być może popełniamy błąd, sądząc, że taki był motyw zbrodni, myślę jednak, że się nie mylimy. Powiedzmy, że na sali był ktoś, kto, słysząc jej oświadczenie, zareagował tak szybko, jak to było możliwe.

— Kto tam był? — spytał Poirot. — Przypuszczam, że wiecie.

— Tak. Mam tutaj listę.

— Czy sprawdził ją pan dokładnie?

— Tak. Sprawdziłem dwukrotnie. Było z tym sporo roboty. Jest tu osiemnaście nazwisk.

Lista obecnych podczas przygotowań do przyjęcia w wieczór Hallowe'en:

Pani Drake (gospodyni)

Pani Butler

Pani Oliver

Panna Whittaker (nauczycielka)

Wielebny Charles Cotterell (proboszcz)

Simone Lampton (wikary)

Panna Lee (aptekarka doktora Fergusona)

Ann Reynolds

Joyce Reynolds

Leopold Reynolds

Nicholas Ransom

Desmond Holland

Beatrice Andley

Cathie Grant

Diana Brent

Pani Garlton (pomoc domowa)

Pani Minden (sprzątająca)

Pani Goodbody (pomocnica)

— Czy jest pan pewien, że to wszyscy?

— Nie — odpowiedział Spence. — Nie mogę mieć pewności. Nikt nie może być tego pewien. Widzi pan, różni ludzie przynosili jakieś rzeczy. Ktoś przyniósł kilka kolorowych żarówek. Ktoś inny kilka lusterek. Było trochę dodatkowych talerzy. Ktoś pożyczył plastikowe wiadro. Ludzie przychodzili, przynosząc różne rzeczy, zamieniali kilka słów i wychodzili. Nie zostawali do pomocy. Dlatego ktoś mógł zostać przeoczony i nie zapamiętany. Ale ten ktoś, nawet jeżeli tylko stawiał wiadro w holu, mógł usłyszeć, co Joyce mówiła w salonie. Niemal krzyczała. Nie możemy ograniczyć się tylko do tej listy, ale to wszystko, co możemy teraz zrobić. Proszę bardzo, niech pan spojrzy. Przy każdym nazwisku zapisałem kilka uwag.

— Dziękuję panu. Jeszcze jedno pytanie. Musiał pan rozmawiać z niektórymi z tych ludzi, na przykład z tymi, którzy byli na przyjęciu. Czy ktoś, ktokolwiek, wspomniał, co Joyce mówiła na temat morderstwa?

— Myślę, że nie. Nie ma żadnego oficjalnego zapisu. Po raz pierwszy usłyszałem o tym od pana.

— Ciekawe — stwierdził Poirot. — Można nawet powiedzieć, że zastanawiające.

— Nikt nie brał tego poważnie — powiedział Spence. Poirot w zamyśleniu kiwał głową.

— Muszę teraz spotkać się z doktorem Fergusonem. — Złożył listę Spence'a i schował ją do kieszeni.

Rozdział dziewiąty

Doktor Ferguson był sześćdziesięcioletnim mężczyzną szkockiego pochodzenia, o szorstkim sposobie bycia. Patrzył przenikliwie na Poirota spod krzaczastych brwi.

— A więc, o co chodzi? Proszę usiąść. I uważać na nogę krzesła. Kółko jest obluzowane. Powiniennem coś wyjaśnić. W takiej jak ta miejscowości wszyscy wszystko wiedzą. Ta kobieta, która pisze książki, sprowadziła pana tutaj jako najlepszego na świecie detektywa, aby zadziwić policję. Czy tak to mniej więcej wygląda?

— Częściowo — odrzekł Poirot. — Przyjechałem złożyć wizytę swojemu staremu przyjacielowi, byłemu nadinspektorowi Spence'owi, który mieszka tu z siostrą.

— Spence? Hm. Porządny facet ten Spence. Z gatunku buldogów. Dobry, uczciwy oficer policyjny w dawnym stylu. Żadnych łapówek, gwałtów czy innych głupot. Szczery jak złoto.

— Słusznie go pan ocenia.

— Jasne — odparł doktor Ferguson. — Co mu pan powiedział i co on powiedział panu?

— On i inspektor Raglan byli dla mnie bardzo uprzejmi. Mam nadzieję, że z panem będzie podobnie.

— Nie mam powodu, aby być uprzejmym — stwierdził doktor Ferguson. — Nic nie wiem. Nic oprócz tego, że w środku przyjęcia utopiono dziecko, zanurzając mu głowę w wiadrze. Odrażająca sprawa. Proszę zauważyć, że wyczynianie takich okropności z dziećmi nie jest w dzisiejszych czasach niczym szokującym. W ciągu ostatnich siedmiu czy dziesięciu lat wzywano mnie do wielu zamordowanych dzieci. Do zbyt wielu. Na wolności jest za dużo osób, które na pewno należałoby pozamykać z uwagi na ich stan psychiczny. W szpitalach nie ma jednak miejsc. Łażą więc tacy wszędzie, wyglądają jak zwykli ludzie, nieźle się ubierają, mówią normalnie i... szukają ofiary. No i nieźle się bawią. Ale na ogół nie zabijają na przyjęciu — oni chyba nie lubią ryzyka. Chociaż, z drugiej strony, dla mordercy tego rodzaju każda nowość jest atrakcją.

— Czy domyśla się pan, kto mógł ją zabić?

— Czy naprawdę sądzi pan, że jest to pytanie, na które mogę tak po prostu odpowiedzieć? Najpierw chyba musiałbym mieć jakiś dowód, prawda? Musiałbym być pewien.

— Mógłby pan snuć domysły.

— To każdy może. Kiedy jestem wzywany do chorego, muszę zgadnąć, czy chłopak zapada na odrę, czy też ma uczulenie na małże, a może na pierze z poduszki. Muszę zadawać pytania, żeby dowiedzieć się, co jadł i pił, na czym spał i z kim się spotykał. Muszę się dowiedzieć, czy jechał w

zatłoczonym autobusie z dziećmi pani Smith i pani Robinson, bo one właśnie zachorowały na odrę, no i jeszcze kilku rzeczy też muszę się dowiedzieć. Potem wygłaszam swoją opinię, bardzo ogólną, która może się zmienić jeszcze wiele razy i, jak pan wie, nazywa się to postawieniem diagnozy. Pan również nie robi tego w pośpiechu.

— Czy znał pan to dziecko?

— Oczywiście. Była jedną z moich pacjentek. Jest nas tu dwóch: ja i Worrall. Tak się złożyło, że ja jestem lekarzem Reynoldsów. Joyce była zdrowym dzieckiem, przeszła jedynie przez zwykłe dziecięce choroby. Nic szczególnego i nietypowego. Za dużo jadła i za dużo mówiła. Zbytne gadanie jej nie szkodziło, przejadanie się powodowało od czasu do czasu to, co kiedyś nazywano atakiem żółciowym. Przechodziła świnkę i ospę wietrzną.

— Ale pewnego razu chyba zbyt dużo powiedziała, a jak pan sugerował, była do tego zdolna?

— A więc o to panu chodzi? Słyszałem plotki na ten temat. Zupełnie jak w powieściach typu „co widział kamerdyner”, tylko że zamiast komedii mamy tragedię. Prawda?

— Ale to mogło być motywem.

— O tak. Dziękuję za wyjaśnienie, ale tu przyczyna jest całkiem inna. W dzisiejszych czasach standardową przyczyną są zaburzenia psychiczne. Tak przynajmniej orzekają sądy. Nikt nie zyskał na śmierci Joyce, nikt nie żywił do niej nienawiści. Wydaje mi się, że jeżeli ofiarą zbrodni jest dziecko, nie musi pan szukać przyczyny, to znaczy szukać jej gdzie indziej niż w głowie mordercy, w jego niezrównoważonym, diabelskim umyśle, zboczonym seksualnie. Zresztą, może pan to nazwać, jak się panu podoba. Nie jestem psychiatrą. Facet gdzieś się włamał, rozwalił jakieś lustro, zwinął parę butelek whisky, ukradł srebra lub zdzielił staruszkę po głowie, a orzeczenie brzmi: „Odesłać na badania psychiatryczne”. Mam już tego dosyć, nie obchodzi mnie, że takich przypadków jest teraz dużo. Wszystkich trzeba odesłać na badania psychiatryczne.

— A kto, pańskim zdaniem, w tym wypadku powinien być tam skierowany w pierwszej kolejności?

— Myśli pan o tych, którzy są zamieszani w wydarzenia tamtej nocy?

— Tak.

— Morderca musiał tam być, inaczej nie byłoby zbrodni, prawda? Był wśród gości albo pomagał przy przygotowaniach, albo z premedytacją wkradł się przez okno. Prawdopodobnie znał ten dom, może wcześniej zbadał teren. Taki sobie chłopak lub facet, co chciał kogoś zabić, nic nadzwyczajnego. W Medchester mieliśmy już taką sprawę. Wyszła na jaw dopiero po sześciu czy siedmiu latach. Trzynastoletni chłopiec. Chciał kogoś zabić, więc zabił dziewięciolatka, zwinął samochód, przejechał nim siedem czy osiem mil i spalił w zagajniku. Potem wiódł spokojne życie, aż skończył dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata. Zresztą to on tak twierdzi. A może zbroił coś jeszcze. Pewnie tak. Odkryto, że lubił zabijać ludzi. Nie przypuszczam, aby zgładził zbyt wielu, gdyż policja wpadłaby na jego ślad, ale wtedy i teraz pożąda jednego — zabijania. Tak orzekli

psychiatrzy. Popęłnił morderstwo w momencie zachwiania równowagi psychicznej. Próbuje opowiedzieć własnymi słowami to, co się tutaj zdarzyło. Dzięki Bogu, nie jestem psychiatrą. Mam kilku przyjaciół psychiatrów. Kilku z nich to całkiem sensowni faceci, lecz inni, ośmielę się powiedzieć, sami powinni być odesłani na badania psychiatryczne. Facet, który zabił Joyce, miał prawdopodobnie miłych rodziców, przyzwoicie wyglądał i zachowywał się najzwyczajniej na świecie. Nikomu nie przyszłoby na myśl, że coś z nim może być nie tak. Zdarza się, że nadgryza się piękne, soczyste, czerwone jabłko, a tu nagle z miąższu wychodzi robak. Jest wielu takich ludzi. Powiedziałbym nawet, że coraz więcej.

— Czy podejrzewa pan kogoś?

— Bez dowodu nie zaryzykuję oskarżenia o morderstwo.

— Jednak przyzna pan, że ten ktoś musiał być na przyjęciu. Nie może być morderstwa bez mordercy.

— To się często zdarza w opowiadaniach detektywistycznych. Prawdopodobnie pańska ulubiona autorka pisze coś podobnego. Ale w tym wypadku zgadzam się z panem. Morderca musiał tam być. Ktoś z gości lub z osób pomagających albo ktoś, kto wszedł przez okno. Mógł to zrobić z łatwością, jeżeli przedtem obejrzał dom. W jakimś szalonym umyśle mogła zrodzić się myśl, że zamordowanie kogoś na przyjęciu w wieczór Hallowe'en to wspaniały pomysł, zupełnie jak z powieści. I to wszystko, od czego może pan zacząć. To po prostu ktoś, kto był na przyjęciu. — Pod krzaczastymi brwiami para oczu błysnęła w stronę Poirota. — Ja też tam byłem — powiedział. — Przyszedłem później, żeby popatrzeć, co się dzieje. — Energicznie kiwnął głową. — Tak, to dopiero problem, prawda? Jak ogłoszenie w gazetowej rubryce towarzyskiej: „Wśród obecnych był morderca”.

Rozdział dziesiąty

Poirot spojrział z aprobatą na rezydencję Elms.

Osoba, którą wziął za sekretarkę, wpuściła go i od razu zaprowadziła do gabinetu pani domu. Panna Emlyn podniosła się zza biurka, aby go powitać.

— Jestem szczęśliwa, widząc pana, panie Poirot. Wiele słyszałam o panu.

— Jest pani bardzo uprzejma — powiedział Poirot.

— Opowiadała mi o panu moja stara przyjaciółka, panna Bulstrode. Była szefem Meadowbank. Może pan ją pamięta?

— Trudno byłoby ją zapomnieć. Była wielką osobowością.

— Tak to prawda — przyznała panna Emlyn. — Uczyniła z Meadowbank szkołę z prawdziwego zdarzenia. — Westchnęła lekko. — Dzisiaj nieco się to zmieniło. Inne zadania, inne metody, lecz wciąż jest to szkoła pełna dystynkcji, tradycji, a jednocześnie postępową. Ale nie możemy zbyt często żyć przeszłością. Bez wątpienia chciał się pan zobaczyć ze mną w sprawie śmierci Joyce Reynolds. Nie wiem, czy ma pan szczególny powód do zainteresowania się tą historią. Przypuszczam, że nie jest związana ze sprawami, którymi się pan zajmuje na co dzień. Może osobiście znał pan ją lub jej rodzinę?

— Nie — odpowiedział Poirot. — Przyjechałem na prośbę mojej starej przyjaciółki, pani Ariadny Oliver, która zatrzymała się tu i była obecna na przyjęciu.

— Pisze świetne książki — stwierdziła panna Emlyn. — Spotkałam ją raz czy dwa. Tak, myślę, że teraz będzie nam łatwiej rozmawiać, skoro wiem, że nie wchodzi w grę osobiste uczucia. Zdarzyła się rzecz straszna i, jeżeli mogę tak powiedzieć, nieprawdopodobna. Dzieci zamieszane w to wydarzenie są w takim wieku, że trudno je jakoś sklasyfikować. A tę zbrodnię trzeba uznać za dzieło psychopaty. Zgadza się pan ze mną?

— Nie — odpowiedział Poirot. — Myślę, że to morderstwo, jak większość innych, miało swój motyw, może bardzo podły.

— Naprawdę? A z czym związany?

— Związany z uwagą rzuconą przez Joyce, o ile zrozumiałem, nawet nie w czasie przyjęcia, lecz wcześniej, w czasie przygotowań. Ogłosiła, że kiedyś widziała, jak popełniono morderstwo.

— Uwierzono jej?

— No właśnie — nie uwierzono jej.

— To wielce prawdopodobne. Powiem szczerze, panie Poirot, gdyż nie chcę, aby przeszkadzały nam niepotrzebne sentymenty. Joyce była przeciętnym dzieckiem, ani głupim, ani zbyt inteligentnym, ale miała, mówiąc szczerze, naturę kłamcy. I nie chcę przez to powiedzieć, że specjalnie oszukiwała. Nie starała się unikać konsekwencji i nie próbowała się wykręcić, gdy przyłapano ją na drobnych potknięciach. Puszyła się, chełpiła zdarzeniami, które nigdy nie miały miejsca, ale które mogły wywrzeć wrażenie na znajomych. Oczywiście, w rezultacie nie byli skłonni wierzyć w jej fantastyczne historie.

— Czy przypuszcza pani, że twierdziła, iż widziała morderstwo, aby podkreślić swoje znaczenie i kogoś zaintrygować?

— Tak. I dodam, że to Ariadna Oliver była bez wątpienia osobą, na której chciała zrobić wrażenie.

— A zatem nie uważa pani, że Joyce widziała jakiegokolwiek morderstwo?

— Bardzo w to wątpię.

— Czy sądzi pani, że wszystko to wymyśliła?

— Tego bym nie powiedziała. Może widziała wypadek samochodowy albo kogoś, kto upadł zraniony uderzeniem piłki golfowej; coś, co mogła przetworzyć na zdarzenie, które wyglądałoby na morderstwo z premedytacją.

— A więc jedyna rzecz, której możemy być pewni, to fakt, że morderca był obecny na przyjęciu w wieczór Halloween.

— Oczywiście — odparła panna Emlin. — Oczywiście. Taki jest logiczny wniosek, prawda?

— Czy domyśla się pani, kto był tym mordercą?

— To rzeczywiście dobre pytanie — przyznała panna Emlin. — Ostatecznie większość osób obecnych na przyjęciu to dzieci w wieku od dziewięciu do piętnastu lat i przypuszczam, że niemal wszystkie są uczniami mojej szkoły. Powinnam coś o nich wiedzieć. Również o ich rodzinach i pochodzeniu.

— O ile wiem, jedna z pani nauczycielek została uduszona przez nieznanego mordercę rok lub dwa lata temu.

— Myśli pan o Janet White? Miała około dwudziestu czterech lat. Pobudliwa dziewczyna. O ile mi wiadomo, często spacerowała samotnie. Mogła oczywiście spotkać się z jakimś młodym człowiekiem. Bardzo pociągała mężczyzn, ale zachowywała się przyzwoicie. Mordercy nie znaleziono. Policja przesłuchiwała wielu młodych mężczyzn, ale nie była w stanie zebrać wystarczających dowodów, aby kogokolwiek oskarżyć. Ten przypadek nie dał im powodu do satysfakcji. I mnie również.

— Oboje jesteśmy zgodni w jednym zasadniczym punkcie: nie aprobujemy morderstwa.

Panna Emlyn spoglądała na niego przez chwilę. Wyraz jej twarzy nie zmienił się, ale Poirot miał wrażenie, że jego osoba jest w tym momencie skrupulatnie osądzana.

— Podoba mi się sposób, w jaki pan to ujął — stwierdziła. — Na podstawie tego, co się dziś czyta i czego się słucha, można sądzić, że morderstwo w pewnych aspektach jest w dzisiejszych czasach możliwe do zaakceptowania przez sporą część społeczeństwa.

Milczała przez kilka minut. Poirot nie odzywał się również, przekonany, że panna Emlyn rozważa plan działania. Podniosła się wreszcie i nacisnęła dzwonek.

— Myślę — powiedziała — że lepiej, aby pan porozmawiał z panną Whittaker.

Od wyjścia panny Emlyn upłynęło jakieś pięć minut, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła kobieta około czterdziestki. Wkroczyła energicznie. Miała farbowane na rudo, krótko przycięte włosy.

— *Monsieur* Poirot? — spytała. — Czym mogę służyć? Panna Emlyn uważa, że mogę panu pomóc.

— Prawie na pewno pani może, skoro panna Emlyn tak sądzi. Wierzę jej na słowo.

— Zna ją pan?

— Spotkałem ją dopiero dzisiejszego popołudnia.

— Ale szybko wyrobił pan sobie zdanie na jej temat.

— Mam nadzieję, że zamierza pani przyznać mi rację.

Z ust Elizabeth Whittaker wyrwało się szybkie, krótkie westchnienie.

— O tak. Ma pan rację. Zgaduję, że chodzi tu o śmierć Joyce Reynolds. Nie bardzo wiem, kto pana w to zaangażował. Policja? — Potrząsnęła głową z dezaprobatą.

— Nie, nie policja. Znajoma.

Odsunęła nieco krzesło, aby siedzieć na wprost detektywa.

— Aha. — Co pan chce wiedzieć?

— Nie muszę chyba pani tego tłumaczyć. Szkoda czasu na zbędne pytania. Coś się zdarzyło tamtego wieczoru, coś, o czym powinienem wiedzieć, prawda?

— Tak.

— Była pani na przyjęciu?

— To było świetne przyjęcie. Znakomicie prowadzone. Dobrze zorganizowane. Było tam nieco

ponad trzydzieści osób, wliczając różnego rodzaju pomocników. Dzieci w wieku powyżej dziesięciu lat i młodzież oraz osoby do sprzątanania i do pomocy, przebywające gdzieś na tyłach domu.

— Czy brała pani udział w przygotowaniach, które robiono, jak się domyślam, rano albo wczesnym popołudniem?

— W gruncie rzeczy nie było nic do roboty. Pani Drake potrafi wszystko zorganizować sama, z niewielką liczbą pomocników. Trzeba jej było pomóc jedynie w niektórych domowych zajęciach.

— Rozumiem. Więc przyszła pani na przyjęcie jako gość?

— Właśnie tak. — I co się stało?

— Przebieg przyjęcia bez wątpienia już pan zna. Chciałby pan wiedzieć, czy zauważyłam coś szczególnego, co według mnie mogłoby mieć jakieś znaczenie? Rozumiem, że szkoda pańskiego czasu na opowiadanie nieistotnych szczegółów.

— Jestem pewien, że nie marnuje pani mojego czasu. Tak, panno Whittaker, proszę przejść do sedna.

— Zabawy następowały zgodnie z planem. Ostatnia pasowała raczej do atmosfery wigilijnej lub do samego Bożego Narodzenia niż do Halloween. Polaną brandy płonące rodzynki, które wszyscy chwyтали, tłocząc się wokół, parząc się, piszcząc i śmiejąc się w podnieceniu. Szybko stało się tak gorąco, że wyszłam do holu. Stojąc tam, zobaczyłam panią Drake, wychodzącą z toalety na podeście pierwszego piętra. Trzymała wielki wazon z bukietem jesiennych liści i kwiatów. Stała tuż przy schodach, zatrzymawszy się na chwilę przed zejściem. Spoglądała w dół, ale nie w moją stronę. Patrzyła na drzwi biblioteki. Znajdują się po drugiej stronie holu, na wprost drzwi do jadalni. Jak już powiedziałam, patrzyła w tę stronę, zatrzymawszy się na chwilę przed zejściem na dół. Trzymała wazon za krawędź, co było trudne i niewygodne, jeśli był, jak przypuszczałam, napełniony wodą. Ostrożnie zmieniła jego położenie tak, aby trzymać go jedną ręką, podczas gdy drugą oparła na poręczy, mijając lekki zakręt schodów. Zatrzymała się na moment i wciąż nie zwracając uwagi na to, co niesie, spojrzała w dół. Nagle poruszyła się gwałtownie. Chyba mogę opisać to jako... Tak, na pewno była czymś zaskoczona. I to tak dalece, że zapomniała o trzymanym wazonie. Upuściła go, wylewając wodę na siebie. Wazon upadł, przewrócił się i stoczył na podłogę holu, roztrzaskując się w drobny mak.

— Rozumiem — powiedział Poirot. Milczał przez minutę lub dwie, spoglądając na pannę Whittaker. Zauważył, że jej oczy są bystre i inteligentne. Dostrzegł w nich pytanie o jego opinię o tym, co usłyszał. — Jak pani sądzi, co mogło ją tak zdumieć?

— Rozważając to później, pomyślałam, że coś zobaczyła.

— Pomyślała pani, że coś zobaczyła — powtórzył Poirot w zamyśleniu. — Cóż to mogło być?

— Jak już panu powiedziałam, spojrzała na drzwi do biblioteki. Wydaje mi się, że zobaczyła, że są otwarte albo że klamka jest przekręcona, chociaż, oczywiście, mogło to być coś więcej. Mogła

zobaczyć kogoś, kto otwierał drzwi i szykował się do wyjścia. Może zobaczyła kogoś, kogo nie spodziewała się zobaczyć.

— Czy pani również patrzyła na te drzwi?

— Nie. Patrzyłam w przeciwną stronę, do góry, na panią Drake.

— I jest pani pewna, że zobaczyła coś, co ją zaskoczyło?

— Tak. Może to było właśnie coś takiego — otwarte drzwi, osoba, której się nie spodziewała. Coś, co wystarczyło, aby zapomniała, że trzyma ciężki wazon z kwiatami i upuściła go.

— Czy zobaczyła pani kogoś wychodzącego z tych drzwi?

— Nie. Nie patrzyłam w tę stronę. Nie sądzę, aby ktokolwiek wyszedł do holu. Zapewne cofnął się do pokoju.

— Co potem zrobiła pani Drake?

— Wybuchnęła złością, zbiegła ze schodów i krzyknęła do mnie: „Proszę zobaczyć, co zrobiłam. Co za bałagan!” Kopnęła kilka kawałków rozbitego szkła. Pomogłam jej zmieść resztki do kąta. W tym momencie nie było możliwości dokładnego posprzątania. Dzieci zaczęły wychodzić z pokoju, gdzie chwyciły płonące rodzyнки. Złapałam ścierkę i przetrąłam podłogę. Zaraz potem przyjęcie się skończyło.

— Czy pani Drake nic nie wspominała o tym, że była zaskoczona i co ją mogło zaskoczyć?

— Nie, ani słowa.

— Lecz mimo to sądzi pani, że rzeczywiście była czymś zdumiona?

— Prawdopodobnie. *Monsieur* Poirot, czy sądzi pan, że robię niepotrzebne zamieszanie z jakiegoś błahego powodu?

— Nie — zaprzeczył Poirot — wcale tak nie myślę. Widziałem panią Drake tylko raz — dodał w zamyśleniu — kiedy wraz z panią Oliver odwiedziłem ją w domu, aby, mówiąc melodramatycznie, zobaczyć miejsce zbrodni. Nie miałem wiele czasu na obserwację, lecz nie wydało mi się, aby była kobietą, którą łatwo zaskoczyć. Czy zgadza się pani ze mną?

— Oczywiście. Dlatego właśnie tak mnie to dziwi.

— Nie zadała pani wówczas żadnych pytań?

— Nie miałam powodu. Jeżeli pani domu miała nieszczęście upuścić jeden ze swoich najpiękniejszych wazonów, który rozbił się w drobny mak, gościowi nie wypada pytać: „Dlaczego pani to zrobiła?” To tak, jakby wytknąć jej niezgrabność, która, zapewniam pana, nie cechuje pani Drake.

— Po tym zdarzeniu, jak pani już wspomniała, przyjęcie się skończyło. Dzieci wyszły z matkami i przyjaciółmi i nie można było znaleźć Joyce. Wiemy teraz, że Joyce leżała martwa za drzwiami biblioteki. A zatem kto mógł być tą osobą, która wcześniej próbowała wymknąć się z biblioteki, lecz słysząc głosy w holu, zamknęła drzwi z powrotem, by wyjść później, gdy ludzie tłoczyli się, żegnając się i wkładając ubrania? Przypuszczam, że nim znaleziono ciało, nie miała pani czasu, panno Whittaker, zastanowić się nad rym, co pani widziała?

— Zgadza się. — Panna Whittaker wstała. — Obawiam się, że już nic więcej nie mogę panu powiedzieć. Być może nawet to jest głupią błahostką.

— Ale godną uwagi. Wszystko, co jest godne uwagi, warto zapamiętać. Przy okazji, chciałbym zadać pani jedno pytanie. A właściwie dwa, mówiąc dokładnie.

Elizabeth Whittaker usiadła ponownie.

— Proszę pytać — powiedziała — o co pan chce.

— Czy pamięta pani dokładnie kolejność poszczególnych zdarzeń na przyjęciu?

— Sądzę, że tak. — Panna Whittaker zastanowiła się przez chwilę. — Zaczęło się od konkursu udekorowanych kijów od mioteł. Przyznano trzy lub cztery małe nagrody. Potem była zabawa z dziurawieniem i podbijaniem balonów. To jak lekka przejażdżka konna, aby się dzieci rozgrzały. Potem dziewczęta udały się do małego pokoiku, gdzie patrząc w czarodziejskie zwierciadło mogły zobaczyć twarz przyszłego narzeczonego.

— Jak to urządzono?

— Och, całkiem prosto. Listwa nad drzwiami została usunięta i coraz to inne, zaglądale tam twarze odbijały się w utrzymanym przez dziewczynę lusterku.

— Czy dziewczęta wiedziały, kogo oglądają w lusterku?

— Przypuszczam, że niektóre z nich wiedziały. Męska część uczestników przyjęcia ucharakteryzowała się po prostu. Wie pan: maska, peruka, bokobrody, broda, szminka. Dziewczęta znały większość chłopców, poza kilkoma obcymi. Ale było wiele radosnego chichotania — powiedziała panna Whittaker, okazując przez moment rodzaj akademickiej pogardy dla tego rodzaju uciech. — Następnie był bieg z przeszkodami, a potem ubito mąkę w szerokiej szklance, odwrócono ją do góry nogami, na wierzchu położono sześciopensówkę i każdy odcinał plasterki. Jeżeli mąka obsypywała się, uczestnik odpadał z konkurencji. Próbowali wszyscy, aż pozostał zwycięzca, który dostał sześciopensówkę. Potem były tańce i kolacja, a następnie gwóźdź programu: chwytanie płonących rodzynek.

— Kiedy po raz ostatni widziała pani Joyce?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała panna Whittaker. — Nie znam jej dobrze. Nie była w mojej klasie. Nie była na tyle interesująca, aby ją obserwować. Pamiętam, że widziałam ją przy ścinaniu mąki. Była tak niezgrabna, że wszystko przewróciła niemal od razu. Zatem wtedy jeszcze żyła, ale to

było bardzo wcześnie.

— Nie widziała jej pani wchodzącej z kimś do biblioteki?

— Oczywiście, że nie. Gdybym widziała, wspomniałabym o tym. To przecież byłoby znaczące i ważne.

— A teraz — rzekł Poirot — moje następne pytanie lub może pytania. Jak długo jest pani w tej szkole?

— Jesienią upłynie sześć lat. — I uczy pani...?

— Matematyki i łaciny.

— Czy pamięta pani dziewczynę, która uczyła tutaj dwa lata temu? Nazywała się Janet White.

Elżbieta Whittaker zeszywniała. Uniosła się i usiadła z powrotem.

— Ale to... to na pewno nie ma z tym wszystkim nic wspólnego?

— Może mieć — powiedział Poirot.

— Ale jak? W jaki sposób?

Koła szkolne są gorzej poinformowane niż wiejscy plotkarze, pomyślał Poirot.

— Joyce twierdziła, że była świadkiem zbrodni popełnionej kilka lat temu. Nie sądzi pani, że chodzi tu o zabójstwo Janet White? W jaki sposób zginęła?

— Została uduszona, gdy wracała wieczorem ze szkoły do domu.

— Samotnie?

— Możliwe, że nie.

— Ale nie z Norą Ambrose?

— Co pan wie o Norze Ambrose?

— Jeszcze nic — odpowiedział Poirot — ale chciałbym się dowiedzieć. Jakie były Janet White i Nora Ambrose?

— Zanadto pełne seksu — stwierdziła Elżbieta Whittaker — ale na dwa różne sposoby. Jakim cudem Joyce mogła coś widzieć lub wiedzieć o tym? Zdarzyło się to na ścieżce koło Quarry Wood. Nie miała wtedy więcej niż dziesięć, jedenaście lat.

— Która z nich miała chłopaka? — spytał Poirot. — Nora czy Janet?

— To było tak dawno.

— „Żyjemy w cieniu dawnych grzechów” — zacytował Poirot.’ — Idąc przez życie, uczymy się prawdy tego stwierdzenia. Gdzie jest teraz Nora Ambrose?

— Opuściła szkołę i przyjęła nową posadę na północy Anglii. Była naturalnie bardzo poruszona. Przyjaźniły się bardzo.

— Policja nigdy nie rozwiązała tej sprawy?

Panna Whittaker potrząsnęła głową. Wstała, spoglądając na zegarek.

— Muszę już iść.

— Dziękuję za to, co mi pani powiedziała.

Rozdział jedenasty

Herkules Poirot spojrział na fasadę Quarry House. Był to solidny, dobry przykład architektury wiktoriańskiej. Wyobraził sobie wnętrze: pod ścianami ciężkie mahoniowe kredensy, na środku, również mahoniowy, wielki prostokątny stół, dalej pokój bilardowy i prawdopodobnie olbrzymia kuchnia z podłogą wyłożoną kamiennymi płytami i masywnym węglowym piecem kuchennym, na pewno zastąpionym już przez gaz lub elektryczność.

Zauważył, że najwyższe okno było wciąż zasłonięte. Zadzwoił do drzwi frontowych. Otworzyła mu szczupła siwa kobieta i poinformowała, że pułkownik i pani Weston są w Londynie i nie powrócą do następnego tygodnia.

Zapytał o Quarry Woods i dowiedział się, że ogrody są otwarte dla publiczności za darmo. Wejście znajduje się około pięciu minut spacerem wzdłuż drogi. Na żelaznej bramie umieszczono tablicę informacyjną.

Z łatwością odnalazł drogę i po minięciu bramy skierował się ścieżką w dół, między drzewa i krzewy.

Wreszcie przystanął i, zatopiony w myślach, nie zwracał większej uwagi na to, co widział. Tłukły mu się po głowie pewne zdania i zastanawiał się nad jednym lub dwoma, które, od czasu gdy je kiedyś wypowiedział, pobudzały go do gorączkowego myślenia. Sfałszowany testament. Sfałszowany testament i dziewczyna. Dziewczyna, która zniknęła, dziewczyna, na której korzyść sfałszowano testament. I młody artysta, który przybył tutaj, aby zamienić w ogród opuszczony kamieniołom z postrzępionymi głazami. Poirot z aprobatą pokiwał głową. Quarry Garden — Ogród Kamieniołomów — jaka to brzydka nazwa. Sugeruje huk pękających kamieni i wielkie ich masy wywożone przez ciężarówki na budowę dróg i na potrzeby przemysłu. A Zatopiony Ogród to coś odmiennego. Poczęły mu świtać w myślach niejasne wspomnienia. A więc pani Llewellyn-Smythe zwiedziła wraz z Korporacją Narodową ogrody Irlandii. Przypomniało mu się, że był w Irlandii pięć lub sześć lat temu. Zajmował się wówczas sprawą rabunku starych sreber rodzinnych. Było tam kilka interesujących miejsc, które wzbudziły jego ciekawość. Po zakończeniu zadania pełnym sukcesem — jak zwykle, dodał w myśli — kilka dni poświęcił na podróżowanie i oglądanie widoków.

Nie mógł przypomnieć sobie dokładnie, gdzie był ten ogród. Wydawało mu się, że gdzieś koło Cork. Killarney? Nie, nie Killarney. Gdzieś niedaleko zatoki Bantry. Zapamiętał go, gdyż daleko odbiegał od sformalizowanej piękności ogrodów zamkowych francuskiego Wersalu, które uważał za największe osiągnięcie sztuki ogrodowej. Zwiedzanie zaczęło się od wypłynięcia łodzią wraz z niewielką grupą ludzi. Ciężko byłoby mu wsiąść do łódki, gdyby silni przewoźnicy właściwie nie wnieśli go do niej. Wiosłowali w kierunku wysepki, która wydawała się Poirotowi na tyle nieciekawa, że nie zamierzał wysiadać. Stopy miał przemoczone i zziębnięte, a wiatr przedostawał się przez wszystkie szczeliny jego nieprzemakalnego płaszcza. Jakież to piękno, w jaki sposób sformalizowane i zsymetryzowane, można znaleźć na tej kamienistej wysepce z kilkoma rozproszonymi gdzieniegdzie drzewami? To pomyłka, to na pewno pomyłka.

Wylądowali na malutkiej przystani. Przewoźnicy, z tą samą zręcznością co poprzednio, pomogli mu zejść na ląd. Pozostali członkowie towarzystwa wysforowali się do przodu, rozmawiając i śmiejąc się. Poirot poprawił płaszcz, zawiązał buty i ruszył śladem innych dosyć pospolitą ścieżką między krzewami i kilkoma drzewami z rzadka rozsianymi po obu stronach. Straszliwa nuda, pomyślał.

I wtem wyszli z krzewów na taras, skąd stopnie prowadziły w dół. Poniżej ujrzał coś, czego pełną magię odczuł od razu. Jakby popularne w irlandzkiej poezji duchy natury opuściły swe puste wzgórza i stworzyły ogród — nie znojną i uciążliwą pracą, lecz kilkoma ruchami czarodziejskiej różdżki. Patrzył na urok jego kwiatów i krzewów, fontannę w dole i pełną piękna i czaru ścieżkę, która niespodziewanie wiła się wokół. Ciekawiło go, jak to miejsce wyglądało poprzednio. Było zbyt symetryczne jak na kamieniołom. Głęboka czeluść we wzniesionym gruncie wysepki, poza którą widać było wody zatoki i zamglone wierzchołki wzgórz wznoszących się po drugiej stronie. Teraz pomyślał, że być może ten właśnie ogród tchnął w panią Llewellyn–Smythe chęć urzędowania u siebie czegoś podobnego, aby w tej zadowolonej z siebie, schludnej i uporządkowanej części Anglii cieszyć się z posiadania zaniedbanego kamieniołomu.

Rozglądała się więc, poszukując odpowiedniego, dobrze opłacanego i posłusznego jej woli niewolnika. I znalazła Michaela Garfielda, odpowiednio wykwalifikowanego młodego człowieka, któremu bez wątpienia zapłaciła sporą sumę i dla którego zbudowała osobny dom. I nie zawiodła się na nim.

Detektyw podszedł do centralnie położonej ławki i usiadł. Wyobraził sobie, jak zatopiony kamieniołom wyglądałby wiosną. Były tam młode buki i drżące białokore brzozy, kolczaste krzewy białych róż i małe jałowce. Ale teraz jesień niosła własne, odmienne piękno. Żłoto i czerwień liści, nieco zieleni igliwia i ścieżka, która wijąc się swobodnie, odsłaniała przed spacerowiczem coraz to nowe rozkosze. Widać było kwitnące krzewy żarnowca czy szczodrzeńca. — Poirot, nie będąc znawcą ani kwiatów, ani krzewów, rozpoznawał jedynie róże i tulipany.

Ale wszystko wokół wydawało się wyrastać naturalnie, jak — by nie było sztucznie zasadzone i podporządkowane czyjejś woli. A przecież naprawdę wszystko zostało zaplanowane i zaaranżowane od najdrobniejszej roślinki do olbrzymiego krzewu, górującego tak wspaniale złotem i czerwienią swoich liści. O tak. Wszystko zostało zaplanowane i zasadzone, i co więcej, podporządkowało się posłusznie.

Zaciekawiło go, komu te rośliny były posłuszne. Pani Llewellyn–Smythe czy Michaelowi Garfieldowi? To wielka różnica, mówił do siebie Poirot. Tak, to wielka różnica. Czuł, że pani Llewellyn–Smythe znała się na rzeczy. Zajmowała się ogrodnictwem przez wiele lat. Bez wątpienia była członkiem Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego, jeździła na wystawy, przeglądała katalogi i zwiedzała ogrody — botanika była z pewnością jednym z głównych powodów jej wojaży. Mogła wszystko poznawać i wydawać dowolne polecenia, ale czy to wystarczyło? Chyba jednak nie. Musiała mieć pewność, że ogrodnicy należycie wykonają jej rozkazy. Czy spodziewała się, czy oczami wyobraźni potrafiła zobaczyć, jaki będzie rezultat jej starań? Nie za rok czy dwa lata, lecz po trzech, sześciu, może siedmiu latach. To Michael Garfield, pomyślał Poirot, wiedział, czego chciała starsza pani. Mówiła mu, czego pragnie, a on potrafił sprawić, aby ten nagi, pełen gładów

kamieniołom zakwitł tak, jak potrafi zakwitnąć tylko pustynia. Planował i mógł swoje plany realizować, odczuwając niczym nie zmaconą rozkosz, jaką daje artyście wykonanie pracy powierzonej przez bogatego, pełnego zaufania klienta. Wśród nudnych pagórków ukrył wymyśloną przez siebie krainę baśni, aby tu rosła i kwitła w spokoju. Umieścił tu drogie krzewy, które wymagały wypisywania czeków na wielkie sumy, rzadkie rośliny, które można było otrzymać jedynie dzięki uprzejmości przyjaciół, i kilka pospolitości, niezbędnych i nie związanych z żadnymi wydatkami. Wiosną na skarpie po lewej stronie zakwitały pierwiosnki. Świadczyły o tym ich skromne zielone listki skupione w kępkach po bokach.

W Anglii, myślał Poirot, ludzie pokazują ci swoje zielne rabaty, ciągną cię, abyś zobaczył ich róże, i wygłaszają nie kończące się mowy o swoich irysach. Aby pokazać, że doceniają rzeczy w ich kraju najpiękniejsze, zabierają cię w słoneczny dzień pod pokryte zielonym listowiem buki, gdzie rosną dzikie hiacynty. Tak, to bardzo piękny widok, ale zbyt często mi go pokazywano. Wolę... Tu przerwał, by zastanowić się, co właściwie woli. Jazdę krętymi drogami Dewonu, pomiędzy zboczami pokrytymi gęstym dywanem przetykanym pierwiosnkami. Są białe, delikatne, nieśmiało zażółcone i rozsiewają dookoła subtelny i unikalny zapach. To woń bardziej wiosenna niż wszystkie inne. Byłyby tu zatem nie tylko rzadkie krzewy. Byłaby tu wiosna i jesień, małe dzikie cyklameny i jesienne krokusy. To miejsce było przepiękne.

Ciekawili go ludzie mieszkający obecnie w Quarry House. Wiedział, kim są — emerytowany pułkownik i jego żona. Spence zapewne mógłby powiedzieć mu o nich coś więcej. Poirot wyczuwał, że ktokolwiek był teraz właścicielem posiadłości, nie kochał jej tak, jak nieżyjąca pani Llewellyn-Smythe.

Wstał i przespacerował się ścieżką. Była wygodna, ze starannie ułożonymi niskimi stopniami — nawet starsza osoba mogła je pokonać bez większego wysiłku. Łagodne zakręty i z pozoru ascetyczne, a w rzeczywistości bardzo wygodne ławki, ustawione w zacisznych miejscach. Poirot zapragnął poznać Michaela Garfielda. Dokonał czegoś wspaniałego. Znał swój zawód, wszystko doskonale zaplanował i dobrał odpowiednich ludzi do realizacji swoich zamierzeń. Zapewne przeprowadził wszystko tak, aby zlecniodawczyni była przekonana, że to wszystko jest realizacją jej własnego projektu, a chyba nie było — pomyślał detektyw. Więcej tu jego myśli niż jej. Tak, chciałbym go poznać. Jeżeli wciąż mieszka w zbudowanym dla niego domku, czy też bungalowu...

Spojrzał w poprzek rozpadliny leżącej u jego stóp, na ścieżkę zakręcającą po drugiej stronie. Przyglądał się szczególnie, złociście czerwonemu, bujnemu krzewowi, okalającemu coś, co przez moment zdało mu się nie rzeczą realną, lecz tworem cienia i słońca padającego na listowie.

Co też ja widzę? — myślał Poirot. Czy to rezultat zauroczenia? Być może. Tutaj może się to zdarzyć. Czy to ludzka istota, czy też coś innego? Jego myśl wróciła do zdarzeń sprzed lat, które nazwał niegdyś „pracami Herkulesa”. Pomyślał, że w rzeczywistości nie siedzi w angielskim ogrodzie. Starał się uchwycić atmosferę tego miejsca. Miało w sobie magię, urok i piękno, piękno wciąż nieśmiałe i dzikie. Gdyby ustawić tu scenę teatralną, znalazłbyś na niej nimfy i fauny, greckie piękno i grozę. Tak, pomyślał, w tym zatopionym ogrodzie obecna była groza. Co też opowiadała siostra Spence’a? Coś o morderstwie dokonanym tu, w kamieniołomie, przed laty? Krew zboczyła kamienie, lecz potem o tej śmierci zapomniano. Przyszedł Michael Garfield, zaplanował i stworzył swój ogród rzadkiej piękności, na który starsza pani wyłożyła fundusze.

Po drugiej stronie dolinki, wśród złotoczerwonego listowia zobaczył młodego mężczyznę o niezwykle urodziwej twarzy. Nikt teraz nie zastanawia się nad urodą młodych mężczyzn. Mówi się, że są seksowni, szalenie atrakcyjni i zwykle są to określenia trudne dla mężczyzn o twarzach topornych, z rozwichrzonymi, zaniedbanymi włosami i rysami dalekimi od regularności. Nazwanie takiego młodzieńca pięknym byłoby anachronizmem. Seksowne dziewczyny nie tęsknią za Orfeuszem z lutnią. Wolą rozczochranego piosenkarza pop ze schrypniętym głosem.

Poirot ruszył wolno ścieżką. Kiedy doszedł do przeciwległego stromego zbocza, młody człowiek wyszedł mu na spotkanie spośród drzew. Choć młodość wydawała się jego cechą charakterystyczną, Poirot dostrzegł, że mężczyzna ten musiał przekroczyć już trzydziestkę, a może zbliżał się do czterdziestki. Na jego twarzy tlił się słaby uśmiech, który jednak nie wyrażał radości powitania, lecz raczej zadowolenie z rozpoznania przybysza. Był wysoki, szczupły, z rysami twarzy tak doskonałymi, jakby wyszły spod dłuta greckiego rzeźbiarza. Oczy miał ciemne, a włosy starannie ułożone. Przez chwilę Poirot obawiał się, czy przypadkiem nie spotkali się przy jakiejś uroczystej okazji. Jeżeli tak, pomyślał, spoglądając na swoje kalosze, powinienem był lepiej się ubrać. Powiedział:

— Być może nadużywam pańskiej gościnności. Jeżeli tak, proszę o wybaczenie. Jestem tu obcy. Przybyłem dopiero wczoraj.

— Nie sądzę, aby można to było nazwać nadużywaniem gościnności — głos był spokojny i w dziwny sposób pozbawiony zainteresowania, jakby myśli mówiącego błędziły w oddali. — Ogród nie jest właściwie otwarty dla publiczności, ale ludzie często tutaj spacerują. Stary pułkownik Weston i jego żona nie zwracają na to uwagi. Zainteresowałiby się, gdyby wyrządzono tu jakąś szkodę, ale to jest mało prawdopodobne.

— Nie ma tu śladu wandalizmu — rzekł Poirot rozglądając się. — Nie widać żadnych śmieci ani nawet małego kosza na nie. Czy to nie jest niezwykle? Dziwna ta pustka wokół. Sądzę, że powinni tu spacerować zakochani.

— Zakochani tu nie przychodzą — powiedział młody człowiek. — To miejsce wydaje się z pewnych powodów nieszczęśliwe.

— Zapewne jest pan architektem? Czy dobrze zgaduję?

— Nazywam się Michael Garfield — odpowiedział młody człowiek.

— Tak przypuszczałem — stwierdził Poirot, i wskazując na ogród, spytał: — To pańskie dzieło?

— Tak — odparł Garfield.

— Jest piękny — rzekł Poirot. — Zawsze wydaje mi się niezwykle, gdy powstaje coś pięknego w tej, prawdę mówiąc, nudnej części Anglii. Gratuluję panu. Musi pan być zadowolony ze swojego dzieła.

— Czy kiedykolwiek można być w pełni zadowolonym ze swoich dokonań? Wątpię.

— Zrobił pan to, o ile wiem, dla pani Llewellyn-Smythe. Wiem, że już nie żyje. Mieszka tu

pułkownik Weston z żoną? Czy oni są właścicielami?

— Tak. Nabyli to tanio. To duży, niezgrabny dom, trudny do utrzymania, nie taki, jakiego potrzebuje większość ludzi. W testamencie przypadł mnie.

— I sprzedał go pan.

— Sprzedałem.

— Ale bez ogrodu w kamieniołomie?

— Ależ tak. Ogród poszedł razem z domem. Praktycznie można powiedzieć, że dorzuciłem go dodatkowo.

— Dlaczego? — spytał Poirot. — To interesujące. Nie ma pan nic przeciwko mojej ciekawości?

— Pańskie pytania, przyznaję, są niecodzienne — odparł Michael Garfield.

— Pytam nie tyle o fakty, co o przyczyny. Dlaczego A zrobił to i to? Dlaczego B zrobił coś innego? Dlaczego zachowanie C różni się całkowicie od zachowania A i B?

— Powinien pan porozmawiać z jakimś naukowcem — stwierdził Michael: — To kwestia, jak dziś często powtarzamy, genów i chromosomów. Ich układu, kodu.

— Powiedział pan, że nikt nigdy nie może być w pełni usatysfakcjonowany swoją pracą, a więc pan również. A czy pańska zlecniodawczyni, czy jak ją pan nazwie, nie była usatysfakcjonowana?

— Całkowicie — odpowiedział Michael. — Dopilnowałem tego. Łatwo ją było zadowolić.

— To brzmi nieprawdopodobnie — stwierdził Herkules Poirot. — Wiem, że miała ponad sześćdziesiątkę. Przynajmniej sześćdziesiąt pięć. Czy ludzi w tym wieku łatwo zadowolić?

— Zawsze przekonywałem ją, że to, co zrobiłem, zostało wykonane dokładnie według jej instrukcji i wymagowanych pomysłów.

— A czy tak było naprawdę?

— Pyta pan poważnie?

— Nie — odrzekł Poirot. — Szczerze mówiąc, nie.

— Aby odnieść w życiu sukces — powiedział Michael Garfield — należy z uporem dążyć do upragnionego celu, iść za głosem swoich artystycznych skłonności, ale trzeba też być handlowcem. Musi pan sprzedawać swoje towary. Inaczej jest pan zmuszony realizować pomysły innych w sposób nie zawsze zgodny z własnymi poglądami. Realizowałem głównie własne pomysły i sprzedawałem je, może lepiej powiedzieć, że przehandlowywałem swojej klientce jako urzeczywistnienia jej własnych planów i szkiców. Nietrudno nauczyć się tej sztuki. To tak jak sprzedanie dziecku

brązowych jajek zamiast białych. Trzeba tylko przekonać klienta, że te są najlepsze, jedynie właściwe, prawdziwie wiejskie i sama kwoka woli je od innych. Brązowe, wiejskie jaja prosto z farmy. Nie sprzeda się ich, mówiąc po prostu: „To są jaja. Mogą być świeże lub nie. Niczym innym się nie różnią”.

— Jest pan niezwykłym młodym człowiekiem — powiedział Poirot. — Choć nieco aroganckim — dodał z namysłem.

— Być może.

— Stworzył pan tu coś bardzo pięknego. Połączył pan swoją wizję i swoje projekty z pustą, surową czeluścią po kamieniu wydartym stąd przez przemysł, a wydzieranym bez najmniejszej bodaj troski o piękno. Dołożył pan swoją wyobraźnię i znalazł pan pieniądze na realizację obrazu stworzonego w swoim umyśle. Gratuluję panu. Składam hołd. Hołd starego człowieka, który jest coraz bliżej kresu wszystkich swoich prac.

— Ale na razie wciąż pan działa.

— A więc wie pan, kim jestem?

Poirot bardzo się ucieszył. Lubił, kiedy ludzie wiedzieli, kim jest. Obecnie, obawiał się, większość ludzi nie ma o tym zielonego pojęcia.

— Idzie pan śladem krwi... Tutaj już wiedzą o tym. To mała społeczność. Nowiny szybko się rozchodzą. Przywiódł tu pana inny człowiek sukcesu.

— Och, ma pan na myśli panią Oliver.

— Ariadnę Oliver. Świetnie się sprzedaje. Ludzie chcą z nią przeprowadzać wywiady, wiedzieć, co myśli o rozruchach studenckich, socjalizmie, strojach dziewczęcych, wolnym seksie i wielu innych rzeczach, które wcale jej nie dotyczą.

— Tak, tak — przytaknął Poirot — to godne ubolewania. Zauważyłem, że nie są w stanie nauczyć się zbyt wiele od pani Oliver. Dowiadują się jedynie, że lubi jabłka. Wszyscy to wiedzą przynajmniej od dwudziestu lat, ale ona wciąż to powtarza z miłym uśmiechem. Choć teraz, obawiam się, przestanie je lubić.

— Czy to jabłka tu pana przywiodły?

— Jabłka na przyjęciu w wieczór Halloween — odpowiedział Poirot. — Czy był pan na tym przyjęciu?

— Nie.

— Miał pan szczęście.

— Szczęście? — Michael Garfield powtórzył to słowo z lekkim zdumieniem.

— Być jednym z gości na przyjęciu, na którym popełniono morderstwo, to nie należy do przyjemności. Być może pan tego nie doświadczył, ale mogę zapewnić, że miał pan szczęście, jako że — tu Poirot postanowił przypomnieć o swoim pochodzeniu — *il y a des ennuis, vous comprenez?** Pytają pana o czas, daty i zadają inne impertynenckie pytania. Czy znał pan to dziecko?

— Och tak. Reynoldsowie są tu dobrze znani. Znam większość ludzi w okolicy. Zresztą wszyscy się tu znamy, chociaż w różnym stopniu. Jest w tym nieco zażyłości, jakieś przyjaźnie, a niektórzy ledwo się sobie kłaniają.

— Jaka była Joyce?

— Była, jak by to powiedzieć, zwyczajna. Głos miała raczej nieprzyjemny, przenikliwy. Naprawdę, to wszystko, co na jej temat pamiętam. Niezbyt lubię dzieci. Większość z nich mnie nudzi. Nudziła mnie też Joyce. Jeżeli mówiła, to tylko o sobie.

— Nie była interesująca?

Michael Garfield spojrzał lekko zdumiony.

— Nie sędzę — powiedział. — Czy musiała być?

— Według mnie ludzie nieinteresujący zwykle nie są mordowani. Ludzie mordują dla zysku, ze strachu lub z miłości. Można wybierać, lecz zawsze jest jakiś punkt wyjścia. — Przerwał, spoglądając na zegarek. — Muszę już iść. Mam pewne zobowiązanie. Jeszcze raz gratuluję panu.

Pospieszył ścieżką, wybierając starannie drogę. Był rad, że tym razem nie założył lakierków.

Michael Garfield nie był jedyną osobą, którą Poirot spotkał tego dnia w zatopionym ogrodzie. Kiedy dotarł do dna, spostrzegł, że odchodzą stamtąd w różne strony trzy ścieżki. U wylotu środkowej, na przewróconym pniu, czekała na niego dziewczynka. Wyjaśniła to od razu.

— Przypuszczani, że jest pan Herkulesem Poirot. Czy tak? — spytała.

Miała głos czysty jak dzwoneczek i kruchą figurkę. Było w niej coś, co pasowało do tego zatopionego ogrodu. Przypominała driadę lub elfa.

— Tak się nazywam — odpowiedział Poirot.

— Wysłałam panu na spotkanie — rzekło dziecko. — Idzie pan do nas na herbatę, prawda?

— Do pani Butler i pani Oliver?

— Tak. To mama i ciocia Ariadna. — Następnie dodała tonem przygany: — Jest pan spóźniony.

— Przepraszam. Zatrzymałem się na chwilę, aby z kimś porozmawiać.

— Tak. Widziałam, jak rozmawiał pan z Michałem.

— Znasz go?

— Oczywiście. Mieszkamy tu dość długo. Znam wszystkich. Poirota zaciekało, ile ma lat, więc zapytał o to. Odpowiedziała:

— Dwanaście. W przyszłym roku pójdę do szkoły z internatem.

— Cieszy cię to, czy martwi?

— Nie wiem, póki się nie przekonam. Nie sędzę, abym tamto miejsce polubiła tak jak to. Lepiej już chodźmy — dodała.

— Ależ oczywiście, oczywiście. Przepraszam za spóźnienie.

— Och, to nieważne.

— Jak ci na imię?

— Miranda.

— Myślę, że pasuje do ciebie — powiedział Poirot.

— Myśli pan o Szekspirze?

— Tak. Uczyłaś się o nim?

— Tak. Panna Emlyn coś nam o nim czytała. Prosiłam mamę, aby poczytała mi więcej. To brzmi wspaniale. Nowy wspaniały świat. Naprawdę nie ma niczego takiego, prawda?

— Nie wierzysz w to?

— A pan wierzy?

— Zawsze istnieje jakiś nowy, wspaniały świat — rzekł Poirot — ale tylko dla wybranych ludzi. Dla szczęśliwych. Dla tych, którzy niosą w sobie tworzenie tego świata.

— Rozumiem — powiedziała Miranda. Sprawiała wrażenie, jakby wszystko pojęła bez wysiłku, co Poirotowi wydało się raczej zdumiewające.

Odwróciła się i ruszyła ścieżką.

— Pójdziemy tędy. To niedaleko. Może pan przejść przez żywopłot w naszym ogrodzie.

Nagle spojrzała przez ramię i wskazując coś, powiedziała:

— Tutaj na środku była fontanna.

— Fontanna?

— Och, wiele lat temu. Myślę, że wciąż tam tkwi pod krzewami, azaliami i całą resztą. Była cała popękana. Ludzie pozabierali kawałki, ale nikt nie postawił nowej.

— Szkoda.

— Nie wiem. Nie jestem pewna. Czy bardzo pan lubi fontanny?

— *Ca dépend* — odpowiedział Poirot.

— Znam trochę francuski — powiedziała Miranda. — To znaczy „to zależy”, prawda?

— Rzeczywiście. Jesteś niezłe wykształcona.

— Wszyscy mówią, że panna Emlyn jest bardzo dobrą nauczycielką. Kieruje naszą szkołą. Jest strasznie dokładna i trochę sztywna, ale czasami opowiada nam bardzo ciekawe rzeczy.

— A zatem jest na pewno bardzo dobrą nauczycielką — stwierdził Herkules Poirot. — Znasz to miejsce bardzo dobrze. Zdaje się, że wydeptałaś już wszystkie ścieżki. Często tu przychodzisz?

— O tak. To jedno z moich ulubionych miejsc. Widzi pan, kiedy tu przychodzę, nikt nie wie, gdzie jestem. Siadam na drzewie, na gałęzi i patrzę. Lubię obserwować.

— I co oglądasz?

— Na ogół ptaki i wiewiórki. Prawda, że ptaki są bardzo kłótniwe? Nie tak jak w poezji: „zgodne ptaszki w swych małych gniazdkach”. Naprawdę są inne. Patrzę też na wiewiórki.

— A czy obserwujesz ludzi?

— Czasami. Ale niewielu tutaj przychodzi.

— Ciekawi mnie dlaczego?

— Przypuszczam, że się boją

— Czego mają się bać?

— Ponieważ dawno temu kogoś tu zabito. To znaczy, zanim powstał ogród. Był tu niegdyś kamieniołom, a w nim kopiec ze żwiru lub piasku. Właśnie w nim znaleziono trupa. Czy sądzi pan, że prawdziwe jest stare porzekadło, iż rodzimy się, aby nas powieszono lub utopiono?

— Dzisiaj nikt nie rodzi się po to, aby go powieszono. Już nie wieszają ludzi w tym kraju.

— Ale w innych stuleciach wieszano. Wieszano na ulicach. Czytałam o tym w książkach.

— Jak sądzisz, to było dobre czy złe?

Miranda nie odpowiedziała wprost, ale Poirot wyczuł jej intencję.

— Joyce została utopiona — powiedziała. — Mama nie chciała mi o tym powiedzieć. Myślę, że to głupio z jej strony, prawda? Mam już dwanaście lat.

— Czy Joyce była twoją przyjaciółką?

— Tak. Wielką przyjaciółką. Opowiadała mi czasami bardzo ciekawe rzeczy. Wszystko o słoniach i radżach. Była kiedyś w Lidiach. Chciałabym pojechać do Indii. Mówiliśmy sobie wszystkie sekrety. Nie miałam tyle do opowiadania co mama. Wie pan, mama była w Grecji, ale mnie nie zabrała. Tam spotkała ciocię Ariadnę.

— Kto ci powiedział o Joyce?

— Pani Perring. To nasza kucharka. Rozmawiała z panią Minden, która przyszła posprzątać. Ktoś przytrzymał głowę Joyce w wiadrze z wodą.

— Czy potrafisz powiedzieć, kto to był?

— Może nie powinnam tak mówić, ale one chyba nie wiedziały, bo są na to za głupie.

— A czy ty wiesz, Mirando?

— Nie było mnie tam. Bolało mnie gardło i miałam gorączkę, ale mogę się domyślać, ponieważ została utopiona. Dlatego pytałam pana, czy uważa pan, że ludzie rodzą się po to, aby ich utopiono. Przejdziemy tutaj przez żywopłot. Niech pan uważa na ubranie.

Poirot szedł za nią. Przejście przez żywopłot od strony Quarry Garden było jednak rozmiaru bardziej odpowiedniego dla przewodniczki detektywa, której szczupłość elfa pozwalała na swobodne poruszanie. Starannie opiekowała się Poirotem, ostrzegając go przed rosnącymi w pobliżu kolczastymi krzewami i przytrzymując najbardziej niebezpieczne gałązki żywopłotu. Znaleźli się w ogrodzie w pobliżu sterty kompostu, ominęli ją, krocząc po rozpadającym się, starym inspekcje do hodowli ogórków, i dotarli do dwóch pojemników na śmieci. Stąd przez niewielki, przyjemny ogród, porośnięty w większości różami, z łatwością dotarli do niewielkiego bungalowu. Miranda poprowadziła przez otwarte szklane drzwi i z dumą zbieracza, któremu udało się zdobyć rzadki okaz żuka, obwieściła:

— Przyprowadziłam go.

— Mirando, chyba nie przyprowadziłaś pana przez żywopłot? Powinniście pójść ścieżką dookoła przez boczną furtkę.

— Tędy lepiej — odpowiedziała Miranda. — Szybciej i krócej.

— I boleśniej, jak sądzę.

— Nie pamiętam — powiedziała pani Oliver — czy przedstawiłam pana mojej przyjaciółce, pani Butler?

— Oczywiście. Na poczie.

Prezentacja, o której mówiono, trwała przez chwilę, w czasie oczekiwania w kolejce przed okienkiem. Poirot mógł teraz z bliska lepiej przyjrzeć się przyjaciółce pani Oliver. Poprzednio widział szczupłą kobietę w płaszczu przeciwdeszczowym i chuście zakrywającej głowę. Judith Butler miała około trzydziestu pięciu lat. O ile jej córka przypominała driadę lub elfa, o tyle ona sama była podobna do rusałki. Mogłaby być boginką Renu. Długie blond włosy spływały jej miękko na ramiona, a wielkie oczy, ocienione długimi rzęsami, połyskiwały kolorem morskiej toni nad nieco zapadniętymi policzkami delikatnej, pociągłej twarzy.

— Cieszę się i jestem panu bardzo wdzięczna, *monsieur* Poirot — powiedziała pani Butler. — To miło, że zechciał pan przybyć na prośbę Ariadny.

— Zawsze robię to, o co prosi mnie moja przyjaciółka, pani Oliver — odpowiedział Poirot.

— To przesada — rzekła pani Oliver.

— Była pewna, całkowicie pewna, że potrafiłby pan odkryć wszystko, co wiąże się z tym bestialskim zdarzeniem. Mirando, kochanie, czy mogłabyś pójść do kuchni? Na drucianej tacy nad piekarnikiem znajdziesz bułeczki.

Miranda zniknęła. Wychodząc rzuciła matce znaczący uśmiech, który zdawał się mówić: „Pozbywasz się mnie tylko na chwilę”.

— Staram się, aby się nie dowiedziała o tym strasznym zdarzeniu — poinformowała matka Mirandy. — Ale przypuszczam, że to od początku daremny trud.

— Rzeczywiście — przyznał Poirot. — Nic nie roznosi się z taką szybkością, jak wieść o nieszczęściu. A przy okazji — dodał — nie można przejść przez życie, nie wiedząc, co się dzieje wokół. Dzieci są szczególnie ciekawe zdarzeń tego rodzaju.

— Albo Burns, albo sir Walter Scott twierdził, że „dziecko między wami zbiera wiadomości” — powiedziała pani Oliver — i rzeczywiście wiedział, co mówi.

— Wydaje się, że Joyce Reynolds rzeczywiście widziała morderstwo — stwierdziła pani Butler. — Trudno w to uwierzyć.

— W to, że Joyce widziała coś takiego?

— W to, że zobaczywszy coś takiego, nigdy o tym nie wspomniała. To do niej niepodobne.

— Pierwszą rzeczą, którą mi tu wszyscy powtarzali, było twierdzenie, że Joyce Reynolds była kłamczuchą — zauważył Poirot słodkim tonem.

— To możliwe — zgodziła się Judith Butler. — Czyżby wymysły tego dziecka mogły okazać się prawdziwe?

— To na pewno nasz punkt wyjścia — powiedział Poirot. — Joyce Reynolds została bez wątpienia zamordowana.

— A więc przystąpił pan do działania i prawdopodobnie wie pan już wszystko — wtrąciła pani Oliver.

— *Madame*, proszę nie spodziewać się po mnie rzeczy niemożliwych. Pani się zanadto śpieszy.

— Dlaczego miałabym tego nie robić? — spytała pani Oliver. — Dzisiaj niczego nie można osiągnąć bez pośpiechu.

W tym momencie wróciła Miranda z talerzem pełnym bułeczek.

— Czy mogę je tutaj postawić? — spytała. — Myślę, że już skończyliście rozmowę, prawda? Czy może chcecie, abym jeszcze coś przyniosła z kuchni? — W jej głosie zabrzmiała nuta delikatnej złośliwości.

Pani Butler postawiła georgiański srebrny imbryk na metalową płytkę i włączyła na chwilę elektryczny czajnik, wyłączony uprzednio na moment przed zagotowaniem. Napełniła imbryk odpowiednią ilością wody i podała herbatę. Miranda z gracją przyniosła bułeczki i kanapki z ogórkiem.

— Z Ariadną spotkałam się w Grecji — powiedziała Judith.

— Wpadłam do morza, gdy wracaliśmy z jednej z wysp — opowiadała pani Oliver. — Morze było wzburzone i marynarze wciąż krzyczeli: „skacz”. Oczywiście, wybierali najkorzystniejszy dla nas moment, ale jeżeli ktoś się waha i traci panowanie nad sobą, skacze, gdy odległość wydaje mu się być najmniejsza. A wtedy właśnie odległość zaczyna się zwiększać. — Przerwała dla nabrania oddechu. — Judith pomagała mnie wyłowić i to nas zbliżyło. Prawda?

— Tak, rzeczywiście — przyznała pani Butler. — Poza tym polubiłam twoje imię. Wydało mi się takie znaczące.

— Tak, to greckie imię — powiedziała pani Oliver. — Wiesz, że to moje prawdziwe. Nie wymyśliłam go w celach literackich. Ale nie wydarzyło mi się nic takiego, co spotkało prawdziwą Ariadnę. Nigdy nie uciekłam z żadnej greckiej wyspy, gnana szaleńczą miłością, ani nie zrobiłam niczego podobnego.

Poirot, udając, że przygląda wąsy, przysłonił uśmiech, który mimowolnie wypłynął mu na usta, gdy wyobraził sobie panią Oliver w roli zbiegłej Greczynki.

— Nasze życie nie musi pasować do naszych imion — stwierdziła pani Butler.

— Tak, rzeczywiście. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak ścinasz głowę kochanka. Przecież tak było z Judytą i Holofernelem?

— To był jej patriotyczny obowiązek — powiedziała pani Butler. — Dlatego tak ją czczono i

podawano za wzór.

— Nie jestem zbyt biegła w dziejach Judyty i Holofernesa. To chyba apokryf? Kiedy zaczynam o tym myśleć, przychodzą mi do głowy kolejne imiona — imiona ich dzieci. Czyż nie nazywały się przedziwnie? Któż to wbił parę gwoździ w czyjąś głowę? Jahel czy Sisera? Pewnie Jahel. Nigdy nie pamiętam, które z nich było mężczyzną, a które kobietą. Nie przypominam sobie, aby jakiemuś dziecku dano na chrzcie imię Jahel.

— Położyła przed nim masło na wspianiałym półmisku — wtrąciła nieoczekiwanie Miranda, zatrzymując się na chwilę, jakby miała zamiar zabrać tacę z herbatą.

— Nie patrz na mnie — zwróciła się Judith Butler do przyjaciółki. — To nie ja nauczyłam ją apokryfów. Wyniosła to ze szkoły.

— To raczej niezwykle w dzisiejszych czasach — powiedziała pani Oliver. — Teraz uczą dzieci zasad etycznych.

— Ale nie panna Emlyn — stwierdziła Miranda. — Uważa, że w dzisiejszych czasach podczas czytania Ewangelii w kościele poznamy jedynie nowoczesną wersję Biblii, pozbawioną zupełnie literackiego ducha. Powinniśmy znać przynajmniej świętą prozę i biały wiersz Biblii Króla Jakuba. Bardzo lubię historię Jahel i Sisery. O czymś takim sama nigdy nie pomyślałam — dodała z zastanowieniem. — Myślę o wbijaniu gwoździ w głowę śpiącego.

— Mam nadzieję, że rzeczywiście nigdy o tym nie pomyślałaś — powiedziała jej matka.

— A w jaki sposób pozbyłabyś się swoich wrogów, Mirando? — spytał Poirot.

— Byłabym bardzo miła — odpowiedziała łagodnym, zamyślonym głosem. — Byłoby to trudniejsze, ale wybrałabym tę drogę, bo nie lubię ran. Wzięłabym jakiś narkotyk, żeby zrobić coś w rodzaju eutanazji. Zasnęliby, śniąc piękne sny, i wcale nie chcieliby się obudzić. — Zebrała filiżanki po herbacie, chleb i maselnickę. — Pozmywam, mamusiu — powiedziała — jeżeli chcesz panu Poirotowi pokazać ogród. Na skraju rabaty jest jeszcze kilka róż królowej Elżbiety.

Wyszła z pokoju, niosąc ostrożnie tacę.

— Miranda to niezwykle dziecko — stwierdziła pani Oliver.

— Ma pani piękną córkę, *madame* — oznajmił Poirot.

— Tak, myślę, że jest teraz śliczna. Ale nie wiadomo, jaka będzie, gdy podrośnie. Dzieci dojrzewając często tyją i wyglądają jak prosiaczki. Ale teraz... Teraz jest podobna do leśnej nimfy

— Nic dziwnego, że tak lubi Quarry Garden, przylegający do pani domu?

— Wolalabym, żeby czasami lubiła go mniej. Należy raczej wystrzegać się ludzi spacerujących w tak odludnych miejscach, nawet jeżeli niedaleko stąd do wsi. W dzisiejszych czasach ciągle się czegoś boimy. Dlatego... Dlatego musi pan wyjaśnić, *monsieur Poirot*, tę okropność, która spotkała

Joyce. Dopóki się tego nie dowiemy, nie będziemy się czuć bezpiecznie, nawet przez minutę. Myślę o naszych dzieciach. Ariadno, zabierz pana Poirota do ogrodu. Dołączę do was za chwilę.

Zabrała pozostałe dwie filiżanki i talerz i poszła do kuchni. Poirot z panią Oliver przez przeszkłone drzwi wyszli do malutkiego ogrodu, który wyglądał typowo jesiennie. Z brzegu pozostało kilka złocistych świec i stokrotki z dnia świętego Michała. Kilka róż królowej Elżbiety wznosiło swoje różowe, posągowe kwiaty. Pani Oliver zeszła szybko w dół do kamiennej ławki i siadając gestem zaprosiła Poirota, aby spoczął obok.

— Powiedział pan, że Miranda przypomina leśną nimfę. A co pan sądzi o Judith? — spytała.

— Powinna mieć na imię Rusałka — odpowiedział Poirot.

— Tak, duszek wodny. Tak, rzeczywiście wygląda, jakby dopiero co wyszła z Renu lub z morza albo wynurzyła się z jakiegoś leśnego jeziora. Jej włosy wyglądają jak zmoczone wodą. Ale nie ma w niej niczego niestaranego ani niezrównoważonego.

— Jest też uroczą kobietą — dodał Poirot.

— Co pan o niej sądzi?

— Nie miałem jeszcze czasu na rozważania. Myślę po prostu, że jest piękna i atrakcyjna, i jest w niej coś, co przyciąga uwagę.

— Tak, oczywiście, ale czy tak nie powinno być?

— Chciałbym, aby teraz pani opowiedziała mi, co o niej wie i myśli.

— Poznałam ją bardzo dobrze na wycieczce morskiej. Wie pan, zawierały się tam bardzo bliskie przyjaźnie. Myślę o jednej lub dwóch parach. Reszta lubiła się, ale nie będziemy tęsknić do ponownego spotkania. Lecz jedna lub dwie osoby... Tak, Judith była jedną z tych, które chciałam spotkać ponownie.

— Czy przed wycieczką znała ją pani?

— Nie.

— Ale wie pani coś o niej?

— Nic niezwykłego. Jest wdową — powiedziała pani Oliver. — Jej mąż zmarł wiele lat temu. Był pilotem i zginął w wypadku samochodowym. Wie pan, jeden z tych karamboli. Może zjeżdżał któregoś wieczoru na boczną drogę z autostrady, która przechodzi tu obok. Może było nieco inaczej. To było okropne. Myślę, że Judith zupełnie się załamała. Nie lubi o tym mówić.

— Czy Miranda jest jej jedynym dzieckiem?

— Tak. Judith przez parę godzin dziennie pracuje w sąsiedztwie jako sekretarka, ale nie ma

stałego zajęcia.

— Czy znała ludzi mieszkających w Quarry House?

— Myśli pan o pułkowniku i pani Weston?

— Myślę o poprzedniej właścicielce, pani Llewellyn-Smythe.

— Sądzę, że tak. O ile pamiętam, słyszałam już jej nazwisko. Zmarła dwa lub trzy lata temu, a więc nie mówi się o niej często. Nie wystarczają panu żywi? — dodała z pewną irytacją.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Poirot. — Muszę poszukiwać również tych, którzy zmarli lub zniknęli ze sceny.

— Kto zniknął?

— Dziewczyna *au pair* — powiedział Poirot.

— Ach tak — zakrzyknęła pani Oliver. — One zawsze znikają, prawda? Przychodzą, biorą wypłatę i biegną prosto do szpitala, bo są w ciąży. Potem mają dziecko, które nazywają Augustem, Hansem, Borysem lub jakoś podobnie. Albo przyjeżdżają, aby wyjść za kogoś za mąż, lub też śledzą młodzieńca, w którym się zakochały. Nie uwierzyłby pan w to, co opowiadali mi przyjaciele! Rzec w tym, że dziewczyny *au pair* stają się albo darem niebios dla zapracowanych matek i za Boga nie chcemy ich puścić, albo kradną nam skarpetki, albo wreszcie zostają zamordowane — zakończyła. Och! — dodała.

— Proszę się uspokoić, *madame* — rzekł Poirot. — Nie ma powodu przypuszczać, że nasza dziewczyna *au pair* została zamordowana. Wręcz przeciwnie.

— Co to znaczy — przeciwnie? Przecież to nie ma sensu.

— Być może nie. Wciąż to samo... Wyjął notes i go otworzył.

— Co pan tam zapisuje?

— Pewne rzeczy, które zdarzyły się w przeszłości.

— Wydaje się, że przeszłość bardzo pana zajmuje.

— Przeszłość jest matką teraźniejszości — rzekł sentencjonalnie. Podał jej notes. — Czy życzy sobie pani zobaczyć, co zapisałem?

— Oczywiście. Przypuszczam, że nie będzie to mieć dla mnie żadnego znaczenia. Nigdy nie uważam za ważne rzeczy, które pan uznaje za godne zapisania.

Wzięła do ręki mały czarny notes.

Nie żyją: np. pani Llewellyn-Smythe (bogata), Janet White (nauczycielka), urzędnik w biurze prawniczym — pchnięty nożem, poprzednio oskarżony o fałszerstwo.

Poniżej było napisane: *Dziewczyna z opery zniknęła*.

— Jaka dziewczyna z opery?

— Takich słów użyła siostra mojego przyjaciela, Spence'a, opisując tę, którą nazywaliśmy dziewczyną *au pair*.

— Dlaczego miałyby zniknąć?

— Ponieważ prawdopodobnie mogła popaść w konflikt z prawem.

Palec Poirota przesunął się do następnego punktu. Widniało tam słowo *fałszerstwo* z dwoma znakami zapytania na końcu.

— Fałszerstwo? — powiedziała pani Oliver. — Dlaczego fałszerstwo?

— Właśnie o to pytam. Dlaczego fałszerstwo?

— Jakiego rodzaju fałszerstwo?

— Testament, lub raczej kodycyl do niego, został sfałszowany na korzyść dziewczyny *au pair*.

— Nadmierne wykorzystanie swojego wpływu?

— Fałszerstwo to coś poważniejszego od nadmiernego wykorzystania swojego wpływu — stwierdził Poirot.

— Nie widzę, aby to wszystko miało coś wspólnego z zamordowaniem biednej Joyce.

— Ja również — zgodził się Poirot. — Ale jest to interesujące.

— A dalej, co to za słowo? Nie mogę przeczytać.

— Słonie.

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

— Może mieć — powiedział Poirot. — Proszę mi wierzyć, że może mieć. — Wstał. — Muszę panią opuścić — powiedział. — Proszę usprawiedliwić mnie przed gospodynią, że się z nią nie pożegnałem. Spotkanie z nią i z jej uroczą, niezwykłą córką sprawiło mi wielką przyjemność. Proszę powiedzieć jej, aby pilnowała dziecka.

— „Mówiła mi matka, abym nigdy nie bawiła się z dziećmi w lesie” — zacytowała pani Oliver. — A zatem, do widzenia. Widzę, że chce pan być tajemniczy i taki zostanie. Nie powiedział pan

nawet, co teraz zamierza.

— Jutro rano mam w Medchester spotkanie z panami Fullertonem, Harrisonem i Leadbetterem.

— Po co?

— Aby porozmawiać o fałszerstwie i podobnych sprawach.

— A potem?

— Przespaceruję się i porozmawiam z innymi, którzy byli również obecni.

— Na przyjęciu?

— Nie, podczas przygotowań do niego.

Rozdział dwunasty

Siedziba Fullertona, Harrisona i Leadbettera miała typowy wygląd szacownej firmy starej daty. Czuło się tu atmosferę minionego czasu. Nie było już żadnych Harrisonów ani Leadbetterów. Był pan Atkinson i młody pan Cole, i wciąż jeszcze pan Jeremy Fullerton, główny udziałowiec.

Pochylony, starszawy mężczyzna, pan Fullerton, miał niewzruszoną twarz, suchy, oficjalny głos i niespodziewanie przenikliwe spojrzenie. Jego ręka spoczywała na kartce, na której widniało kilka słów. Odczytał je raz i drugi, ważąc dokładnie ich znaczenie. Następnie spojrzał na mężczyznę, który mu tę notatkę przedstawił.

— *Monsieur* Herkules Poirot?

Dokonał oceny przybysza. Starszy człowiek, cudzoziemiec, pedantycznie ubrany, ze stopami niepotrzebnie wystrojonymi w za małe, jak bystro spostrzegł, lakierki. Dostrzegł też ślady bólu już rysujące się na twarzy przybysza. Cudzoziemski dandys i firecyk, a jednak miał rekomendacje od inspektora Henry'ego Raglana z wydziału śledczego i poręczenie nadinspektora Spence'a, emerytowanego pracownika Scotland Yardu. — Ach, nadinspektor Spence? — mruknął Fullerton. Fullerton znał Spence'a. Wiedział, że swego czasu wykonał kawał porządnej roboty i był ceniony przez przełożonych. Coś przypomniało mu się jak przez mgłę. Odżyło nikłe wspomnienie. To była słynna sprawa, chociaż wzbudziła więcej rozgłosu, niż na to zasługiwała. Sprawa, w której z pozoru nic już nie można było zmienić. Tak, oczywiście! Przypomniał sobie, że jego siostrzeniec był w to zamieszany jako młodszy obrońca. Psychopatyczny morderca, właściwie nie próbujący się bronić, człowiek, którego naprawdę chciało się zobaczyć na stryczku — ponieważ wtedy rzeczywiście wieszano. Nie jakieś piętnaście czy nie wiadomo ile lat w więzieniu. Płaciło się wtedy najwyższą cenę i szkoda, że to już zarzucono, rozważał pan Fullerton w swym pozbawionym uczuć umyśle. Dzisiaj młodzi kryminaliści nie ryzykują wiele, posuwając się do uśmiercenia ofiary. Kiedyś, gdy facet oddał ducha, nie wolno ci było zostawić żadnych świadków, którzy mogliby cię zidentyfikować.

Spence, który zajmował się tą sprawą, spokojny i wytrwały, z uporem dowodził, że ujęto niewłaściwego człowieka. I miał rację, a osobą, która tego dowiodła, był pewien cudzoziemiec — amator. Jakiś emerytowany detektyw z policji belgijskiej. Dawno to było. Dzisiaj jest już pewnie sklerotyczny, ale, wszystko jedno, należy zachować się rozważnie. Chce informacji. Informacji, których podanie nie może być żadnym uchybieniem, gdyż, jak sądził, on sam nie posiadał jakichkolwiek wiadomości, które mogłyby być pomocne w tej sprawie. W sprawie zabójstwa dziecka.

Pan Fullerton właściwie odgadł, kto jest winien tego zabójstwa, ale brakowało mu całkowitej pewności, gdyż pozostało co najmniej trzech podejrzanych obiboków, z których każdy mógł być winien. Fala myśli przepływała mu przez głowę. Opóźnienie w rozwoju. Opinia psychiatry. Bez wątpienia tak się to skończy. A jednak dziewczynka utopiona podczas przyjęcia to coś zupełnie innego niż jedna z historii o dzieciach, które nie powróciły ze szkoły, gdyż — wbrew wielokrotnym

ostrzeżeniom — dały się komuś namówić na podwiezienie, a potem zostały znalezione w najbliższym zagajniku lub piaszczystej dziurze. Dziura? Piach? Kiedy to było? Wiele, wiele lat temu.

Wszystkie te rozmyślania zajęły panu Fullertonowi około czterech minut, po czym, odchrząknawszy, przemówił:

— Czym mogę służyć, *monsieur Poirot*? O ile wiem, chodzi o sprawę tej dziewczynki, Joyce Reynolds. Paskudna sprawa, wyjątkowo paskudna. Nie widzę, w czym mógłbym panu pomóc. Wiem o tym niewiele.

— Ale jest pan, o ile się nie mylę, oficjalnym doradcą rodziny Drake'ów?

— Och tak. Biedny Hugo Drake. Miły facet. Znałem go wiele lat, od czasu, gdy kupił Jabłonki i zamieszkał tutaj. Przykry przypadek polio. Nabawił się tego któregoś roku podczas wakacji za granicą. Oczywiście jego umysł pozostał nietknięty. Przykro, gdy coś takiego spotyka człowieka, który przez całe życie był atletą, sportowcem, świetnym zawodnikiem. Tak, wtedy ciężko uświadomić sobie, że zostało się kaleką do końca życia.

— Przypuszczam, że zajmował się pan również stroną prawną spraw pani Llewellyn-Smythe?

— Tak, jego ciotki. Doprawdy, niezwykła kobieta. Kiedy zapadła na zdrowiu, sprowadziła się tutaj, aby być bliżej bratanka i jego żony. Kupiła sobie kosztowne cacko, Quarry House. Zapłaciła dużo więcej, niż ten dom był wart, ale ona nie przywiązywała wagi do pieniędzy. Była bardzo bogata. Zatrudniła specjalistę od ogrodów, chyba dość biegłego w swoim zawodzie. Jednego z tych przystojnych, długowłosych facetów, ale ten przynajmniej znał się na rzeczy. Dobrze sobie poradził, tworząc ogród w kamieniołomie. Zdobył niezłą reputację. W „Domach i ogrodach” opublikowano ilustrowany artykuł o nim. Tak, pani Llewellyn-Smythe potrafiła dobrać sobie ludzi. To nie był jedynie przystojny, młody pupilek. Niektóre podstarzałe kobiety mają takie fanaberie, ale ten facet był niegłupi i znał swój zawód. Ale odbiegam od tematu. Pani Llewellyn-Smythe zmarła dwa lata temu.

— Zupełnie nagle.

Fullerton spojrzał ostro na Poiota.

— Nie, nie mógłbym tak powiedzieć. Miała kłopoty z sercem i lekarze starali się powstrzymać ją od zbytniego wysiłku, ale nie była kobietą, której można było cokolwiek nakazać. Nie była hipochondryczką. — Zakasłał i ciągnął dalej: — Ale przypuszczam, że odchodzimy od sprawy, z którą pan przyszedł.

— Niezupełnie — powiedział Poirot — ale chciałbym, jeżeli pan pozwoli, zadać kilka pytań na zupełnie inny temat. Poproszę o kilka informacji o jednym z pańskich pracowników, Lesleyu Ferrierze.

Pan Fullerton wyglądał na nieco zaskoczonego.

— Lesley Ferrier? — zamruczał. — Lesley Ferrier. Chwileczkę. Wie pan, że niemal o nim zapomniałem. Tak, tak, oczywiście. To ten, którego zasztyletowano?

— Właśnie o nim myślałem.

— Ale doprawdy, nie sądzę, abym mógł panu o nim dużo powiedzieć. Zdarzyło się to parę lat temu. Którejś nocy zarżnięto go koło „Zielonego Łabędzia”. Nikogo nawet nie aresztowano w związku z tą sprawą. Sądzę, że policja miała podejrzanego, ale nie potrafiła zebrać dowodów.

— Czy powody były natury emocjonalnej? — wypytywał Poirot.

— O tak. Jestem tego niemal pewien. Wie pan, zazdrość. Związał się z zamężną kobietą. Jej mąż prowadził knajpkę w Woodleigh Common, „Zielonego Łabędzia”. To takie skromne miejsce. Zdaje się, że w pewnym momencie Lesley zaczął kręcić z inną młodą kobietą lub, jak mówiono, więcej niż z jedną. Podobał się dziewczynom. Raz czy dwa było z tym trochę kłopotu.

— Czy jako chlebodawca był pan z niego zadowolony?

— Muszę przyznać, że niezupełnie. Miał swoje zalety. Potrafił rozmawiać z klientami, ale byłoby znacznie lepiej, gdyby bardziej zwracał uwagę na swoją pracę i przyzwoite zachowanie, zamiast zajmować się coraz to inną dziewczyną, z których żadna, według mojego staromodnego gustu, nie dorastała do jego poziomu. Aż pewnej nocy zdarzyła się w „Zielonym Łabędziu” awantura i zakłuto go, gdy wracał do domu.

— Jak pan sądzi, czy odpowiedzialna była za to któraś z tych dziewcząt, czy pani na „Zielonym Łabędziu”?

— Naprawdę, niczego tu nie można wiedzieć na pewno. O ile wiem, policja uważała to za zabójstwo z zazdrości, ale... — Wzruszył ramionami.

— Pan nie jest pewien?

— Ot, zdarzyło się — powiedział pan Fullerton. — „Furia wzgardzonej kobiety przerasta piekielną.” Wciąż to cytowano w sądzie. Czasami to prawda.

— Widzę jednak, że nie jest pan do końca przekonany, że tak się rzeczy miały.

— Powiedzmy, iż wolałbym więcej dowodów. Policja również. Oskarżyciel publiczny nie zaakceptował tych, które dostarczono.

— Czy mogło to wyglądać całkiem inaczej?

— Ależ oczywiście. Można by wysnuć kilka teorii. Młody Ferrier nie miał zbyt statecznego charakteru. Był starannie wychowany, miał miłą matkę, wdowę. Ojciec już nie był tak przyzwoity. Ledwie wykaraskał się ze swoich kłopotów. Żona miała z nim ciężkie życie. Nasz młodzieniec w znacznej mierze był do niego podobny. Związał się z dość podejrzanymi osobnikami. Wątpliwości rozwiązywałem na jego korzyść. Był jeszcze młody, ale często ostrzegałem go, że schodzi na złą

drogę. Zbyt często ocierał się o drobne interesy, które niosą za sobą konflikt z prawem. Mówiąc szczerze, nie trzymałbym go, gdyby nie jego matka. Był młody i zdolny. Ostrzegałem go parę razy w nadziei, że odniesie to jakiś skutek, ale tyle teraz degeneracji dookoła. Przez ostatnie dziesięć lat jeszcze jej przybyło.

— Nie sądzi pan, że ktoś go w to wciągał?

— Całkiem możliwe. Te grupy czy gangi, jeżeli użyjemy tego bardziej melodramatycznego określenia, są dość niebezpieczne, kiedy się z nimi zdrze. Jeżeli zdradzi się jakąkolwiek ich sprawę, łatwo dostać nożem między łopatki.

— Nikt nie widział, jak to się stało?

— Nie, nikt nic nie widział. Nie było szans cokolwiek zobaczyć. Ktokolwiek podjął się tej roboty, miał wszystko doskonale przygotowane: alibi, wybrane miejsce i czas.

— Ale mogło się zdarzyć, że ktoś to widział. Ktoś zupełnie nieoczekiwany. Na przykład dziecko.

— Późną nocą? W sąsiedztwie „Zielonego Łabędzia”? To mało prawdopodobne, *monsieur* Poirot.

— Dziecko — upierał się Poirot — które mogło zapamiętać. Dziecko wracające z domu przyjaciół. Przechodziło ścieżką lub widziało coś zza żywopłotu.

— Cóż za wyobraźnia, *monsieur* Poirot. To, co pan mówi, wygląda absolutnie nieprawdopodobnie.

— Dla mnie nie jest to takie nieprawdopodobne — stwierdził Poirot. — Dzieci dużo widzą. Często są tam, gdzie nie możemy się ich spodziewać.

— Ale na pewno po powrocie do domu opowiadają, co widziały.

— Niekoniecznie — zaoponował Poirot. — Widzi pan, mogą nie być pewne, co właściwie widziały. Zwłaszcza jeżeli przestraszyły się tego, co zobaczyły. Dzieci nie zawsze opowiadają w domu o wypadku lub nieoczekiwanej awanturze, którą widziały. Potrafią świetnie strzec swoich sekretów. Zachowują tajemnicę i rozmyślając niej. Czasami lubią sprawiać wrażenie, że coś ukrywają.

— Powiedziałyby swoim matkom — upierał się pan Fullerton.

— Nie jestem tego pewien — odparł Poirot. — W swojej praktyce często spotykałem się ze zdarzeniami, o których dzieci nie wspominały matkom.

— Czy mogę wiedzieć, co tak bardzo zainteresowało pana w sprawie Lesleya Ferriera? Go dna pożałowania śmierć młodego człowieka, gwałt, z którym, niestety, spotykamy się dziśtak często?

— Nic o nim nie wiem, a chciałbym się dowiedzieć, gdyż jego gwałtowna śmierć nastąpiła dość niedawno. To może mieć dla mnie znaczenie.

— Wie pan, panie Poirot — powiedział pan Fullerton z pewną dozą goryczy — naprawdę nie mogę pojąć, po co pan przyszedł do mnie i co pana właściwie interesuje. Przecież na pewno nie podejrzewa pan żadnego związku między śmiercią Joyce Reynolds i pewnego, dość obiecującego, młodego człowieka, niestety z lekka zamieszanego w działalność kryminalną, nieżyjącego od paru lat?

— Można podejrzewać różne rzeczy — odpowiedział Poirot. — Należy jednak zebrać więcej informacji.

— Pan wybaczy, ale w wypadku zbrodni należy przede wszystkim zajmować się dowodami.

— Zapewne słyszał pan, że nieżyjąca Joyce twierdziła w obecności kilku świadków, iż była świadkiem morderstwa?

— Tutaj zwykle krążą różnego rodzaju plotki — stwierdził pan Fullerton. — Słyszcy się je szczególnie w przesadzonej formie, której nie warto dawać wiary.

— To również jest prawdą — zgodził się Poirot. — Joyce miała akurat trzynaście lat. Dziecko dziewięcioletnie mogło zapamiętać coś, co widziało: wypadek drogowy, walkę na noże ciemnym wieczorem, uduszenie nauczycielki. Każde z tych zdarzeń mogło wywrzeć tak silne wrażenie na jego umyśle, że nie wspomniało o tym, nie mając pewności, co właściwie widziało. Następnie rozważało rzecz w myśli i może nawet zapomniało o tym do czasu, gdy jakieś zdarzenie obudziło wspomnienia. Zgodzi się pan, że to mogło się zdarzyć?

— O tak, oczywiście, ale uważam, że to bardzo daleko idące przypuszczenia.

— O ile wiem, mieliście tu również zniknięcie dziewczyny, cudzoziemki. Miała na imię Olga lub Sonia, nie pamiętam dokładnie.

— Tak, rzeczywiście. Nazywała się Olga Seminoff.

— Nie była chyba osobą zbyt rzetelną?

— Nie.

— Była towarzyszką czy też pielęgniarką pani Llewellyn-Smythe. Chyba tej, którą mi pan przed chwilą opisał? Ciotki pana Drake'a?

— Tak. Kilka dziewcząt pełniło u niej tę rolę. Dwie inne chyba też były cudzoziemkami. Z jedną od początku wciąż się kłóciła, druga zaś była miła, ale straszliwie głupia. Pani Llewellyn-Smythe nie mogła ścierpieć głupców. Olga, jej ostatnia próba, zdaje się bardzo jej odpowiadała. Jeżeli dobrze pamiętam, nie była szczególnie atrakcyjną dziewczyną — poinformował pan Fullerton. — Była niska, raczej krępa, o ponurym usposobieniu. Ludzie w sąsiedztwie niezbyt ją lubili.

— Ale pani Llewellyn-Smythe naprawdę ją polubiła.

— Bardzo się do niej przywiązała, co, jak się później okazało, było bardzo nierozsądne.

— Naprawdę?

— Nie mam wątpliwości — oświadczył pan Fullerton — że nie powiedziałem niczego, o czym by pan już nie słyszał. Takie wieści rozprzestrzeniają się jak ogień.

— Rozumiem, że pani Llewellyn–Smythe zostawiła jej znaczną sumę pieniędzy.

— Zdarzyło się coś najbardziej niewiarygodnego. Pani Llewellyn–Smythe nie zmieniała podstawowej części swojego testamentu przez wiele lat, za wyjątkiem nowych zapisów na cele dobroczynne i zmian legatów z powodu śmierci obdarowanych. Zapewne opowiadam o rzeczach, które pan zna, jeżeli interesował się pan tą sprawą. Swoje pieniądze przeznaczyła dla bratanka Hugona Drake’a i jego żony, która była jednocześnie jego siostrą cioteczną, a więc również jej siostrzenicą. Gdyby któreś z nich zmarło wcześniej, wszystkie pieniądze przechodziły na drugą osobę. Sporo zapisała na cele dobroczynne i starym służącym. Ale, jak twierdzono, ostatecznego rozporządzenia majątkiem dokonała około trzech tygodni przed śmiercią i nie w naszej firmie, jak to czyniła poprzednio. Był to kodycył napisany przez nią własnoręcznie. Zamiast wielu poprzednich, zawierał tylko jeden lub dwa zapisy dobroczynne, nie pozostawiając nic starym służącym. Cała reszta jej fortuny przypadła Oldze Seminoff za jej pełną poświęcenia służbę i okazane uczucie. W najwyższym stopniu zdumiewająca dyspozycja i zupełnie niepodobna do wszystkich poprzednich poczynań pani Llewellyn–Smythe.

— Co było potem?

— Zapewne słyszał pan mniej więcej, co się dalej zdarzyło. Z orzeczenia grafologów wynikało jasno, że kodycył był całkowicie sfalszowany. Tylko trochę przypominał odręczne pismo pani Llewellyn–Smythe. Pani Smythe nie zносиła maszyny do pisania i często Olga pisała jej listy prywatne, naśladując, w takim stopniu, w jakim potrafiła, jej charakter pisma i nawet podpisując za nią. Miała w tym sporą praktykę. Zdaje się, że po śmierci pani Llewellyn–Smythe posunęła się o krok dalej, myśląc, że jej biegłość w naśladowaniu pisma chlebowczyni jest wystarczająca. Ale to nie mogło zmylić ekspertów. Naprawdę nie mogło.

— Podjęto starania, aby unieważnić dokument?

— Naturalnie. Oczywiście nastąpiła zwykła proceduralna zwłoka, zanim rzecz dotarła do sadu. W tym czasie panna załamała się i, jak już pan wspomniał, zniknęła.

Rozdział trzynasty

Po wyjściu Herkulesa Poirota Jeremy Fullerton, zasiadłszy za biurkiem, bębnił lekko palcami po blacie. Zamyślonym spojrzeniem błędził gdzieś daleko.

Ujawszy leżący przed nim dokument, spoglądał nań przez chwilę. Słyszając dyskretny dzwonek wewnętrznego telefonu, podniósł słuchawkę.

— Tak, panno Miles?

— Przyszedł pan Holden, proszę pana.

— Tak, byłem z nim umówiony blisko trzy kwadranse temu. Czy jakoś wyjaśnił tak duże spóźnienie?... Tak, tak, rozumiem. To samo mówił poprzednio. Proszę mu powiedzieć, że rozmawiałem z klientem i nie mam teraz czasu. Czy może pani umówić go na przyszły tydzień? Nie możemy nadal tolerować takiego postępowania.

— Tak, panie Fullerton.

Odłożył słuchawkę i przyglądał się leżącemu przed nim dokumentowi, wciąż go nie czytając. Jego myśl krążyła wokół rzeczy minionych. Dwa lata... Minęły dwa lata i oto dzisiejszego ranka ten dziwny cudzoziemiec w lakierkach, z wielkimi wąsami, przypominał wszystko swoimi pytaniami.

Teraz śledził w myśli rozmowę sprzed niemal dwóch lat.

Zobaczył znowu siedzącą przed nim niską, kręłą dziewczynę o oliwkowej cerze, czerwonych, pełnych wargach, wydatnych kościach policzkowych i dzikim spojrzeniu niebieskich oczu, spoglądających spod grubych, nastroszonych brwi. Była to pełna pasji i życia twarz osoby, która poznała cierpienie i gotowa była na dalsze cierpienia, ale nie potrafiła cierpienia zaakceptować. Była kobietą, która potrafiła walczyć i protestować do końca. Gdzie mogła być teraz? Jakoś sobie poradziła, ale właściwie jak? Czy ktoś jej pomógł? Chyba tak.

Zapewne znalazła się znowu w jakimś tkniętym złym losem miejscu Europy Środkowej, skąd pochodziła, gdzie było jej miejsce i gdzie musiała powrócić, gdyż gdzie indziej nie było już dla niej miejsca, jeżeli nie chciała pójść do więzienia.

Jeremy Fullerton był strażnikiem prawa. Wierzył w nie i czuł wzdrganie dla licznych współczesnych sędziów, ich łagodnych wyroków i akceptacji akademickich wymagań. Studenci kradnący książki, młoda mężatka obrabiająca supermarkety, dziewczyny podkradające pieniądze swoim chlebodawcom, czy też chłopcy rozbijający aparaty telefoniczne nie robią tego z rzeczywistej potrzeby, lecz w wyniku pobłażliwego wychowania, które wpoilo w nich głębokie przekonanie, że mogą przywłaszczyć sobie wszystko, czego nie są w stanie kupić. Pan Fullerton, choć wierzył całą duszą w konieczność egzekwowania prawa, nie był pozbawiony wyższych uczuć. Żałował ludzi. Żał

mu było również Olgi Seminoff, choć nie przekonywały go pełne pasji argumenty, które przedstawiła:

— Przyszłam do pana po pomoc. Był pan tak uprzejmy w zeszłym roku. Pomógł mi pan wypełnić formularze, żebym mogła pozostać w Anglii jeszcze przez rok. Przyszłam do pana, ponieważ powiedzieli mi: „Nie musi pani odpowiadać na żadne pytania, jeżeli pani sobie tego nie życzy. Może być pani reprezentowana przez prawnika”.

— Okoliczności, które pani przytoczyła — pan Fullerton pamiętał, jak sucho i zimno wymawiał te słowa, aby za tą oschłością i chłodem ukryć wzbierające współczucie — nie mają znaczenia. W tej sprawie nie mogę pani legalnie reprezentować. Występuję już w imieniu rodziny Drake’ów. Jak pani wie, byłem doradcą prawnym pani Llewellyn–Smythe.

— Ale ona nie żyje. Po śmierci nie potrzebuje doradcy prawnego.

— Bardzo panią lubiła — zauważył pan Fullerton.

— Tak, bardzo mnie lubiła. Właśnie o tym panu mówię. Dlatego chciała dać mi pieniądze.

— Wszystkie?

— A dlaczego by nie? Dlaczego by nie? Nie lubiła swoich krewnych.

— Myli się pani. Bardzo lubiła swoją siostrzenicę i bratanka.

— Być może lubiła pana Drake’a, ale nie panią Drake. Uważała, że jest męcząca. Narzucała się. Nie pozwalała pani Llewellyn–Smythe robić tego, co lubiła. Nie pozwalała jej jeść tego, co jej smakowało.

— Jest bardzo sumienna i troszczyła się, aby jej ciotka przestrzegała diety przepisanej przez lekarzy i żeby się nie przepracowywała.

— Ludzie nie zawsze chcą podporządkować się zaleceniom lekarzy. Nie chcą, aby krewni wtrącali się do ich spraw. Chcą żyć własnym życiem i postępować według własnej woli. Miała mnóstwo pieniędzy. Mogła mieć, co chciała! Mogła mieć wszystkiego tyle, ile chciała. Była bardzo, bardzo bogata i mogła robić z pieniędzmi, co jej się podobało. Pan i pani Drake mają już dosyć pieniędzy. Mają piękny dom, ubrania i dwa samochody. Są zamożni. Dlaczego mieliby dostać jeszcze więcej?

— Byli jej jedyną żyjącą rodziną.

— Chciała, abym ja dostała te pieniądze. Współczuła mi. Wiedziała, co przeszłam. Wiedziała o moim ojcu, aresztowanym i uprowadzonym przez policję. Ani moja matka, ani ja już nigdy więcej go nie zobaczyłyśmy. A potem zmarła matka. Umarła cała moja rodzina. Przeszłam przez koszmar. Nie wie pan, tak jak ja, co to znaczy żyć w państwie policyjnym. Tak, tak. Jest pan po stronie policji, a nie po mojej.

— To prawda, nie jestem po pani stronie — rzekł pan Fullerton. — Współczuję pani z powodu tego, co panią spotkało, ale pani sama napytała sobie biedy.

— To nieprawda! Nie zrobiłam niczego takiego, czego nie powinnam robić. Co takiego zrobiłam? Byłam dla niej uprzejma i miła. Przynosiłam jej mnóstwo rzeczy, których miała nie jeść. Czekoladę i masło. Nic, tylko tłuszcze roślinne, a ona nie lubiła tłuszczów roślinnych. Chciała masła. Chciała dużo masła.

— To nie jest kwestia masła — powiedział pan Fullerton.

— Opiekowałam się nią. Byłam dla niej miła! Była mi wdzięczna. A potem, kiedy umarła i zobaczyłam, że w dowód wdzięczności i uczucia zostawiła mi wszystkie pieniądze, przyszli ci Drake'owie i powiedzieli, że nic nie dostanę. Mówią przeróżne rzeczy. Mówią, że miałam na nią zły wpływ. Mówią jeszcze gorsze rzeczy. O wiele gorsze. Mówią, że sama napisałam testament. To nonsens. Ona sama go napisała. Ona go napisała. Kazała mi wtedy wyjść z pokoju. Wezwała sprzątaczkę i ogrodnika Jakuba. Im, a nie mnie kazała podpisać dokument. Ponieważ ja miałam dostać pieniądze. Dlaczego nie mogę ich dostać? Dlaczego los nie może się do mnie uśmiechnąć i nie mogę zaznać trochę szczęścia? To wyglądało tak cudownie; Tyle rzeczy planowałam zrobić, kiedy się o tym dowiedziałam.

— Nie wątpię. Nie wątpię.

— Dlaczego nie mogłabym mieć swoich planów? Dlaczego nie miałabym się radować? Zamierzam być szczęśliwa i bogata i mieć wszystko, czego zapragnę. Co złego zrobiłam? Nic. Mówię panu, że nic. Nic.

— Staralem się pani to wytłumaczyć — powiedział pan Fullerton.

— To wszystko kłamstwa. Pan mówi, że ja kłamię. Mówi pan, że ja sama napisałam ten dokument. Nie napisałam go. Ona go napisała. Nikt nie może temu zaprzeczyć.

— Niektórzy mówią różne rzeczy — rzekł pan Fullerton. — Proszę posłuchać. Proszę zaprzestać protestów i posłuchać. Czy prawdą jest, że pani Llewellyn-Smythe prosiła, aby pani, pisząc listy, naśladowała w miarę możliwości jej pismo? Robiła tak, gdyż, będąc osobą starej daty, uważała za nietakt wysyłać listy pisane na maszynie do przyjaciół i osób, które znała osobiście. To przeżytki epoki wiktoriańskiej. Teraz nikt już nie zwraca uwagi na to, czy otrzymał list pisany odręcznie, czy na maszynie. Ale pani Llewellyn-Smythe uważała to za nieuprzejmość. Czy rozumie pani, o czym mówię?

— Tak, rozumiem. Mówiła: „A teraz, Olgo, odpowiesz na te cztery listy zgodnie z tym, co ci mówiłam i co zastenografowałam. Ale proszę, pisz odręcznie, upodabniając pismo do mojego tak dalece, jak potrafisz”. Kazała mi ćwiczyć naśladowanie jej charakteru pisma, abym nauczyła się, jak wyglądają jej „a”, „b”, „l” i różne inne litery. „Pisz tak długo, aż będzie wyglądało, o ile to możliwe, jak moje własne pismo, a potem podpisz za mnie. Nie chcę, aby myślano, że nie jestem już w stanie pisać własnych listów. Ale, jak wiesz, reumatyzm nadgarstka dokucza mi coraz bardziej i coraz trudniej mi pisać, a nie chciałabym wysyłać prywatnych listów pisanych na maszynie.”

— Mogła pani pisać je swoim własnym charakterem pisma, dodając na końcu „przez sekretarkę” lub podpisując inicjałami.

— Nie chciała, abym tak robiła. Chciała, aby wyglądały na pisane przez nią.

I to, pomyślał pan Fullerton, mogła być prawda. Pasowało to do pani Luizy Llewellyn–Smythe. Drażniła ją świadomość, że wielu czynności nie może już wykonywać sama. Nie mogła już długo spacerować ani wspinać się na pagórki. Ręce, a zwłaszcza prawa, straciły dawną sprawność. Chciała móc powiedzieć, że czuje się doskonale, nic jej nie dolega i jest w stanie zrobić wszystko, jeżeli tylko tak postanowi. Tak, Olga mówiła prawdę. Między innymi z tego powodu na początku bez żadnych podejrzeń uznano kodycył dołączony do ostatniego testamentu odpowiednio napisanego i podpisanego przez Luizę Llewellyn–Smythe. Pan Fullerton przypomniał sobie, że to właśnie w jego biurze zrodziły się wątpliwości, gdyż obaj jego młodsi wspólnicy doskonale znali charakter pisma pani Llewellyn–Smythe. Młody Cole pierwszy powiedział:

— Wie pan, nie mogę uwierzyć, że pani Llewellyn–Smythe własnoręcznie napisała ten kodycył. Wiem, że później nękał ją artretyzm, ale proszę spojrzeć na cechy szczególne jej pisma na dokumentach, które przyniosłem panu specjalnie do obejrzenia. Z tym kodycyłem jest coś nie w porządku.

Pan Fullerton zgodził się, że coś tu nie pasuje. Poleciał zasięgnąć opinii biegłych grafologów. Odpowiedzi były jednoznaczne. Niezależne opinie były zgodne. Kodycył nie został napisany ręką pani Luizy Llewellyn–Smythe. Gdyby Olga nie była tak chciwa, pomyślał pan Fullerton, i pisząc kodycył pozostawiła początek bez zmiany: *Za poświęcenie mi wielkiej troski i uwagi oraz za okazanie uczucia i uprzejmości zapisuję...* Tak się zaczynał kodycył, i tak powinien się zaczynać, lecz dalej powinna zadowolić się podaniem pewnej pokaźnej sumy pozostawionej dla dziewczyny *au pair*. Krewni zapewne nie rozważaliby, czy kwota jest przesadnie duża, i zaakceptowaliby ją bez wahania. Ale pozbawić wszystkiego rodzinę, bratanka, który w czterech ostatnich testamentach, sporządzonych w ciągu niemal dwudziestu lat, był głównym spadkobiercą, i oddać cały majątek cudzoziemskiej dziewczynie, Oldze Seminoff, to nie pasowało do charakteru pani Llewellyn–Smythe. Nie. To namiętne i pełne pasji dziecko było zbyt chciwe. Być może pani Llewellyn–Smythe obiecała, że zostawi jej pewną sumę w nagrodę za okazywaną uprzejmość i troskę, gdyż w jej starczym sercu zakiełkowało uczucie do dziewczyny, która spełniała jej kaprysy i robiła wszystko, o co ją prosiła. I to otworzyło przed Olgą nowe pragnienia. Chciała mieć wszystko. Stara dama powinna jej wszystko zostawić. Powinna dostać wszystkie pieniądze. Wszystkie pieniądze, dom, stroje i kosztowności. Wszystko. Chciwa dziewczyna. Dlatego spotkała ją surowa kara.

A jednak pan Fullerton wbrew swej woli, wbrew instynktowi prawnika i wbrew wielu innym rzeczom, współczuł jej. Szczerze jej współczuł. Znała cierpienie od czasu dzieciństwa, poznała rygory państwa policyjnego, straciła rodziców, brata i siostrę, poznała niesprawiedliwość i strach. To rozwinęło w niej cechy, z którymi na pewno się urodziła, ale które nie miały okazji się ujawnić. Rozkwitła w niej dziecinna pasja pożądania.

— Wszyscy są przeciwko mnie — mówiła Olga. — Wszyscy. Wszyscy jesteście przeciwko mnie. Pan nie postępuje uczciwie, ponieważ jestem cudzoziemką, ponieważ nie należę do tego kraju, ponieważ nie wiem, co powiedzieć i co zrobić. Co mogę zrobić? Dlaczego nie powie mi pan, co mogę zrobić?

— Ponieważ naprawdę uważam, że nie może pani nic zrobić — odpowiedział pan Fullerton. —

Pani największą szansą jest przyznanie się do wszystkiego.

— Będzie to kłamstwo, a nie prawda, jeżeli powiem to, czego pan oczekuje. Ona sama sporządziła testament. Sama wszystko napisała. Kiedy oni go podpisywali, kazała mi wyjść z pokoju.

— Wie pani, że są przeciw pani dowody. Są ludzie, którzy oświadczą, że pani Llewellyn-Smythe często nie wiedziała, co podpisuje. Trzymając kilka dokumentów różnego rodzaju, nie zawsze sprawdzała, co ma przed sobą.

— A więc nie wiedziała, co mówi.

— Moje drogie dziecko — powiedział pan Fullerton — największą pani nadzieją jest to, że po raz pierwszy złamała pani prawo, że jest pani cudzoziemką i że rozumie pani angielski tylko w podstawowej formie. Dlatego może pani dostać minimalny wyrok, być może jedynie wyrok w zawieszeniu.

— Och, słowa. Nic tylko słowa. Wsadzą mnie do więzienia i nigdy stamtąd nie wyjdę.

— Teraz mówi pani nonsensy — powiedział pan Fullerton.

— Lepiej, gdybym uciekła. Uciekła i schowała się tak, żeby nikt nie mógł mnie znaleźć.

— Znajdą panią, jeżeli zostanie wydany nakaz aresztowania.

— Nie, jeżeli ucieknę szybko. Jeżeli zrobię to od razu. Mogłabym wyjechać. Wyjechać z Anglii. Statkiem albo samolotem. Mogłabym znaleźć kogoś, kto fałszuje paszporty i wizy, i co tam jeszcze potrzeba. Kogoś, kto zrobi coś dla mnie. Mam przyjaciół. Mam ludzi, którzy mnie lubią. Ktoś pomógłby mi zniknąć. Tego mi trzeba. Mogłabym założyć perukę. Mogłabym chodzić o kulach.

— Proszę posłuchać — pan Fullerton mówił głosem przepelnionym powagą — współczuję pani. Polecę panią prawnikowi, który zrobi, co będzie w jego mocy. Niech pani nie marzy o zniknięciu. Mówi pani jak dziecko.

— Mam wystarczająco dużo pieniędzy. Oszczędzałam pieniądze. Starał się pan być uprzejmy. Tak, wierzę w to. Ale nie zrobi pan nic, bo to wszystko prawo i prawo. Ale ktoś mi pomoże. Ktoś pomoże. I ucieknę tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie.

Nikt jej nie znalazł, pomyślał pan Fullerton. Był ciekaw, tak, bardzo był ciekaw, gdzie mogła być teraz.

Rozdział czternasty

Herkules Poirot został wprowadzony do salonu „Jabłonek” i poinformowany, że pani Drake wkrótce się pojawi.

Przechodząc przez hol, usłyszał gwar kobiecych głosów, dochodzących spoza drzwi prowadzących, jak mu się wydawało, do jadalni.

Podszedł do okna w salonie i spoglądał na schludny, przyjemny ogród, świetnie zaplanowany i utrzymany. Przetrwały jeszcze bujne, jesienne stokrotki, solidnie przywiązane do kijów w dzień św. Michała; chryzantemy wciąż nie rozstawały się z życiem, jedna czy dwie uparte róże gardziły zbliżającą się zimą.

Poirot nie dostrzegł najmniejszych śladów działania ogrodnika, specjalisty od krajobrazów. Wszystko było staranne i konwencjonalne. Ciekawiło go, czy pani Drake okazała się zbyt silną osobowością dla Michaela Garfielda. Na próżno rozciągał swe sieci. Widać tu było wszystkie cechy wspaniale utrzymanego podmiejskiego ogrodu. Drzwi się otworzyły.

— Przepraszam, że musiał pan czekać tak długo, *monsieur* Poirot — powiedziała pani Drake.

W holu słychać było zamierający gwar głosów, jak gdyby kilka osób opuszczało dom.

— To nasza kościelna bożonarodzeniowa feta — wyjaśniła pani Drake. — Spotkanie komitetu organizacyjnego. To zawsze przeciąga się dłużej niż powinno. Wciąż ktoś ma jakieś obiekcje albo świetny pomysł, który zwykle zupełnie nie nadaje się do realizacji.

W tonie jej głosu przebijała lekka złośliwość. Poirot mógł sobie łatwo wyobrazić, że Rowena Drake miała skłonność do ostatecznego i definitywnego dyskwalifikowania pewnych pomysłów jako całkowicie absurdalnych. Na podstawie uwag wypowiedzianych przez siostrę Spence’a, aluzji czynionych przez ludzi i wiadomości z innych źródeł Poirot zrozumiał, że Rowena Drake jest silną osobowością, po której wszyscy wciąż się spodziewają, że będzie grać pierwsze skrzypce, ale której nikt za to nie darzy uczuciem. Mógł sobie również wyobrazić, że jej sumienność nie była tą cechą, którą mogłaby docenić starsza krewna o podobnym w gruncie rzeczy charakterze. Wywnioskował, że gdy pani Llewellyn-Smythe przybyła tutaj, aby zamieszkać w pobliżu bratanka i jego żony, pani Drake roztoczyła nad ciotką męża nadzór i opiekę na tyle ścisłą, na ile było to możliwe bez konieczności wspólnego zamieszkania. Pani Llewellyn-Smythe zapewne miała świadomość olbrzymiego długu zaciągniętego wobec Roweny, jednocześnie zaś wzdragała się przed jej apodyktycznymi metodami postępowania.

— Świetnie, wszyscy już wyszli — stwierdziła Rowena Drake, słysząc ostatnie trzaśnięcie drzwi. — Czym mogę panu służyć? Znowu to straszne przyjęcie? Wolałabym, żeby się nigdy tutaj nie odbyło. Ale naprawdę, żaden inny dom nie był odpowiedni. Czy pani Oliver wciąż mieszka u Judith Butler?

— Tak. Sadzę, że wraca do Londynu za dzień lub dwa. Nie zetknęła się pani z nią wcześniej?

— Nie. Uwielbiam jej książki.

— Wiem, że jest uznawana za dobrą pisarkę — powiedział Poirot.

— Och tak. Jest dobrą pisarką. Nie ma co do tego wątpliwości. Jest również czarującą osobą. Czy domyśla się, kto mógł zrobić rzecz tak okropną?

— Niestety nie. A pani, *madame*?

— Mówiłam już panu. Nie mam pojęcia.

— Mogła pani tak powiedzieć, a jednak nadal wydaje mi się, że ma pani jakąś koncepcję, może nie do końca skryształizowaną, ale możliwą.

— Dlaczego pan tak sądzi? — spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Mogła pani coś zobaczyć, coś całkiem drobnego i nieważnego, co po zastanowieniu mogło, być może, wydać się pani bardziej znaczące niż na początku.

— Ma pan coś na myśli, *monsieur* Poirot, jakąś konkretną rzecz?

— Tak, przyznaję. A to z powodu pewnego wydarzenia, które mi opowiedziano.

— Naprawdę? I kto panu o tym opowiedział?

— Panna Whittaker. Nauczycielka.

— Ach tak, oczywiście. Elizabeth Whittaker. Jest nauczycielką matematyki w Elms. Prawda? Pamiętam, że była na przyjęciu. Czy coś widziała?

— Nie tyle ona widziała, co wydawało jej się, że pani mogła coś zobaczyć.

Pani Drake spojrzała zdumiona i potrząsnęła głową.

— Nie mogę sobie niczego takiego przypomnieć — stwierdziła — ale nigdy nie można być pewnym.

— Dotyczyło to wazonu — powiedział Poirot. — Wazonu z kwiatami.

— Wazonu z kwiatami? — Rowena Drake wyglądała na zdziwioną, ale po chwili twarz jej się rozjaśniła. — Ach tak, już wiem, o co chodzi. Wielki wazon z jesiennymi liśćmi i chryzantemami stał na stole na podeście schodów. Piękny szklany wazon. Jeden z moich prezentów ślubnych. Liście i jeden czy dwa kwiaty wyglądały na zwiędłe. Pamiętam, że zauważyłam to, przechodząc przez hol. Nie jestem pewna, ale było to chyba już pod koniec przyjęcia. Zaciekawilo mnie, co się stało, weszłam na górę i wsadziłam palce do wazonu. Okazało się, że jakiś idiota po ułożeniu kwiatów

zapomniał nalać wody. Diabli mnie wzięli. Zabrałam wazon do łazienki i nalałam wody. Ale co zobaczyłam w łazience? Nikogo tam nie było. Jestem tego całkowicie pewna. Myślę, że parę starszych dziewcząt i chłopców nieszkodliwie obmacywało się tam podczas przyjęcia. Amerykanie nazywają to *necking*. Ale na pewno, kiedy weszłam z wazonem do łazienki, nikogo tam nie było.

— Nie, nie o tym myślę — powiedział Poirot. — O ile wiem, zdarzył się wypadek. Wazon wyśliznął się pani z rąk, spadł na dół do holu i rozbił się na kawałki.

— Ach tak — przyznała Rowena. — Rozbił się w drobny mak. Zmartwiłam się, gdyż, jak powiedziałam, był to jeden z moich prezentów ślubnych. Poza tym był to doskonały wazon, wystarczająco ciężki do utrzymania jesiennego bukietu. Stało się to bardzo głupio. Palce mi się ześliznęły. Wymknął mi się z ręki i rozbił na dole na podłodze. Stała tam Elizabeth Whittaker. Pomogła mi zebrać skorupy i zmieść okruchy z drogi, aby ktoś nie wszedł na nie. Zmiotłyśmy je w róg, koło zegara pradziadka, aby je później uprzątnąć. — Spojrzała badawczo na Poirota. — Czy o rym zdarzeniu pan myśli? — spytała.

— Tak — przyznał Poirot. — Myślę, że pannę Whittaker ciekawiło, dlaczego upuściła pani wazon. Myślała, że może coś panią zaskoczyło.

— Zaskoczyło mnie? — Rowena Drake spojrzała na niego, po czym zmarszczyła brwi, jakby zastanawiając się ponownie. — Nie, nie sędzę, aby coś mnie zaskoczyło. Po prostu czasem się zdarza, że coś wymyka się nam z rąk. Na przykład przy myciu naczyń. Myślę, że to naprawdę rezultat zmęczenia. Przygotowania do przyjęcia i czuwanie nad jego przebiegiem bardzo mnie zmęczyły. Muszę przyznać, że wszystko szło bardzo dobrze. Było to po prostu jedno z tych niezdarnych poczynań, których nie możemy uniknąć, gdy jesteśmy zmęczeni.

— Więc jest pani pewna, że nic pani nie zaskoczyło? Może zobaczyła pani coś nieoczekiwanego?

— Zobaczyła? Gdzie? Na dole w holu? Niczego tam nie widziałam. Hol na dole był pusty, bo wszyscy, oczywiście z wyjątkiem panny Whittaker, łapali płonące rodzyńki. Nie zauważyłam nawet panny Whittaker, dopóki nie podeszła, aby pomóc mi, gdy zbiegłam na dół.

— Być może zobaczyła pani kogoś wychodzącego z drzwi biblioteki?

— Z drzwi biblioteki... Rozumiem, o czym pan myśli. Tak, drzwi biblioteki mogłam widzieć — zamilkła na dłuższą chwilę, po czym rzuciła Poirotowi otwarte i pewne spojrzenie. — Nie, nie widziałam nikogo wychodzącego z biblioteki. Absolutnie nikogo — dodała.

Zaciekawiło go to. Sposób, w jaki to powiedziała, wzbudził w nim przekonanie, że nie mówi prawdy i wprost przeciwnie — widziała kogoś lub coś. Być może drzwi lekko się uchyliły i zdołała zaledwie zerknąć na osobę w środku, ale zaprzeczała twardo. Ciekawe, dlaczego tak się upierała? Może dlatego, że nawet przez chwilę nie mogła uwierzyć, że osoba, którą widziała, mogła mieć cokolwiek wspólnego ze zbrodnią popełnioną za tymi właśnie drzwiami? Był to ktoś, o kogo się troszczyła lub, co bardziej prawdopodobne, pomyślał Poirot, kogo starała się osłonić. Ktoś, kto, być może, niedawno przestał być dzieckiem i jeszcze nie całkiem mógł sobie uświadomić okropność popełnionego czynu.

Pomyślał, że charakter miała trudny, lecz twardy. Sądził, że jak wiele kobiet tego rodzaju, mogłaby zostać ławnikiem, przewodniczyć obradom lub przeprowadzać akcje dobroczynne. Kobiety takie pełne są niejasnej wiary w okoliczności łagodzące i z nieznanых powodów skłonne są usprawiedliwić każdego młodego kryminalistę: niedojrzałego chłopca, opóźnioną w rozwoju dziewczynę lub kogoś, kto pozostawał pod kuratelą sądową. Jeżeli Rowena Drake, pomyślał Poirot, zobaczyła kogoś tego rodzaju, opuszczającego bibliotekę, mógł się w niej obudzić instynkt opiekuńczy. Dzieci popełniające zbrodnię nie są czymś całkowicie niespotykanym w naszych czasach. Nigdy nie wiadomo, co począć z siedmio — i dziewięcioletnimi kryminalistami, stającymi przed sądami dla nieletnich. Znajdowano dla nich usprawiedliwienia: rozbite rodziny, zaniedbujący ich rodzice. Najgoręcej przemawiały za nimi i wyszukiwały argumenty na ich usprawiedliwienie osoby podobne do Roweny Drake — kobiety niewzruszone i krytyczne zawsze i wszędzie, tylko nie w takich sytuacjach.

Poirot nie zgadzał się z nimi. Był człowiekiem, który zawsze najpierw myślał o sprawiedliwości. Litość i przesadne miłosierdzie budziły w nim podejrzliwość. Doświadczenie, zdobyte najpierw w Belgii, a potem w tym kraju, mówiło mu, że wynikiem przesadnej litości są często następne zbrodnie, tragiczne dla niewinnych ofiar, które wcale nie musiały zostać ofiarami, gdyby sprawiedliwość stawiano przed miłosierdziem.

— Rozumiem — rzekł Poirot. — Rozumiem.

— Nie sądzi pan, że panna Whittaker mogła zobaczyć kogoś wchodzącego do biblioteki? — zasugerowała pani Drake.

Poirot okazał zainteresowanie.

— Ach, sądzi pani, że to się mogło zdarzyć?

— Po prostu wydało mi się to możliwe. Mogła kilka minut wcześniej zauważyć kogoś wchodzącego do biblioteki i gdy upuściłam wazon, mogło jej się wydać, że ujrzałam tę samą osobę. Mam nadzieję, że nie przyszła jej ochota na powiedzenie czegoś, co mogłoby wskazywać na osobę, której nie zdążyła się wystarczająco przyjrzeć. Widziała może plecy któregoś dziecka czy kogoś z młodzieży.

— Więc sądzi pani, że było to dziecko, chłopiec albo dziewczynka; powiedzmy może, co najwyżej nastolatek? Nie ma pani na myśli nikogo konkretnego, lecz uważa pani, że zbrodnię, o której mówimy, popełnił najprawdopodobniej ktoś taki?

Rozważała problem, obracając go w myśli na wszystkie strony.

— Sądzę, że tak — powiedziała w końcu. — Jeszcze tego nie przemyślałam. Wydaje mi się, że tego rodzaju zbrodnie w dzisiejszych czasach kojarzą się z młodzieżą. To osoby, które nie zdają sobie sprawy z tego, co robią, pragną głupiej zemsty i są przepełnione instynktem niszczycielskim. Nawet ci, co rozbijają aparaty telefoniczne i dziurawią opony samochodowe, robią to jedynie po to, aby dokuczyć ludziom, jedynie dlatego, że nienawidzą nawet nie kogoś w szczególności, ale całego świata. To znamienne dla tego wieku. Przypuszczani, że zawsze, gdy zetkniemy się z czymś takim jak

to dziecko utopione na przyjęciu bez żadnego powodu, należy założyć, że to dzieło kogoś nie w pełni odpowiedzialnego za swoje czyny. Czy zgadza się pan ze mną, iż jest to najbardziej prawdopodobne rozwiązanie?

— Myślę, że policja podziela pani punkt widzenia, lub... podzielała.

— Tak, powinna brać to pod uwagę. Mamy tu dobrą policję. Dobrze się spisali przy kilku zbrodniach. Są staranni i nie zniechęcają się. Myślę, że rozwiążą sprawę tego morderstwa, choć zapewne nie nastąpi to szybko. Te sprawy, zdaje się, wymagają wiele czasu i długiego, cierpliwego zbierania dowodów.

— Niełatwo będzie zebrać dowody w tej sprawie, *madame*.

— Tak przypuszczam. Kiedy zabito mojego męża... Wie pan, że był kaleką. Kiedy przechodził przez ulicę, najechał na niego samochód. Zginął na miejscu. Nigdy nie znaleziono winnego. Jak pan wie, lub może nie wie, mój mąż był ofiarą polio. Sześć lat temu został częściowo sparaliżowany. Jego stan poprawił się, lecz pozostał kaleką i było mu trudno usunąć się z drogi przed pędzącym samochodem. Niemal zdawało mi się, że byłam temu winna, choć przecież zawsze nastawał, aby wychodzić beze mnie i bez kogokolwiek, gdyż przebywanie pod opieką pielęgniarki lub żony, pełniącej częściowo rolę pielęgniarki, bardzo go irytowało. Zawsze uważał przed przejściem przez jezdnię. Jednak wini się siebie, jeżeli coś się zdarzy.

— Czy zbiegło się to ze śmiercią pani ciotki?

— Niezupełnie. Zmarła niedługo potem. Nieszczęścia chodzą parami. Prawda?

— Ma pani rację — przyznał Herkules Poirot i ciągnął dalej:

— Policja nie potrafiła wyśledzić samochodu, który przejechał pani męża?

— Podobno był to grasshopper mark 7. Co trzeci samochód, który się widzi na ulicy, to grasshopper mark 7. Przynajmniej wtedy tak było. Powiedzieli mi, że to najpopularniejszy samochód na rynku. Został skradziony z parkingu na rynku w Medchester. Należał do pana Waterhouse'a, starszego już kupca, handlującego nasionami. Pan Waterhouse był ostrożnym kierowcą. To na pewno nie on spowodował wypadek. To jedna z tych historii, gdy nieodpowiedzialni młodzi ludzie przywłaszczają sobie samochody. Taka beztroska lub raczej chamstwo młodych ludzi powinny być traktowane o wiele ostrzej, niż to się praktykuje.

— Może wystarczy skazać ich na wiele lat więzienia. Płacenie jedynie grzywny, którą uiszcza pobłażliwa rodzina, nikogo nie odstrasza i niczego nie uczy.

— Należy jednak pamiętać — stwierdziła Rowena Drake

— że są to młodzi ludzie w wieku, w którym najważniejszą sprawą powinna być kontynuacja nauki, bez której nie mają szans na godziwe życie.

— Nauka to święta krowa — powiedział Herkules Poirot.

— Usłyszałem — dodał szybko — z ust ludzi, którzy chyba wiedzą, co mówią. Od ludzi, którzy zajmują wyższe stanowiska akademickie.

— Zapewne brak im tolerancji dla młodych, źle wychowanych, z rozbitych rodzin.

— A więc uważa pani, że oprócz wieloletnich wyroków potrzebują czegoś więcej?

— Odpowiedniego działania profilaktycznego — stwierdziła z naciskiem.

— I to, jak mówi stare porzekadło, uczyni z wilka jagnię? Nie wierzy pani w maksymę, że „każdemu jest przypisany jego los”?

Pani Drake spojrzała ze skrajnym powątpiewaniem i lekkim niesmakiem.

— Mądrość Islamu, jak sądzę — poinformował Poirot. Na pani Drake nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

— Mam nadzieję, mądrości nie musimy czerpać ze Środkowego Wschodu.

— Ale nie możemy przeczyć faktom — stwierdził Poirot — a badania współczesnych biologów, zachodnich biologów — dodał pospiesznie — niezbiecie wskazują, że korzenie postępowania ludzkiego leżą w kodzie genetycznym. Oznacza to, że dwudziestoczteroletni morderca był potencjalnym mordercą już w wieku trzech lub czterech lat. Oczywiście tak samo jest z matematykami i geniuszami muzycznymi.

— Nie rozmawiamy o mordercach — powiedziała pani Drake. — Mój mąż zginął w wypadku. W wypadku spowodowanym przez kogoś nieuważnego lub o niedojrzałej osobowości. Kimkolwiek był ten chłopiec czy młody mężczyzna, istnieje nadzieja, że zrozumie i uwierzy, iż wszyscy musimy mieć wzgląd na innych. Może nauczy się odczuwać wstręt do nieświadomego odbierania innym życia przez zbrodniczą beztroskę, pozbawioną jednak kryminalnych intencji?

— A zatem jest pani zupełnie pewna, że nie było w tym żadnych kryminalnych intencji?

— Powinnam w to wątpić? — Pani Drake wydawała się lekko zaskoczona. — Nie sądzę, aby policja kiedykolwiek poważnie rozważała taką możliwość. Na pewno nie. To był wypadek. Tragiczny wypadek, który odmienił los wielu osób, łącznie z moim.

— Twierdzi pani, że nie dyskutujemy o mordercach — powiedział Poirot. — Ale w sprawie Joyce właśnie o tym mówimy. Tutaj nie było wypadku. Czyjeś ręce rozmyślnie wepchnęły dziecięcą głowę pod wodę i trzymały, aż nastąpiła śmierć. Rozmyślnie i z premedytacją.

— Wiem, wiem. To straszne. Nie lubię o tym myśleć i przypominać sobie o tym.

Wstała i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Poirot napierał bezlitośnie.

— Trzeba będzie jednak na coś się zdecydować. Nadal nie mamy motywu.

— Wydaje mi się, że taka zbrodnia może być pozbawiona motywów.

— Uważa pani, że została popełniona przez kogoś niezrównoważonego psychicznie dla samej radości zabijania? Pozbawienia życia kogoś młodego i niedojrzałego?

— Zdarzały się takie przypadki. Trudno stwierdzić, jakie były rzeczywiste powody. Nawet psychiatrzy nie mogli dojść do porozumienia.

— Nie chce pani przyjąć prostszego wyjaśnienia? Spojrzała zdumiona.

— Prostszego?

— To wcale nie ktoś z zaburzeniami umysłowymi i nie przypadek rodem z sporów psychiatrycznych. Po prostu ktoś, kto chciał czuć — się bezpiecznie.

— Bezpiecznie? Myśli pan, że...

— Tego samego dnia, kilka godzin wcześniej dziewczynka przechwalała się, że widziała, jak popełniono morderstwo.

— Joyce — powiedziała pani Drake ze spokojną pewnością — była małą, bardzo głupiotką dziewczynką. Obawiam się, że nie zawsze godną wiary.

— Wszyscy mi to mówią — przyznał Herkules Poirot. — Wie pani, zaczynam wierzyć, że to, co wszyscy powtarzają, musi być prawdziwe — dodał z westchnieniem. — Zwykle jest prawdziwe. — Wstał i rzekł łagodnym tonem: — Muszę przeprosić, *madame*. Musiałem mówić o rzeczach bolesnych dla pani, które w rzeczywistości nie dotyczyły sprawy. Ale z tego, co powiedziała mi panna Whittaker, wywnioskowałem...

— Dlaczego więc nie próbował pan dowiedzieć się więcej od niej?

— Sądzi pani...

— Jest nauczycielką. O wiele lepiej niż ja zna potencjalne możliwości, tak to pan nazywał, dzieci, które uczy. — Po chwili przerwy dodała: — Także panna Emlyn.

— Kierowniczką szkoły? — Poirot spojrzał zaskoczony.

— Tak. Zna się na rzeczy. Jest urodzonym psychologiem. Mówił pan, że mogę mieć na wpół sformułowaną koncepcję, kto zabił Joyce. Nie mam, ale panna Emlyn może mieć.

— To interesujące...

— Nie twierdzę, że ma dowody. Myślę, że po prostu wie. Mogłaby panu powiedzieć, ale zapewne nie zrobi tego.

— Widzę — powiedział Poirot — że czeka mnie jeszcze druga droga. Ludzie coś wiedzą, ale nie

chęć mi tego powiedzieć. Patrzył w zamyśleniu na Rowenę Drake. — Pani ciotka, pani Llewellyn-Smythe, miała dziewczynę *au pair*, cudzoziemkę, która się nią opiekowała.

— Jak widzę, poznał pan wszystkie lokalne plotki — oschle zauważyła Rowena. — Tak, to prawda. Wyjechała stąd nagle po śmierci ciotki.

— Wydaje się, że miała po temu istotne powody.

— Nie wiem, czy będzie to oszczerstwem, czy potwarzą, jeżeli powiem, że bez wątpienia sfałszowała kodycył do testamentu mojej ciotki oraz że ktoś jej w tym pomógł.

— Ktoś?

— Była zaprzyjaźniona z młodym człowiekiem, zatrudnionym w biurze radcy prawnego w Medchester. Sprawa nie dotarła do sądu, gdyż dziewczyna zniknęła. Uświadomiła sobie, że testament nie zostanie urzędowo zatwierdzony i sprawa trafi do sądu. Opuściła tę okolicę i nigdy więcej jej tu nie widziano.

— Jak słyszałem, ona również pochodziła z rozbitej rodziny — wtrącił Poirot.

Rowena Drake spojrzała na niego ostro, lecz on uśmiechnął się przyjacielsko.

— Dziękuję, *madame*, za wszystko, co mi pani powiedziała — zakończył.

Po opuszczeniu domu Poirot wybrał się na krótki spacer wzdłuż przecznicy odchodzącej od głównej drogi. Oznaczono ją tabliczką: „Droga na Cmentarz Helpsly”. Cmentarz nie był odległy. Najwyżej dziesięć minut spacerem. Niewątpliwie powstał w ostatnich dziesięciu latach, aby odpowiadać rosnącemu znaczeniu Woodleigh. Niewielki kościół, pochodzący sprzed dwóch lub trzech wieków, miał wokół siebie niewiele miejsca na pochówki, wszystkie zreszta już zajęte. Powstał więc nowy cmentarz, połączony ze starym ścieżką, biegnącą między polami. To praktyczny, nowoczesny cmentarz, pomyślał Poirot, ze stosownymi sentymentalnymi napisami na marmurowych lub granitowych płytach. Były tam urny, jedynie z grubsza ociosane kamienie i niewielkie kępy krzewów i kwiatów. Żadnych interesujących starych epitafiów i inskrypcji. Nic dla miłośników minionych czasów. Czysto, przyjemnie, schludnie i ze stosownym wyrażeniem sentymentów.

Zatrzymał się, aby odczytać tablicę nagrobną na jednej ze współczesnych mogił, pochodzących sprzed dwóch, trzech lat. Prosty napis głosił:

Pamięci Hugona Edmunda Drake'a, ukochanego męża Roweny Arabelli Drake, który opuścił ten świat 20 marca 19 — Zasnął w pokoju

Po zetknięciu z dynamiczną Roweną Drake Poirotowi przyszło na myśl, że zmarły pan Drake z ochotą powitał wieczny sen.

Na alabastrowej urnie widniały resztki kwiatów. Starszy ogrodnik, zatrudniony do opieki nad grobami ważniejszych obywateli, odłożywszy miotłę i motykę, podszedł do Poirota z wyraźną chęcią nawiązania rozmowy.

— Pan chyba obcy w tych stronach? — zagadnął.

— To szczerą prawdą — potwierdził Poirot. — Jestem dla was równie obcy, jak niegdyś byli moi ojcowie.

— Ach tak. Mamy tu gdzieś to zdanie albo coś bardzo podobnego. Jest tam, w drugim rogu. To był miły jegomość, ten Drake. Wie pan, kaleka. Miał to, co nazywają dziecięcym paraliżem, chociaż często cierpią na to dorośli. Mężczyźni i kobiety. Moja żona miała ciotkę, która złapała to w Hiszpanii. Pojechała na wycieczkę i kąpała się gdzieś w rzece. Potem powiedzieli, że to była wodna infekcja, ale chyba niewiele wiedzieli. Ja myślę, że doktorzy się nie znają. A jednak teraz jest zupełnie inaczej. Wszystkie te szczepionki, które dają dzieciom. Nie chorują już tak, jak kiedyś. Tak, był z niego przyjemny pan i nigdy nie narzekał, chociaż myślę, że ciężko mu było być kaleką. Kiedyś był z niego nie najgorszy sportowiec. Umiał nieźle przywalić rakieta, kiedy grał w naszej wiejskiej drużynie. Potrafił sześciu przyprzeć do ściany. Tak, był z niego przyjemny człowiek.

— Zdaje się, że zginął w wypadku?

— Tak. Przechodził przez drogę, kiedy zmierzchało. Nadjechał jakiś samochód z parą młodych zbirów, którym brody zarastają aż do uszu. Tak mówili. Nie zatrzymali się. Pojechali dalej. Nikt ich więcej nie widział. Porzucili samochód gdzieś na parkingu, dwadzieścia mil stąd. Nie był ich. Zgarnęli go gdzieś z parkingu. To straszne, tyle tych wypadków teraz. A policja często nie może nic zrobić. Żonę miał bardzo oddaną. Naprawdę ciężko to przeszła. Przychodzi tutaj co tydzień. Przynosi kwiaty. Tak, była z nich dobrana para. Jeżeli to pana ciekawi, ona nie zostanie tutaj długo.

— Naprawdę? Ma tutaj taki piękny dom.

— O tak. I wie pan, dużo robi dla wsi. Różne rzeczy: organizacje kobiece i herbatki, jakieś stowarzyszenia i wiele innych rzeczy. Kieruje wieloma sprawami. Niektórzy uważają, że za dużo tych spraw. Rządzi się, wie pan. Rządzi się i wtrąca, jak ludzie mówią. Ale proboszcz jej wierzy. Ona dużo rzeczy sama zaczyna. Różne organizacje kobiece i całą resztę. Podróże i wycieczki. Myślę sobie często, chociaż nie chciałbym tego mówić mojej żonie, że kobiety nie dają się polubić za wiele pożytecznych rzeczy, które robią. One zawsze wiedzą najlepiej. Zawsze mówią, co należy i co nie należy. Żadnej wolności. Nigdzie nie ma teraz wiele wolności.

— A więc sądzi pan, że pani Drake wyjedzie stąd?

— Nie zdziwię się, jak wyjedzie za granicę. Ona lubi jeździć za granicę. Zwykle jeździli tam na wakacje.

— Jak pan uważa, dlaczego chce się stąd wynieść?

Na twarzy starego człowieka pojawił się nagle hultajski uśmiech.

— Wie pan, powiedziałbym, że tutaj zrobiła wszystko, co mogła zrobić. Mówiąc językiem Biblii, potrzebna jej nowa winnica do uprawy. Potrzeba jej więcej zbożnych prac. A tu dookoła nie trzeba już zbożnych prac. Zrobiła już wszystko, co należało, lub, jak niektórzy myślą, więcej niż należało.

Tak.

— Potrzebne jej nowe pole do działania — zasugerował Poirot.

— Trafił pan. Lepiej jej osiedlić się gdzie indziej, gdzie będzie mogła udoskonalić nowe rzeczy i gnębić nowych ludzi. Robi z nami, co chce, i nie ma tu już dla niej wiele do roboty.

— Być może — powiedział Poirot.

— Nie ma nawet męża, żeby się nim opiekować. A opiekowała się nim dobrych parę lat. Był to dla niej, jak mówią, sens życia. Zajmując się nim i wieloma innymi sprawami, mogła być cały czas zajęta. Należy do tych, którzy lubią być zajęci bez przerwy. Szkoda, że nie ma dzieci. Moim zdaniem zacznij wszystko od nowa gdzie indziej.

— Zapewne coś w tym jest. Dokąd mogłaby wyjechać?

— Tego to nie wiem. Może gdzieś na Riwierze. Jeżdżą też do Hiszpanii i Portugalii. A może do Grecji. Słyszałem, jak mówiła o wyspach greckich. Pani Butler była w Grecji na wycieczce. Hellada, jak oni to nazywają. Dla mnie brzmi to jak męki piekielne*. Poirot uśmiechnął się.

— Wyspy greckie — mruknął. Wtem spytał: — Czy pan ją lubi?

— Panią Drake? Właściwie nie mogę powiedzieć, że ją lubię. Niby dobra z niej kobieta i uczynna, ale zawsze potrzebuje pomocy sąsiadów i jeżeli pan spyta, powiem, że z tych, co dla niej pracują, nikt jej nie lubi. Mówi mi, jak mam ścinać róże, chociaż sam umiem to wystarczająco dobrze. Zawsze ma dla mnie do sadzenia jakieś nowomodne warzywa. Dla mnie wystarczy kapusta.

Poirot, uśmiechnąwszy się, powiedział:

— Muszę już iść. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mieszkają Nicholas Ransom i Desmond Holland?

— Za kościołem, trzeci dom po lewej. Wynajmują u pani Brand i jeżdżą codziennie do technikum w Medchester. Teraz będą w domu. — Spojrzał na Poirota z zainteresowaniem. — Więc o tym pan myśli? Niektórzy myślą tak samo.

— Nie, jeszcze nic nie myślę, ale byli na przyjęciu. To wszystko.

Odchodząc zamyślił się: byli na przyjęciu. Dotarłem niemal do końca listy.

Rozdział piętnasty

Dwie pary oczu spoglądały na Poirota z niepokojem.

— Nie wiem, co jeszcze możemy panu powiedzieć. Obu nas przesłuchiwała policja, panie Poirot.

Poirot spoglądał to na jednego, to na drugiego chłopca. Sami siebie nie nazwaliby chłopcami — z rozmysłem zachowywali się jak dorośli. Zamknawszy oczy, można było mieć wrażenie, że rozmowa toczy się między podstarzałymi bywalcami jakiegoś klubu. Nicholas miał lat osiemnaście, a Desmond szesnaście.

— Spełniam życzenie przyjaciółki i zbieram informacje wśród gości obecnych na tamtym spotkaniu. Nie na przyjęciu w wieczór Hallowe'en, ale w czasie przygotowań do niego. Obaj braliście w rym udział.

— Tak.

— Na razie — mówił Poirot — przepytawałem sprzątaczkę, skorzystałem z wiadomości zebranych przez policję i rozmawiałem z doktorem, który pierwszy badał ciało. Rozmawiałem również z nauczycielką obecną na przyjęciu, z kierowniczką szkoły i ze zrozpaczonymi krewnymi. Zebrałem również wiele wiejskich plotek. Przy okazji, o ile wiem, macie tutaj lokalną czarownicę?

Jego młodzi rozmówcy parsknęli śmiechem. — Myśli pan o matce Goodbody. Tak, na przyjęciu grała rolę czarownicy.

— Zwracam się do was jako młodszej generacji. Macie bystre oko, dobry słuch i znacie współczesną naukę i filozofię. Pragnąłbym, bardzo bym pragnął poznać wasz punkt widzenia na to, co się stało.

Osiemnaście i szesnaście, myślał w duchu, spoglądając na chłopców przed sobą. Niepełnoletni dla policji, chłopcy dla niego i młodzieńcy dla dziennikarzy. Nazwijmy ich, jak nam się podoba. Produkty współczesności. Oceniał, że żaden z nich nie jest całkiem głupi, nawet jeżeli nie osiągnęli przesadnie wysokiego poziomu umysłowego, który, chcąc im pochlebić, zasugerował na początku rozmowy. Byli na przyjęciu i wcześniej w ciągu dnia pomagali pani Drake.

Wspinali się po drabinach, mocowali żółte dynie w najbardziej eksponowanych miejscach, mocowali kolorowe lampki elektryczne; jeden z nich w sprytny sposób demonstrował kilkunastoletnim dziewczętom plik fałszywych fotografii, mających jakoby przedstawiać ich przyszłych mężów. Przypadkowo byli również w wieku, który — według opinii inspektora Raglana i starego ogrodnika — stawiał ich w rzędzie najbardziej podejrzanych. Procent morderstw popełnianych przez tę grupę wiekową wzrósł w ostatnich latach. Poirot nie skłaniał się ku tym podejrzeniom, ale wszystko było możliwe. Mogło się nawet okazać, że zabójstwo popełnione dwa lub trzy lata temu zostało dokonane przez chłopca, młodzieńca czy wyrostka w wieku dwunastu lub

czternastu lat. Takie wypadki opisywano ostatnio w gazetach. Zachowując w pamięci wszystkie te spostrzeżenia, odsunął je na razie na bok i skupił się na własnej ocenie obu chłopców, ich wyglądu, ubrań, manier, głosów, swoim zwyczajem kryjąc się za parawanem pochlebstw i przesadnego cudzoziemskiego zmanierowania, co tamci ochoczo potraktowali z pobłażaniem, doskonale ukrytym pod maską uprzejmości i dobrego wychowania, które cechowało ich obu. Starszy, osiemnastoletni Nicholas był przystojny, nosił bokobrody i długie, opadające na szyję włosy oraz żałobny, czarny strój. Nie był to wyraz żalu, spowodowanego niedawną tragedią, lecz wynik jego zamiłowania do tego rodzaju nowoczesnych ubiorów. Młodszy miał na sobie różową welwetową marynarkę, bladofioletowe spodnie i coś w rodzaju przesadnie ozdobnej koszuli. Było oczywiste, że obaj wydali znaczną sumę na te ubrania, których na pewno nie kupili w okolicy i za które zapłacili sami, bez pomocy rodziców lub opiekunów.

Obfita, puszysta czupryna Desmonda była pofarbowana na kolor rdzawożółty.

— Jak rozumiem, byliście tam rano czy po południu, przed przyjęciem, pomagając w przygotowaniach?

— Wczesnym popołudniem — poprawił Nicholas.

— W jakiego rodzaju przygotowaniach pomagaliście? Opowiadało mi o tym już kilka osób, ale nie wszystko pojąłem. Nie wszystko się zgadzało.

— Przede wszystkim było sporo roboty z oświetleniem.

— Właziliśmy na drabinę, żeby przyczepić różne rzeczy, które trzeba było umieścić wysoko.

— O ile wiem, możecie się pochwalić kolekcją wspaniałych fotografii.

Desmond natychmiast włożył rękę do kieszeni i wyjął kopertę, z której z dumą wyciągnął kilka fotografii.

— Nafałszowaliśmy tego na zapas — powiedział. — Mężowie dla dziewczyn — wyjaśnił. — Wszystkie ptaszki podobne do siebie. Każda chciała coś najnowocześniejszego. Niezła kolekcja, prawda?

Podał Poirotowi kilka okazów, które ten oglądał z zainteresowaniem, przyglądając się niewyraźnym podobiznom młodych ludzi. Jeden z nich miał rdzawożółtą brodę, drugi szopę bujnych włosów, a trzeciemu włosy opadały za ramiona. Gdzieś tam pojawiały się różnorodne wąsy i inne upiększenia twarzy.

— Każdy inny. Niezłe, prawda?

— Mieliście modele?

— Robiłem to z Nicholasem. Trochę on mnie fotografował, a trochę ja jego. Zmienialiśmy tylko, jak to się mówi, motyw włosów.

— Bardzo sprytnie.

— Wie pan, ustawialiśmy trochę nieostro, tak aby można było powiedzieć, że wyglądają bardziej na zjawy.

Drugi z chłopców dodał:

— Pani Drake była bardzo zadowolona. Pogratulowała nam. Uśmieła się też. W domu zajmowaliśmy się elektryką. Wie pan, ustawiliśmy lampy tak, że gdy dziewczyny siadały z lusterkami, jeden z nas mógł zająć odpowiednią pozycję. Wtedy trzeba było tylko wysunąć głowę zza zasłony i dziewczyny widziały twarz w lusterku; rzecz jasna z odpowiednimi dodatkami: brodą, wąsami czy czymś innym.

— Czy wiedziały, że to któryś z was?

— Och, nie przypuszczam. Wiedziały, że pomagamy w domu przy różnych rzeczach, ale nie sądzę, aby nas rozpoznały w lusterkach. Powiedziałbym, że nie były na tyle sprytnie. Poza tym charakteryzowaliśmy się przecież. Najpierw ja, a potem Nicholas. Dziewczyny piszczały i wrzeszczały. Było diabelnie wesoło.

— A ludzie obecni tamtego popołudnia? Nie pytam o tych na przyjęciu.

— Na przyjęciu, myślę, było około trzydziestu osób. Po południu była oczywiście pani Drake, pani Butler, jedna z nauczycielek — chyba nazywa się Whittaker. Pani Flatterbut czy jakieś podobne nazwisko; jest siostrą albo żoną organisty. Panna Lee, aptekarka doktora Fergusona. Miała wolne popołudnie i też przyszła pomagać. Było również trochę dzieciaków, które pomagały, jak mogły. Myślę, że nie były szczególnie pomocne. Dziewczyny tylko kręciły się wokół i chichotały.

— Ach tak. Czy pamiętasz, które dziewczęta były obecne?

— Byli Reynoldsowie. Oczywiście biedna Joyce, o którą tu chodzi, i jej siostra Anna. Okropna dziewczyna. Myśli, że jest strasznie mądra. Jest pewna, że przejdzie przez szkołę z najlepszymi ocenami. Był jeszcze ten mały, straszny dzieciak, Leopold — powiedział Desmond. — To kapuś. Podśłuchuje i rozpowiada wszystkim. Były też Beatrice Andley i nieco tępawa Cathie Grant oraz oczywiście kilka krzątających się kobiet, sprzątających, chciałem powiedzieć. I pisarka, ta, która pana tu sprowadziła.

— Byli jacyś mężczyźni?

— Zajrzał proboszcz, jeżeli bierze go pan pod uwagę. Przyjemny starszy facet, trochę nierozgarnięty. I nowy wikary. Jąka się, kiedy się zdenerwuje. Nie siedział długo. To wszyscy, których pamiętam.

— I wówczas, jak wiem, słyszeliście Joyce Reynolds mówiącą, że widziała, jak popełniono morderstwo.

— Nigdy tego nie słyszałem — stwierdził Desmond. — Mówiła tak?

— Tak wszyscy twierdzą — powiedział Nicholas. — Ja tego nie słyszałem. Myślę, że nie było mnie wtedy w pokoju. Gdzie, to znaczy, kiedy ona to powiedziała?

— W salonie.

— Większość ludzi tam siedziała, jeżeli tylko nie robili czegoś innego. Ja i Nicholas siedzieliśmy głównie w pokoju, gdzie dziewczyny miały oglądać w lusterkach swoich ukochanych. Albo byliśmy na schodach, mocując kolorowe lampki. Do salonu weszliśmy raz lub dwa, przynosząc dynie i wieszając wydrażone, w środku których umieszcza się świece. Ale kiedy tam byliśmy, niczego takiego nie słyszałem. A ty?

— Ja również — potwierdził Nicholas. Dodał z pewnym zainteresowaniem: — Czy Joyce rzeczywiście mówiła, że widziała, jak popełniono morderstwo? Jeżeli tak, to bardzo ciekawe.

— Co w tym ciekawego? — spytał Desmond.

— Czy nie jest to postrzeżenie pozazmysłowe? Myślę, że to właśnie to. Zobaczyła morderstwo i w ciągu godziny lub dwóch sama została zamordowana. Sądzę, że miała rodzaj wizji. Pomyślcie trochę. Wiecie, z ostatnich eksperymentów zdaje się wynikać, że można sobie w tym pomóc, przyczepiając elektrodę lub coś podobnego do żyły szyjnej. Gdzieś o tym czytałem.

— Nigdy nie zaszli zbyt daleko z tym poznaniem pozazmysłowym — powiedział Desmond z pogardą. — Ludzie siadają w oddzielnych pokojach i patrzą na kartki z paroma słowami, kwadratami i innymi figurami geometrycznymi. Ale nigdy lub prawie nigdy nie widzą tego, co powinni zobaczyć.

— Trzeba być do tego bardzo młodym. Młodzież jest w tym lepsza niż dorośli.

Herkules Poirot przerwał, nie mając ochoty przysłuchiwać się tej wysoce naukowej debacie.

— Czy podczas waszej obecności tam w domu nie przydarzyło się nic złowieszczonego lub mogącego mieć jakieś znaczenie? Coś, co przyciągnęło waszą uwagę, choć nikt inny by tego nie zauważył?

Nicholas i Desmond zmarszczyli brwi, łamiąc sobie głowy nad przypomnieniem jakiegoś istotnego zdarzenia.

— Nie, była po prostu masa gadania, szykowania i urządzania.

— Czy masz jaką własną teorię? — powiedział Poirot, zwracając się do Nicholasa.

— Jaką teorię? O tym, kto zabił Joyce?

— Tak. Może zauważyłeś coś, co wzbudziło twoje podejrzenia, a może po prostu coś wymyśliłeś?

— Rozumiem, co pan ma na myśli. Może rzeczywiście coś w tym jest.

— Według mnie to pani Whittaker — powiedział Desmond, przerywając zamyślenie Nicholasa.

— Nauczycielka? — spytał Poirot.

— Tak. Wie pan, prawdziwa stara panna. Wyglądiała seksualnie. Całe to uczenie i zamknięcie się tylko między kobietami. Pamięta pan, rok lub dwa lata temu uduszono jedną z nauczycielek. Miała odchylenia, jak mówią.

— Lesbijka? — spytał Nicholas głosem człowieka światowego.

— Nie przypuszczam. Czy pamiętasz Norę Ambrose, dziewczynę, z którą mieszkała? Nieźle wyglądała. Jak mówili, miała chłopaka czy nawet dwóch, co dziewczynę, z którą mieszkała, doprowadzało do szału. Ktoś mówił, że była niezamężną matką. Była na chorobowym przez jakieś dwa semestry, a potem wróciła. Powiedzieliby coś na ten temat w tym gnieździe plotek.

— Tak czy inaczej, przez większość poranka pani Whittaker była w salonie. Pewnie usłyszała to, co powiedziała Joyce. Mogło zapaść jej w pamięć. Prawda?

— Niech pan weźmie pod uwagę wiek pani Whittaker — zauważył Nicholas. — Jak pan sędzi, ile ma lat? Powyżej czterdziestki? Zbliża się do pięćdziesiątki. Kobiety dziwaczejają w tym wieku.

Obaj spoglądali na Poirota wzrokiem psa zadowolonego z przyniesienia panu tego, o co prosił.

— Jeżeli tak jest, założę się, że panna Emlyn wie wszystko. Mało rzeczy w szkole może umknąć jej uwadze.

— Ale czy powiedziałyby o tym?

— Zapewne sędzi, że powinna być lojalna i osłaniać ją.

— Och, nie sędzę, aby tak zrobiła. Jeżeli uważa, że pani Whittaker coś się miesza w głowie, wie, że to się odbije na uczniach.

— A co powiecie o wikarym? — spytał Desmond z nadzieją. — Może być trochę nienormalny. Wicie, grzech pierwородny i wszystko z tym związane: woda, jabłko. Słuchajcie, mam niezły pomysł. Założmy, że jest stuknięty. Jest tu od niedawna. Nikt tu o nim za dużo nie wie. Powiedzmy, że płonące rodzyńki go pobudziły. Ogień piekielny! Wszystkie te wznoszące się płomienie! Wtedy wziął Joyce i powiedział: „Pójdź ze mną. Coś ci pokażę”. Zabrał ją do pokoju z jabłkami i ciągnął: „Uklęknij. To jest chrzest”. I wepchnął jej głowę do wody. Patrzcie. Wszystko by pasowało. Adam i Ewa, jabłko, ogień piekielny i ponowny chrzest dla oczyszczenia z grzechu.

— Pewnie przedtem się przed nią obnażył — dodał z nadzieją Nicholas. — Myślę, że seks jest podłożem wszystkich rzeczy tego rodzaju.

Na obu zwróconych w stronę Poirota twarzach rysowała się wyraźna satysfakcja.

— Świetnie — powiedział Poirot — na pewno daliście mi wiele do myślenia.

Rozdział szesnasty

Herkules Poirot z zainteresowaniem przyglądał się twarzy pani Goodbody. Była rzeczywiście wspaniałym wizerunkiem wiedźmy. Fakt, że bez wątpienia łączyło się to ze skrajnie przyjaznym usposobieniem, nie rozpraszało owego wrażenia. Mówiła z zamiłowaniem i przyjemnością:

— Tak, słusznie, byłam tam. Zawsze gram czarownicę w okolicy. W zeszłym roku proboszcz mi gratulował i powiedział, że robię świetne przedstawienie, i podarował mi nowy spiczasty kapelusz. Kapelusz wiedźmy zużywa się bardziej niż cokolwiek innego. Tak, byłam tam tamtego dnia. Wie pan, układam wierszyki. Wierszyki dla dziewcząt z ich imionami. Oddzielnie dla Beatrice, oddzielnie dla Anny i dla całej reszty. Daję je tym, którzy udają głos ducha. Recytują je dziewczętom oglądającym ich w lusterku i chłopcy, pan Nicholas i młody Desmond, rzucają w dół fałszywe fotografie. Zaśmiewałam się na śmierć, oglądając niektóre z nich. Wystarczyło tylko popatrzeć na tych chłopców przyklejających sobie gdzie popadło włosy na twarzach i fotografujących się nawzajem. A jak się postroili! Widziałam któregoś dnia pana Desmonda. Nie uwierzyłby pan, co miał na sobie. Różową marynarkę i krótkie brunatne spodnie. Wierzą w dziewczęcą próżność, ot co. Wszystkie dziewczyny myślą o tym, aby podciągnąć sukienki jak najwyżej, a to wcale nie jest dla nich dobre, bo muszą wkładać więcej pod spód. Myślę o tych pończochach i rajstopach, które kiedyś, w moich czasach, nosiły tylko chórzystki i nikt więcej. Teraz wydają na to wszystkie pieniądze. Ale chłopcy, dają słowo, wyglądają jak zimorodki albo pawie czy rajskie ptaki. Lubię nieco koloru i zawsze myślałam, że musiało być wesoło w tych historycznych czasach, które oglądamy na ilustracjach. Wie pan, każdy z koronkami, z lokami, w kapeluszu z szerokim rondem. Dziewczyny miały naprawdę na co popatrzeć. A obcisły kubrak, a pończochy. Tak, jak mi się wydaje, wszystkie dziewczyny myślały tylko o tym, by założyć w tych historycznych czasach wzdęte jak balon spódnice, które potem nazwano krynolinami, i wielkie kołnierze koronkowe wokół szyi! Moja babka, która była na służbie w dobrym wiktoriańskim domu, zwykła mówić mi, że jej panienki — myślę, że to było w czasach jeszcze przed królową Wiktorią, kiedy na tronie zasiadał król, który miał głowę jak gruszka, Głupi Billy, zdaje się William Czwarty — a więc jej panienki, to znaczy panienki mojej babki, nosiły długie muślinowe suknie aż do kostek, bardzo przyzwoite, ale zwykły moczyć je wodą, by przywierały do ciała. Rozumie pan, przywierały do ciała tak, że pokazywały wszystko, co było do pokazania. Wyglądały bardzo skromnie, ale drażniły panów jak należy. Pożyczyłam pani Drake na przyjęcie moją kulę czarnoksiężką. Kupiłam ją gdzieś na wyprzedazy. Widzi pan, wisi tam koło komina. Piękna, ciemnoniebieska. Trzymam ją nad drzwiami.

— Czy wróży pani?

— Nie mogę powiedzieć, że tak. Przecież mi nie wolno — zachichotała. — Policja tego nie lubi. Niezależnie od tego, jaką przyszłość wywróżę. To nie takie trudne w miejscu takim jak to, gdzie wiadomo, co kto zamierza.

— Czy mogłaby pani zajrzeć w swój ą kulę czarnoksiężką i powiedzieć, kto zabił Joyce?

— Pomieszał pan dwie sprawy — odpowiedziała pani Goodbody. — Aby zobaczyć różne rzeczy,

patrzy się w kulę kryształową, a nie czarnoksiężką. Nie spodobałoby się panu, gdybym powiedziała, kto to zrobił według mnie. Mógłby pan powiedzieć, że to przeciwne naturze. Ale wiele rzeczy dzieje się przeciw naturze.

— Zapewne ma pani trochę racji.

— W sumie dobrze tu żyć. Mam na myśli to, że ludzie są tu przyzwoici, a przynajmniej większość, ale diabeł wszędzie miesza. Po to się urodził i tak go wychowano.

— Myśli pani o czarnej magii?

— Nie, nie o tym myślałam — pani Goodbody mruknęła ze wzgardą. — To nonsens. To dla ludzi, którzy lubią się przebierać i wyprawiać błazeństwa. Seks i tak dalej. Nie, mam na myśli tych, których dotknęła ręka szatana. Tacy się urodzili. Synowie Lucyfera. Zabójstwo nic dla nich nie znaczy, jeżeli tylko mają z niego korzyść. Jeżeli chcą czegoś, to chcą naprawdę i są bez litości w dążeniu do celu. Mogą wyglądać pięknie jak anioły. Znałam raz małą dziewczynkę. Miała siedem lat. Zabiła małego braciszka i siostrzyczkę. Bliźnięta. Miały nie więcej niż pięć czy sześć miesięcy. Uduśliła je w wózkach.

— Czy zdarzyło się to tutaj, w Woodleigh Common? — Nie, to nie było w Woodleigh Common. O ile pamiętam, zetknęłam się z tym gdzieś daleko w Yorkshire. Okropne zdarzenie. Była też pięknym, małym stworzeniem. Mógłby pan przypiąć jej parę skrzydełek, pozwolić wejść na scenę i śpiewać kolędy. Pasowałaby do tej roli. Ale naprawdę była w środku przegniła. Wie pan, o czym myślę. Nie jest pan młodym człowiekiem. Wie pan, ile jest niegodziwości na świecie.

— Niestety! — rzekł Poirot. — Ma pani rację. Wiem aż za dobrze. Jeżeli Joyce rzeczywiście widziała, jak popełniono morderstwo...

— Kto mówił, że widziała? — spytała pani Goodbody.

— Ona sama.

— Nie ma powodu, aby jej wierzyć. Była zawsze małą kłamczuchą. — Spojrzała na niego ostro. — Być może pan w to nie wierzy?

— Ależ wierzę — odparł Poirot. — Zbyt wielu ludzi mówiło mi o tym, abym mógł dalej nie wierzyć.

— Różne rzeczy przytrafiają się w rodzinach — powiedziała pani Goodbody. — Weźmy, na przykład, takich Reynoldsów. Pan Reynolds zajmuje się nieruchomościami. Nigdy niczego sobie nie przywłaszczył i nigdy tego nie robi. Można powiedzieć, że nie zaszedł daleko. A pani Reynolds zawsze jest czymś zdenerwowana, zawsze czymś zaprzątnięta. Żadne z ich dzieci nie jest do nich podobne. Anna jest zdolna i dobrze się uczy. Bez wątplenia pójdzie do dobrego liceum i może zostanie nauczycielką. Proszę zwrócić uwagę, jaka jest zadufana w sobie. Jest tak z siebie zadowolona, że nikt nie może do niej przylgnąć. Żaden chłopak nie spojrzy na nią dwa razy. Następna była Joyce. Nie była tak bystra jak Anna ani jej młodszy brat Leopold, ale chciała im dorównać.

Chciała wszystko wiedzieć i robić lepiej od innych i była gotowa mówić wszystko, aby tylko ludzie usiedli i jej słuchali. Ale niech pan nie wierzy, że choć jedno słowo z tego, co mówiła, było prawdziwe. Tak było w dziewięciu wypadkach na dziesięć.

— A chłopiec?

— Leopold? On ma jakieś dziewięć czy dziesięć lat, ale jest bystry. Ma zręczne palce i inne zdolności. Chce studiować coś takiego jak fizyka. Z matematyki też jest dobry. W szkole byli tym zdumieni. Tak, ma dzieciak zdolności. Przypuszczam, że zostanie uczonym. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to myślę, że gdy zostanie naukowcem, będzie robił i wymyślał takie straszne rzeczy jak bomby atomowe! Jest jednym z tych, co studiują i są wystarczająco zdolni, aby wymyślić coś, co zniszczy pół kuli ziemskiej razem z nami, biedakami. Niech pan będzie ostrożny z Leopoldem. Stosuje sztuczki wobec ludzi i podsłuchuje. Poznaje ich wszystkie sekrety. Chciałabym wiedzieć, gdzie zdobywa kieszonkowe. Nie dostaje go od matki ani ojca. Nie mogą dać mu wiele. A on ma zawsze masę pieniędzy. Trzyma je w szufladzie pod skarpetkami. Kupuje różności. Sporo drogich gadżetów. Skąd ma na to pieniądze? Chciałabym wiedzieć. Poznaje sekrety ludzi i zmusza ich do płacenia za trzymanie języka za zębami. — Przerwała, aby zaczerpnąć oddechu. — Jednak obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

— Bardzo mi pani pomogła — stwierdził Poirot. — Co stało się z cudzoziemską dziewczyną, która, jak mówią, musiała uciekać?

— Według mnie nie odeszła daleko. „Raz, dwa, trzy, kot w studni.” W każdym razie tak mi się wydaje.

Rozdział siedemnasty

— Proszę wybaczyć, *madame*, czy mogłabym prosić o minutę rozmowy?

Pani Oliver stała na werandzie domu przyjaciółki i czekała na Herkulesa Poirota, który umówił się z nią telefonicznie. Teraz obejrzała się.

Stała przed nią schludnie ubrana kobieta w średnim wieku. Nerwowo zacierała ręce w bawełnianych rękawiczkach.

— Tak? — powiedziała pani Oliver, pytająco zawieszając głos.

— Bardzo mi przykro, że panią niepokój ę, ale myślałam, tak myślałam...

Pani Oliver słuchała, nie mając zamiaru jej zachęcać. Ciekawiło ją, co tak bardzo niepokoi kobietę.

— Prawda, że to pani jest tą panią, która pisze opowiadania? Historie o zbrodniach i morderstwach, i innych rzeczach tego rodzaju.

— Tak — odpowiedziała pani Oliver. — To ja.

Jej ciekawość wzmogła się. Czy był to wstęp do prośby o autograf, czy o fotografię z dedykacją? Nigdy nie wiadomo. Zdarzają się rzeczy najbardziej nieprawdopodobne.

— Pomyślałam, że jest pani osobą, z którą powinnam porozmawiać — rzekła kobieta.

— Może pani usiadzie — powiedziała pani Oliver. Przewidziała, że nieznajoma pani — nosiła obrączkę, a więc nie była panną — należała do tych osób, które niełatwo docierają do sedna sprawy. Kobieta usiadła i nadal, nie zdejmując rękawiczek, zacierała ręce.

— Coś panią niepokoi? — spytała pani Oliver, starając się w miarę możliwości pomóc nieznajomej.

— Tak, to prawda, szukam rady. Chodzi o coś, co zdarzyło się już jakiś czas temu i wówczas mnie nie zaniepokoiło. Ale wie pani, jak to jest. Przemyśli pani coś i chce pani pójść do kogoś, żeby się poradzić.

— Rozumiem — powiedziała pani Oliver, mając nadzieję, że spokojny ton wzbudzi zaufanie rozmówczyni.

— Prawda, że patrząc na rzeczy, które zdarzyły się ostatnio, nic pani nie rozumie?

— Myśli pani o...?

— Myślę o tym, co zdarzyło się na przyjęciu w wieczór Hallowe'en, czy jak to się tam nazywa. To chyba pokazuje pani, że są tu ludzie nieodpowiedzialni. Prawda? Pokazuje to również, że rzeczy wyglądają inaczej, niż się na początku wydawało. Mam na myśli to, że nie mogły być takie, za jakie je pani uważała, jeżeli mnie pani rozumie.

— Tak? — powtórzyła pani Oliver, dodając do monosylaby jeszcze większy znak zapytania. — Nie znam chyba pani nazwiska — dodała.

— Leaman. Sprzątam miejscowym paniom. Od czasu śmierci mojego męża, to znaczy od pięciu lat. Zwykle pracowałam dla pani Llewellyn-Smythe, która mieszkała w Quarry House przed nastaniem pułkownika i pani Weston. Nie wiem, czy ją pani kiedykolwiek poznała?

— Nie — odpowiedziała pani Oliver — nigdy jej nie znałam. To mój pierwszy przyjazd do Woodleigh Common.

— Rozumiem. A zatem nie może pani dużo wiedzieć o tym, co się tu wówczas wydarzyło i co o tym mówiono.

— Coś niecoś o tym słyszałam od czasu swojego przyjazdu — powiedziała pani Oliver.

— Widzi pani, nie znam się zupełnie na prawie i zawsze niepokoi mnie, gdy coś ociera się o prawo. Myślę o prawnikach. Mogliby wszystko zagmatwać, a nie chciałabym chodzić na policję. Jak coś dotyczy policji, to nie może być legalne, prawda?

— Raczej nie — odparła ostrożnie pani Oliver.

— Wie pani, co kiedyś mówiono o tym kody... Nie wiem dokładnie. Coś takiego jak kody. Podobne do tej ryby.

— Kodycył do testamentu? — zasugerowała pani Oliver.

— Tak, właśnie to. O tym mówię. Widzi pani, pani Llewellyn-Smythe zrobiła jeden z tych kody... kodycyłów i zostawiła wszystkie pieniądze cudzoziemce, dziewczynie, która się nią opiekowała. I to była niespodzianka, bo miała przecież krewnych mieszkających tutaj i przyjechała, aby mieszkać koło nich. Była do nich bardzo przywiązana, szczególnie do pana Drake'a. I to wydało się ludziom bardzo dziwne. A potem, wie pani, prawnicy zaczęli gadać po swojemu. Powiedzieli, że pani Llewellyn-Smythe w ogóle nie napisała kodycyłu. Że to dziewczyna do opieki sama go zrobiła, chcąc zagarnąć dla siebie wszystkie pieniądze. I powiedzieli, że będą się sądzić o to. Że pani Drake zamierzała przeciwstawić testament, jeżeli to jest odpowiednie słowo.

— Prawnicy zamierzali zakwestionować testament. Tak, coś o tym słyszałam — powiedziała pani Oliver, dodając odwagi rozmówcy. — I zapewne pani wie coś o tym?

— Nie chciałam nikogo skrzywdzić — rzekła pani Leaman. W tonie jej głosu wyczuło się skamlący jęk, który pani Oliver poznała już kilkakrotnie w przeszłości.

Na pani Leaman, pomyślała, prawdopodobnie nie można polegać. Zapewne wszędzie wściubiła

swój nos i podsłuchiwała pod drzwiami.

— Wtedy nic nie mówiłam — kontynuowała pani Leaman — ponieważ, widzi pani, właściwie nie wiedziałam, czy powinnam. Ale widzi pani, myślałam, że to dziwne, i przyznam się takiej damie jak pani, która wie, jak się rzeczy mają, że nie chciałam znać prawdy. Ale że pracowałam dla pani Llewellyn–Smythe, to chciałabym jednak się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

— Rozumiem — powiedziała pani Oliver.

— Gdybym zrobiła coś, czego nie powinnam robić, to oczywiście przyznałabym się do tego. Ale, widzi pani, nie myślałam, że zrobiłam coś rzeczywiście złego. Nie wtedy, jeżeli mnie pani rozumie — dodała.

— Ależ tak — stwierdziła pani Oliver — jestem pewna, że rozumiem. Proszę mówić dalej. Dotyczyło to kodycyłu.

— Tak. Widzi pani, pewnego dnia pani Llewellyn–Smythe nie czuła się dobrze i poprosiła, abyśmy przyszli. To znaczy ja i młody Jakubek, który pomagał w ogrodzie, przynosił gałęzie, węgiel i podobne rzeczy. Tak więc przyszedliśmy do pokoju, gdzie siedziała i miała przed sobą na biurku papiery. I odwróciła się do tej dziewczyny, panny Olgi, jak ją nazywaliśmy, i powiedziała: „Wyjdź teraz z pokoju, ponieważ nie powinnaś być zamieszana w tę część” czy coś podobnego. I ona, panna Olga, wyszła z pokoju, i pani Llewellyn–Smythe kazała nam podejść bliżej i powiedziała: „To jest mój testament”. Położyła kawałek bibuły na górnej części, ale dół był całkiem czysty. Powiedziała: „Teraz piszę coś na tym kawałku papieru i chcę, abyście byli świadkami tego oraz złożenia przeze mnie podpisu na końcu”. Zaczęła pisać. Zawsze używała drapiącego pióra. Nie użyłaby Birosa czy czegoś podobnego. Napisała dwie lub trzy linijki, podpisała się i powiedziała do mnie: „Teraz, pani Leaman, napisze pani tutaj swoje nazwisko i adres”, i potem powiedziała do Jakubka: „A teraz ty napisz poniżej swoje nazwisko i adres. Tutaj. To wystarczy. Widzieliście, że to pisałam i podpisałam, napisaliście swoje nazwiska i adresy. Oboje możecie to potwierdzić”. I dodała: „To wszystko. Bardzo wam dziękuję”. Więc wyszliśmy z pokoju. Wtedy więcej o tym nie myślałam, ale trochę się denerwowałam. I jakoś tak się zdarzyło, że odwróciłam głowę, wychodząc z pokoju. Widzi pani, drzwi nie zawsze dobrze się zatrzasują. Musi pani pociągnąć, aby zamek zaskoczył. I właśnie to robiłam. Nie patrzyłam specjalnie, jeśli pani rozumie, o czym myślę...

— Wiem, o co pani chodzi — powiedziała pani Oliver niezobowiązującym tonem.

— I zobaczyłam, jak pani Llewellyn–Smythe zwlokła się z fotela — miała artretyzm i bóle od czasu do czasu — podeszła do szafy bibliotecznej, wyciągnęła książkę i włożyła do niej ten kawałek papieru, właśnie podpisany, który był już w kopercie. To była taka duża książka na dolnej półce. Tak, można powiedzieć, że więcej już o tym nie myślałam. Tak, naprawdę nie myślałam. Ale kiedy wybuchła cała ta awantura, oczywiście czułam, że przynajmniej ja... — zamilkła.

Pani Oliver miała wspianą intuicję.

— Ale oczywiście — powiedziała — nie czekała pani tak długo, aby...

— Tak, powiem pani prawdę. Przyznam, że byłam ciekawska. Pomimo wszystko, jeżeli pani coś podpisze, też będzie pani ciekawa, co pani podpisała. Myślę, że taka jest natura ludzka.

— Tak — przyznała pani Oliver — taka jest natura ludzka. Ciekawość, pomyślała, była jednym z głównych elementów natury pani Leaman.

— Tak więc, przyznaję, że następnego dnia pani Llewellyn–Smythe pojechała do Medchester, a ja jak zwykle sprzątałam jej sypialnię, lub raczej sypialnię połączoną z salonem, bo musiała dużo odpoczywać, i pomyślałam: „Przecież każdy, jeżeli coś podpisał, powinien wiedzieć, co podpisał”. Mam na myśli, że przy kupowaniu i wynajmowaniu rzeczy zawsze mówią, aby czytać to, co napisane małym drukiem.

— A w tym wypadku odręcznie — odpowiedziała pani Oliver.

— A więc pomyślałam, że nie będzie żadnej szkody; to przecież nie tak, jakbym coś wzięła. Jak by to powiedzieć... Napisałam na tym swoje nazwisko i naprawdę myślałam, że powinnam wiedzieć, co podpisałam. Więc przyjrzałam się półkom z książkami. I znalazłam ją. Stała na dolnej półce. Była to stara książka, z czasów królowej Wiktorii. I znalazłam tę kopertę ze złożonym papierem w środku. Książka miała tytuł *Poszukuj wewnątrz wszystkiego*. I wydawało mi się, że to sam los dał mi wskazówkę, jeżeli pani mnie rozumie?

— Tak — rzekła pani Oliver. — Na pewno tak było. A więc wyjęła pani papier i obejrzała go.

— Ma pani rację. I nie wiem, czy zrobiłam dobrze, czy źle. To był zupełnie oficjalny dokument. Na ostatniej stronie było to, co napisała poprzedniego ranka. Świeżo napisane nowym, drapiącym piórem, którego używała. Było wystarczająco wyraźne, aby przeczytać, choć miała raczej ostry charakter pisma.

— I co tam było napisane? — spytała pani Oliver, której ciekawość dołączyła się do ciekawości odczuwanej niegdyś przez panią Leaman.

— O ile pamiętam, choć nie wiem, czy pamiętam słowo w słowo, było tam coś o kodycyli i po wyliczeniu wszystkich legatów z jej testamentu, po śmierci oddawała całą swoją fortunę Oldze. Nie jestem pewna jej nazwiska. Zaczynało się na „S”. Seminoff lub coś takiego. Oddawała Oldze z uwagi na jej wielką uprzejmość i troskliwość okazaną w czasie choroby. I tak było napisane, i ona to podpisała, i ja to podpisałam, i Jakubek to podpisał. Więc położyłam to z powrotem tam, gdzie było, bo nie chciałam, aby pani Llewellyn–Smythe pomyślała, że grzebałam w jej rzeczach.

Dobrze, powiedziałam do siebie, to dopiero niespodzianka. Czyżby ta cudzoziemska dziewczyna zagarnęła wszystkie pieniądze? Wszyscy wiedzieliśmy, że pani Llewellyn–Smythe była bardzo bogata. Jej mąż budował okręty i zostawił jej wielką fortunę. Pomyślałam jeszcze, że niektórzy to mają szczęście. Wie pani, nie bardzo lubiłam panny Olgi. Czasami była ostra i miała nieprzyjemne usposobienie. Ale nadal twierdzę, że dla starej pani była zawsze troskliwa i uprzejma. Oczywiście troszczyła się o swoje sprawy, ale to jej uchodziło nasucho. I pomyślałam, jak to, tak pozbawiać swoją rodzinę wszystkich pieniędzy! Ale wtedy przyszło mi do głowy, że pewnie posprzeczała się z krewnymi i kiedy to przeminie, najprawdopodobniej podrze ten papier i zrobi nowy testament,

kodycył czy coś takiego. Tak czy inaczej, było, co było. Wsadziłam kopertę z powrotem i chyba zapomniałabym o tym.

Ale kiedy zaczął się cały ten wrzask wokół testamentu i gadanie o tym, że go sfalszowano i że pani Llewellyn–Smythe nigdy sama nie napisała tego kodycyłu, i nie ona, ale ktoś inny wszystko to napisał...

— Tak — powiedziała pani Oliver. — Co pani wówczas zrobiła?

— Nic nie zrobiłam. I to właśnie mnie męczy... Na początku nie wiedziałam, o co chodzi. A kiedy wszystko nieco przemyślałam, nie wiedziałam, co zrobić. Pomyślałam, że to wszystko dlatego, że prawnicy, jak wszyscy, są przeciwko obcej dziewczynie. Przyznaję, że ja też nie lubię cudzoziemców. Tak czy inaczej, było tak, że młoda pani puszyła się, patrzyła na innych z góry i strasznie zadzierała nosa. Wtedy pomyślałam sobie, że może to będzie sprawiedliwe, gdy powiedzą, że ona nie ma żadnych praw do tych pieniędzy, bo nie była spokrewniona ze starą panią. I wtedy wszystko byłoby dobrze, bo, widzi pani, panna Olga uciekła. Wróciła gdzieś tam na kontynent, skąd pochodziła. Wygląda na to, że był w tym testamencie jakiś hokus–pokus. Może postraszyła starą panią i zmusiła ją do tego. Kto to może wiedzieć? Jeden z moich bratanków, który chce być doktorem, mówi, że można robić cudowne rzeczy za pomocą hipnozy. Myślę, że ona hipnotyzowała starą panią.

— Dawno to się zdarzyło?

— Pani Llewellyn–Smythe nie żyje od... Niech chwilę pomyślę. Tak, od prawie dwóch lat.

— I nic panią nie gryzło?

— Nie, zupełnie nie. Wtedy nie. Ponieważ, widzi pani, nie myślałam, żeby to mogło mieć jakieś znaczenie. Wszystko było w porządku. Nikt nie mówił, że panna Olga uciekła z pieniędzmi, więc nie myślałam się wtrącać...

— Ale teraz ma pani inne odczucie?

— To ta straszna śmierć dziecka, które wepchnięto do wiadra z jabłkami. Mówi się różne rzeczy o tym morderstwie, że Joyce widziała coś lub wiedziała coś o morderstwie. I myślę, że może panna Olga zamordowała starą panią, bo wiedziała, że weźmie wszystkie pieniądze, a gdy zaczęła się cała ta heca z prawnikami i z policją, zwąchała pismo nosem i uciekła. Tak więc pomyślałam, że może powinnam komuś o tym powiedzieć, i pomyślałam, że pani ma przyjaciół w sądach. I pewnie ma pani przyjaciół w policji i wytłumaczy im pani, że ja tylko odkurzałam półki, i ten papier był w jednej z książek, i włożyłam go z powrotem tam, gdzie był. Nie wzięłam go ani nic takiego.

— Jaki więc był bieg wydarzeń? Widziała pani panią Llewellyn–Smythe piszącą kodycył do swojego testamentu. Widziała pani, jak złożyła swój podpis. Pani i ten jakiś tam Jakubek napisaliście swoje nazwiska i adresy. Czy tak?

— Tak.

— A zatem skoro oboje widzieliście, jak pani Llewellyn–Smythe podpisywała dokument, czy jej podpis mógł być sfałszowany? Nie, jeżeli oboje widzieliście, jak go składała.

— Właśnie mówię, że to szczerą prawdą, że pani Llewellyn–Smythe sama to napisała. I Jakubek mówił to samo, ale on pojechał do Australii. Już przeszło rok go nie ma i nie mam jego adresu. On nie pochodził stąd.

— A czego pani ode mnie oczekuje?

— Chciałabym, aby mi pani powiedziała, czy powinnam teraz coś powiedzieć albo zrobić. Bo wie pani, nikt nigdy mnie nie pytał, czy wiem coś o testamencie.

— Nazywa się pani Leaman. A jak ma pani na imię?

— Harriet.

— Harriet Leaman. A jakie było nazwisko Jakubka?

— Zaraz, jak to było? Jenkins?. Tak, Jakub Jenkins. Byłabym bardzo zobowiązana, gdyby mi pani pomogła, bo, widzi pani, to wszystko mnie przeraża. Te wszystkie nadchodzące kłopoty... Bo jeżeli panna Olga zamordowała panią Llewellyn–Smythe i, jak myślę, mała Joyce to widziała... Ona, to znaczy panna Olga, strasznie się cieszyła, gdy usłyszała od prawników, że dostała wszystkie pieniądze. Ale wszystko się zmieniło, gdy przyszła policja i zaczęła zadawać pytania. Wtedy nagle wyjechała, a mnie nikt o nic nie pytał. A teraz mnie to dręczy, że może wtedy powinnam coś powiedzieć.

— Myślę — rzekła pani Oliver — że będzie pani musiała opowiedzieć tę historię prawnikowi, który reprezentował panią Llewellyn–Smythe. Jestem pewna, że dobry prawnik zrozumie pani uczucia i motywy.

— Tak. Gdyby taka dama jak pani zechciała szepnąć im słówko w mojej sprawie i powiedzieć, jak się to wszystko stało, że nigdy nie chciałam zrobić nic nieuczciwego. Myślę, że wszystko, co zrobiłam...

— Po prostu nic pani nie powiedziała — przerwała pani Oliver. — To całkiem sensowne wyjaśnienie.

— Ale gdyby pani mogła najpierw powiedzieć od siebie słówko w mojej sprawie. Wie pani, żeby wyjaśnić. Byłabym bardzo wdzięczna.

— Zrobię, co będę mogła — obiecała pani Oliver. Zwróciła wzrok na ogrodową ścieżkę, którą zbliżała się schludna postać.

— Tak, bardzo pani dziękuję. Powiedzieli mi, że z pani bardzo miła dama, i to prawda. Jestem pani bardzo zobowiązana.

Podniosła się, zakładając ponownie bawełniane rękawiczki, które dotąd miętoszyła z udręką.

Kiwnęła głową i po chwili zniknęła za drzwiami. Pani Oliver oczekiwała na pojawienie się Poirota.

— Proszę, niech pan wejdzie i usiądzie — powiedziała. — Cóż się z panem dzieje? Wygląda pan na zdenerwowanego.

— Stopy strasznie mnie bolą — odpowiedział Herkules Poirot.

— To wina pańskich straszliwych lakierków — stwierdziła pani Oliver. — Proszę siadać. Proszę powiedzieć, po co pan przyszedł, a potem ja panu powiem coś, co pana zadziwi!

Rozdział osiemnasty

Poirot usiadł, wyprostował nogi i powiedział:

— Ach, teraz lepiej.

— Niech pan zdejmie buty i pozwoli stopom wypocząć — zaproponowała pani Oliver.

— Nie, nie mogę. Nie mogę tego zrobić. — Zdawał się być zaszokowany tą propozycją.

— Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi — rzekła pani Oliver — i Judith nie będzie miała nic przeciwko temu, aby zostawić nas samych. Proszę wybaczyć, że to mówię, ale nie powinien pan używać lakierków na wsi. Dlaczego nie kupi pan sobie pary solidnych zamszowych butów? Albo czegoś podobnego do tego, co noszą teraz chłopcy pozujący na hipisów? Myślę o takich butach, które łatwo wkładać i nigdy nie trzeba ich czyścić. Zapewne same się czyszczą wskutek jakiegoś niezwykłego procesu. To jeden z tych cudów, które oszczędzają ludziom pracy.

— Nie dbam o to — powiedział Poirot ostro. — Naprawdę!

— Kłopot z panem polega na tym — rzekła pani Oliver, zaczynając rozpakowywać stojącą na stole i najwyraźniej świeżo kupioną paczkę — że uparł się pan być elegancki. Myśli pan więcej o swoim ubraniu i wąsach, o tym, jak pan wygląda i co pan ma na sobie niż o wygodzie. Dzisiaj wygoda to wielka rzecz. Jeśli przekroczy się pięćdziesiątkę, tylko to ma znaczenie.

— Nie wiem, czy mogę się z panią zgodzić, *madame*.

— Lepiej, aby się pan zgodził — powiedziała pani Oliver. — Jeżeli pan tego nie zrobi, będzie pan bardzo cierpiał, i to z roku na rok coraz bardziej.

Pani Oliver wyciągnęła z papierowego opakowania wesoło malowane pudełko. Zdjęła wieczko, wzięła niewielki owoc i podniosła go do ust. Oblizwała palce, wytarła je w chusteczkę i zamruczała niewyraźnie:

— Lepi się.

— Już pani nie je jabłek? Zawsze widziałem panią z torbą jabłek w ręce. Wciąż sięgała pani po nie i jadła. Od czasu do czasu torba pękała i jabłka wysypywały się na drogę.

— Mówiłam panu — rzekła pani Oliver — że nigdy już nie spojrzę na jabłka. Nienawidzę ich. Możliwe, że kiedyś się przemogę i znów zacznę je jeść, ale teraz nie lubię niczego, co kojarzy się z jabłkami.

— A cóż to takiego pani je teraz? — Poirot uniósł wesoło malowane wieczko z rysunkiem palmy i przeczytał: — *Tunis dates*. Ach, więc teraz daktyle.

— Tak, właśnie daktyle — przyznała pani Oliver. Wzięła kolejny owoc i włożyła go do ust. Wyjęła pestkę i wrzuciła ją do kosza. Zaczęła przeżuwać.

— *Tunis dates* — powtórzył Poirot. — Niezwykłe.

— Cóż niezwykłego w jedzeniu daktyli? Wielu ludzi je je.

— Nie, nie o tym myślałem. Nie o jedzeniu daktyli. To niezwykłe, że dzięki pani pomyślałem o słowie *dates**.

— Dlaczego? — spytała pani Oliver.

— Ponieważ — odpowiedział Poirot — tak jak niegdyś, znów wskazuje mi pani drogę, *chemin** postępowania. Drogę, na którą powinienem wejść lub po której już powinienem kroczyć. Przecież *dates* to również daty. Aż do tej chwili nie uświadamiałem sobie, jak ważne są daty.

— Nie rozumiem, co daty mają wspólnego z tym, co się tutaj stało. Myślę, że czas nie ma istotnego znaczenia. Wszystko zdarzyło się przecież pięć dni temu.

— Nawet cztery dni temu. Tak, to prawda. Ale wszystko, co się wydarzy, staje się przeszłością. Przeszłością, którą łączymy z terażniejszością, choć naprawdę działa się miesiąc lub rok temu. Terażniejszość zawsze tkwi korzeniami w przeszłości. Rok, dwa, a może trzy lata temu popełniono morderstwo. Dziecko je widziało i zmarło cztery dni temu właśnie dlatego, że kiedyś, dawno temu, widziało zbrodnię. Czyż nie mam racji?

— Tak, oczywiście. Przynajmniej przypuszczam, że tak, choć może niezupełnie. Być może rzeczywiście ktoś niezrównoważony psychicznie, kto lubi zabijać ludzi, wpadł na pomysł, że wepchnięcie czyjejś głowy pod wodę to świetna zabawa. Można by to nazwać wybrykiem psychicznie chorego, który przyłączył się do zabawy na przyjęciu.

— Ale nie takie przekonanie, *madame*, sprowadziło panią do mnie.

— Tak — przyznała pani Oliver. — Coś mi się tutaj nie podobało i nadal mi się nie podoba.

— Zgadzam się z panią. Sądzę, że ma pani rację. Jeżeli komuś coś się nie podoba, powinien poznać przyczynę niezadowolenia. Z wielkim trudem, choć może pani sądzi inaczej, staram się to zrobić.

— Spacerując po okolicy, rozmawiając z ludźmi, dowiadując się, czy są mili, czy nie, i zadając im pytania?

— Dokładnie tak.

— I czego się pan dowiedział?

— Poznałem fakty — odparł Poirot. — Fakty, które teraz zwykłą koleją rzeczy powinny zostać, jeżeli można tak powiedzieć, zakotwiczone w odpowiednim miejscu przez daty.

— Czy to wszystko? Czego jeszcze pan się dowiedział?

— Nikt nie wierzy w prawdomówność Joyce Reynolds.

— Że mówiła o tym, iż kogoś zabito? Ależ ja to słyszałam.

— Tak, powiedziała to, ale nikt jej nie uwierzył. Istnieje prawdopodobieństwo, że nie mówiła prawdy i że nic takiego nie widziała.

— Wydaje mi się — powiedziała pani Oliver — że pańskie fakty cofają pana, zamiast prowadzić do przodu lub przynajmniej pozostawić w miejscu.

— Trzeba osiągnąć zgodność faktów. Na przykład fałszerstwo. Sam fakt fałszerstwa. Wszyscy mówią, że dziewczyna *au pair* tak dalece wkradła się w łaski starej i bardzo bogatej wdowy, iż ta pozostawiła testament lub kodycyl do testamentu, w którym zapisała jej wszystkie pieniądze. Czy dziewczyna sfalszowała testament, czy zrobił to ktoś inny?

— Któż jeszcze mógłby dokonać fałszerstwa?

— W tej wsi był jeszcze jeden fałszerz. Ktoś, kto został kiedyś oskarżony o fałszerstwo, ale bez trudu się z tego wykpił z powodu łagodzących okoliczności i popełnienia przestępstwa po raz pierwszy.

— Czy to nowa postać? Czy go znam?

— Nie, nie zna go pani. Nie żyje.

— Och. Kiedy zmarł?

— Mniej więcej dwa lata temu. Dokładnej daty jeszcze nie znam, ale będę się musiał dowiedzieć. Był to jeden z tutejszych mieszkańców, zajmujący się fałszerstwami. Z powodu czegoś, co nazywamy kłopotami z dziewczętami, zazdrością i emocjami, został pewnej nocy zamordowany. Uważam, że poszczególne zdarzenia mogą się łączyć o wiele ściślej, niż przypuszczamy. Nie każde z nich, nie wszystkie, ale niektóre.

— Brzmi to interesująco — powiedziała pani Oliver — ale nie dostrzegam tego...

— Ja także jeszcze nie — przyznał Poirot — ale myślę, że daty nam pomogą. Daty pewnych wydarzeń, ustalenia, gdzie kto kiedy był, co się z nim działo i co robił. Wszyscy myślą, że cudzoziemka sfalszowała testament i pewnie mają rację. Czyż nie była tą, która na tym korzystała? Proszę chwilę poczekać, chwileczkę...

— Na co mamy czekać? — spytała pani Oliver.

— Przyszedł mi do głowy pewien pomysł — odpowiedział Poirot.

Pani Oliver westchnęła i sięgnęła po następnego daktyla.

— Czy wraca pani do Londynu, *madame*? A może zamierza pani zostać tu dłużej?

— Wracam pojutrze — poinformowała pani Oliver. — Nie mogę tu dłużej siedzieć. Zdarzyło się tyle rzeczy.

— Proszę powiedzieć, czy w pani mieszkaniu lub domu — tylokrotnie zmieniała pani adres, że nie pamiętam, gdzie pani mieszka — jest miejsce dla gości.

— Nigdy nie przyznawałam się do tego — powiedziała pani Oliver. — Gdyby pan kiedykolwiek przyznał się do posiadania wolnego pokoju gościnnego w Londynie, byłoby to równoznaczne z zaproszeniem gości. Wszyscy pańscy i nie tylko pańscy przyjaciele, znajomi i kuzyni trzeciego stopnia tych znajomych pisaliby do pana listy, prosząc o nocleg na jedną noc. A co z prześcieradłami, poszewkami, praniem i poranną herbatą? Zdarza się nawet, że oczekują posiłków, skoro już przyjechali do pana. Więc się nie przyznaję, że mam wolny pokój. Przyjeżdżają do mnie moi prawdziwi przyjaciele i ludzie, których rzeczywiście chcę widzieć, ale nikt poza tym. Nie jestem zbyt chętna do pomocy i nie lubię, aby mnie wykorzystywano.

— Któż to lubi? — zauważył Herkules Poirot. — Przyznaję, że postępuje pani rozsądnie.

— Ale właściwie, dlaczego o tym rozmawiamy?

— Czy mogłaby pani w razie potrzeby przyjąć jednego lub dwóch gości?

— Mogłabym — odrzekła pani Oliver. — Kogo zamierza mi pan przysłać? Przecież nie siebie. Ma pan własne, wspaniałe mieszkanie. Supermodne, bardzo nowoczesne, całe w kwadratach i sześciątach.

— Myślę po prostu, że należałoby podjąć pewne środki ostrożności.

— Po co? Czy ktoś ma być zabity?

— Wierzę, że nie, i modlę się o to, ale nie mogę powiedzieć, że to nieprawdopodobne.

— Ale kto? Kto? Nie mogę pojąć.

— Jak dobrze zna pani swoją przyjaciółkę?

— Jak dokładnie ją znam? Niezbyt. Polubiłyśmy się na wycieczce i przywykłyśmy razem spędzać czas. Było w niej coś — jak by to powiedzieć? — ekscytującego i odmiennego.

— Czy myśli pani, że mogłaby pani umieścić jaw jednej ze swoich książek?

— Nie cierpię tego zwrotu. Wielu ludzi go używa, ale nie jest prawdziwy. Naprawdę nie. Nie umieszczam ludzi w książkach. Przynajmniej nie tych, z którymi się spotykam i których znam.

— Doprawdy? Może portretuje pani osoby, które spotyka, ale nie te, które pani zna. Nie byłoby w tym nic dziwnego.

— Ma pan całkowicie rację — przyznała pani Oliver. — Rzeczywiście, czasami umie pan trafnie odgadnąć. Istotnie to się zdarza. Na przykład, widzi pan siedzącą w autobusie tłąstą kobietę, jedzącą ciasto drożdżowe z rodzynkami; jej wargi poruszają się w czasie jedzenia, mówi coś do kogoś albo rozmyśla o czekającej ją rozmowie telefonicznej lub o liście, który ma napisać. Patrzy pan na nią, przygląda się pan jej butom, spódnicy i kapeluszu, odgaduje pan jej wiek, sprawdza, czy nosi obrączkę i kilka innych rzeczy. Potem wysiada pan z autobusu. Nie zamierza pan jej nigdy więcej spotkać, ale już nosi pan w sobie załączek opowiadania o jadącej do domu autobusem pani Carnaby, która miała bardzo dziwne spotkanie w ciastkami, gdzie zobaczyła kogoś, kogo zapamiętała, choć widziała go niegdyś tylko raz i o kim mówiono, że zmarł. I oto zobaczyła go żywego. Boże mój! — krzyknęła pani Oliver, milknąc na chwilę dla nabrania oddechu. — Wie pan, to się naprawdę zdarzyło. Rzeczywiście tuż przed opuszczeniem Londynu siedziałam w autobusie na wprost pewnej kobiety i teraz zaczyna mi się wszystko układać w głowie. Wkrótce już będę miała pełną historię o tym, co się po kolei zdarzyło, co kiedyś mówiła, czy jej lub może komuś innemu będzie grozić niebezpieczeństwo. Myślę, że nawet znam jej imię. Nazywa się Konstancja. Konstancja Carnaby. Ale jest coś, co może wszystko zrujnować.

— Cóż to takiego?

— Gdybym spotkała ją ponownie w autobusie, a ona opowiedziałaby coś o sobie. Rzecz jasna, gdybym się o niej czegoś dowiedziała, cała koncepcja by upadła.

— Tak, tak. To musi być pani własna historia. Ona jest pani dzieckiem. Pani ją stworzyła, pani ją rozumie, zna jej uczucia, wie, gdzie ona mieszka i co robi. Ale wszystko zaczęło się przecież od konkretnej osoby i gdyby dowiedziała się pani czegoś o jej rzeczywistym życiu, cała historia mogłaby się rozsypać, prawda?

— Znow ma pan rację — zgodziła się pani Oliver. — Wracając do Judith. Podczas wycieczki wiele razem przebywałyśmy, wspólnie odwiedzałyśmy różne miejsca, ale nie wiem o niej wiele. Jest wdową. Mąż umierając pozostawił ją w trudnej sytuacji z dzieckiem, Mirandą, którą pan widział. Odnoszę dość śmieszne wrażenie, że obie są zamieszane w jakiś ciekawy dramat. Nie chcę go znać. Nie chcę, aby mi o nim opowiedziały. Wolę sama wymyślić historię, w której chciałabym je umieścić.

— Tak, tak. Widzę, że są kandydatkami na bohaterki kolejnego bestselleru Ariadny Oliver.

— Czasami jest pan potworem — rzekła pani Oliver. — Ujął pan to tak trywialnie. Ale może to prawda — przyznała po chwili zamyślenia.

— Nie. To nie jest trywialne. To jest ludzkie. — I pan chce, abym zaprosiła Judith i Mirandę do siebie do Londynu?

— Jeszcze nie teraz — powiedział Poirot. — Nie wcześniej, niż się upewnię, że jeden z moich pomysłów może okazać się prawdziwy.

— Pan i pańskie pomysły! Mam dla pana nieco wiadomości.

— Zachwyca mnie pani, *madame*.

— Niech pan nie będzie tego taki pewien. To zapewne zniszczy pańskie pomysły. Załóżmy, że powiem panu, iż fałszerstwo, o którym mówił pan z takim zapałem, nie było żadnym fałszerstwem.

— Co takiego pani powiedziała?

— Pani Ap Jones Smythe, czy jak się tam nazywała, rzeczywiście sporządziła kodycyl do swojego testamentu, pozostawiając wszystkie pieniądze dziewczynie *au pair*. Dwoje świadków widziało jej podpis i złożyło swoje w jej obecności. A teraz niech pan sobie to przemyśli.

Rozdział dziewiętnasty

— Pani Leaman — powiedział Poirot, notując nazwisko.

— Tak. Harriet Leaman. Zdaje się, że drugim świadkiem był Jakub Jenkins. Po raz ostatni słyszano o nim, że zamierzał wyjechać do Australii. Według ostatnich wieści Olga Seminoff powróciła do Czechosłowacji, czy też do innego kraju, z którego pochodziła. Zdaje się, że każdy gdzieś wyjechał.

— Jak dalece, według pani, możemy polegać na pani Leaman?

— Nie sądzę, aby to wymyśliła, jeżeli to ma pan na myśli. Zapewne podpisała coś, co wzbudziło jej ciekawość, i skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji, aby tę ciekawość zaspokoić.

— Czy potrafi czytać i pisać?

— Tak sądzę. Ale przyznaję, że często ludziom z trudem przychodzi odczytanie kanciastego, nieczytelnego pisma starych dam. Jeżeli więc jakaś plotka rozeszła się potem na temat testamentu lub kodycyłu, pani Leaman mogła pomyśleć, że dokładnie to właśnie odcyfrowała.

— Mówimy o dokumencie oryginalnym — stwierdził Poirot — ale był jeszcze sfalszowany kodycył.

— Kto tak twierdzi?

— Prawnicy.

— Być może nie było żadnego fałszerstwa.

— Prawnicy traktują takie rzeczy ze szczególną uwagą. Byli gotowi przedstawić sądowi opinię ekspertów.

— Myślę — powiedziała pani Oliver — że całkiem prosto można wyobrazić sobie, co się stało.

— Co jest takie proste i co się stało?

— Dzień, kilka dni lub nawet tydzień później pani Llewellyn-Smythe albo posprzeczała się ze swoją oddaną dziewczyną *au pair*, albo pogodziła się z bratankiem Hugonem lub z siostrzenicą Roweną i podarła testament, czy też napisała nowy kodycył. A może spaliła wszystko?

— I co potem?

— Przypuszczam, że potem pani Llewellyn-Smythe zmarła, a dziewczyna wykorzystała szansę i napisała nowy kodycył, używając z grubsza tych samych zwrotów i naśladowując, w takim stopniu, jak potrafiła, odręczne pismo pani Llewellyn-Smythe i podpisy świadków. Zapewne nieźle znała pismo

pani Leaman. Musiała przecież widzieć je na wielu dokumentach. Sfałszowała podpisy świadków, myśląc, że nikt się na tym nie pozna i wszystko pójdzie gładko. Ale fałszerstwo nie było wystarczająco dobre i zaczęły się kłopoty.

— Czy pozwoli pani, *madame*, skorzystać z telefonu?

— Tak, oczywiście, pozwalam panu użyć telefonu Judith Butler.

— Gdzie jest pani przyjaciółka?

— Och, poszła doprowadzić do ładu włosy, Miranda zaś poszła na spacer. Niech pan dzwoni. Telefon jest w pokoju za oknem.

Poirot wyszedł i powrócił po dziesięciu minutach.

— Cóż pan tam robił?

— Dzwoniłem do pana Fullertona, adwokata. Coś pani powiem. Kodycyl, sfalszowany kodycyl, nie był podpisany przez Harriet Leaman. Jako świadek podpisała go nieboszczka Maria Doherty. Była kiedyś na służbie u pani Llewellyn-Smythe, lecz ostatnio zmarła. Drugim świadkiem był Jakub Jenkins, który, jak powiedziała pani przyjaciółka, pani Leaman, wyjechał do Australii.

— A zatem istniał fałszywy kodycyl — powiedziała pani Oliver. — Wydaje się, że istniał również prawdziwy. Niech pan powie, Poirot, czy wszystko to nie staje się nieco zbyt skomplikowane?

— Komplikuje się niewiarygodnie — przyznał Poirot. — Jest tu, jeżeli można tak powiedzieć, zbyt wiele fałszerstw.

— Być może prawdziwy kodycyl znajduje się nadal w bibliotece w Quarry House między stronami *Poszukaj wewnątrz wszystkiego*.

— O ile wiem, po śmierci pani Llewellyn-Smythe dom został sprzedany ze wszystkim, co do niego należało, poza kilkoma rodzinnymi meblami i obrazami.

— A zatem teraz potrzebujemy *Poszukaj wewnątrz wszystkiego*. Czyż to nie wspaniały tytuł? Pamiętam, że moja babka miała tę książkę. Można w niej było znaleźć wszystko: porady prawne, przepisy kucharskie, informacje jak usunąć atramentowe plamy z lnu i sporządzić domowym sposobem puder do twarzy nie niszczący cery. Och, jeszcze masę innych rzeczy. Czy chciałby pan mieć książkę tego rodzaju?

— Bez wątplenia — zapewnił Herkules Poirot. — Powinien znajdować się w niej przepis, co robić ze zmęczonymi stopami.

— Myślę, że jest tam niejeden. Ale dlaczego nie nosi pan butów odpowiednich do wędrówki w terenie?

— *Madame*, lubię być ubrany starannie w każdym szczególe.

— Dobrze. A zatem będzie pan musiał dalej nosić rzeczy, które uwierają, i znosić to ze spokojem — stwierdziła pani Oliver. — W dalszym ciągu niczego nie rozumiem. Czy to, co mówiła ta Leaman, było stekiem kłamstw?

— To jest zawsze możliwe.

— Czy ktoś jej kazał to wszystko powiedzieć?

— To także jest możliwe.

— Czy ktoś jej zapłacił za te kłamstwa?

— Proszę dalej — zachęcił Poirot. — Proszę dalej. Robi to pani wspaniale.

— Przypuszczam — ciągnęła pani Oliver w zamyśleniu — że panią Llewellyn-Smythe, jak wielu innych bogatych, cieszyło sporządzanie testamentów. Przypuszczam, że w ciągu życia zrobiła ich sporo, czyniąc spadkobiercą raz jedną, raz inną osobę. Dokonywała zmian. Drake'owie i bez tego byli bogaci. Przypuszczam, że zawsze przeznaczała dla nich przyzwoity spadek, ale nie sądzę, aby przedtem zapisała komukolwiek tak wiele, jak według pani Leaman i sfałszowanego testamentu przekazała Oldze. Muszę przyznać, że chciałabym wiedzieć coś więcej o tej dziewczynie. Wydaje się, że rzeczywiście zniknęła bez śladu.

— Mam nadzieję wkrótce dowiedzieć się o niej czegoś więcej — wtrącił Herkules Poirot.

— W jaki sposób?

— Niedługo otrzymam informację na ten temat.

— Wiem, że poszukiwał pan różnych wiadomości tu, na miejscu.

— Nie tylko tutaj. Mam agenta w Londynie, który dostarcza mi wiadomości zarówno z kraju, jak i z zagranicy. Wkrótce powinienem otrzymać pewne wieści z Hercegowiny.

— Dowie się pan, czy kiedykolwiek tam wróciła?

— To jedno z pytań, na które powinienem znaleźć odpowiedź, ale raczej otrzymam informacje innego rodzaju: listy pisane podczas jej pobytu tutaj, przyjaciele w nich wspomniani, których tu poznała i z którymi weszła w głębszą zażyłość.

— A co pan powie o nauczycielce?

— Którą ma pani na myśli?

— Tę uduszoną, o której mówiła pani Whittaker. Nie lubię zbytnio Elizabeth Whittaker — dodała. — Meczący typ kobiety, choć, jak myślę, nie jest pozbawiona inteligencji. Nie mogę wykluczyć, że mógł jej wpaść do głowy pomysł morderstwa.

— Myśli pani o uduszeniu innej nauczycielki?

— Należy wyczerpać wszystkie możliwości.

— *Madame*, będę polegał, jak to już często czyniłem, na pani intuicji.

Pani Oliver zjadła w zamyśleniu kolejnego daktyla

Rozdział dwudziesty

Po opuszczeniu domu pani Butler Poirot podążył drogą wskazaną mu przez Mirandę. Wydało mu się, że prześwit w żywopłocie nieco się powiększył. Zapewne używał go ostatnio ktoś większy niż Miranda. Podążył w dół ścieżką wiodącą do kamieniołomu, podziwiając po raz kolejny piękno tego miejsca. Było tu wspaniale, lecz Poirot, jak niegdyś, miał wrażenie, że jest to miejsce nawiedzone. Panował tu bezlitosny pogański bożek. Być może na tych krętych ścieżkach czarownice polowały na swoje ofiary lub nieczuła bogini nakazywała składanie ofiar.

Zrozumiał, dlaczego nie urządzano w tym miejscu pikników. Nie chciano przynosić tutaj jajek na twardo, sałaty i pomarańcze, opowiadać dowcipów i śmiać się głośno. Tu było inaczej, całkiem odmiennie. Pomyślał nagle, że może byłoby lepiej, gdyby pani Llewellyn–Smythe nie zażyczyła sobie tej czarodziejskiej zmiany. Kamieniołom można było zamienić w o wiele skromniejszy ogród, bez tej specyficznej atmosfery, ale pani Llewellyn–Smythe była bardzo ambitna i bardzo bogata. Pomyślał przez chwilę o rodzajach testamentów sporządzanych przez bogate kobiety i miejscach, w których bogate wdowy ukrywają swoje testamety. Starał się przeniknąć myśli fałszerza. Niewątpliwie testament przedstawiony do urzędowego zatwierdzenia był fałszywy. Pan Fullerton był ostrożnym i kompetentnym prawnikiem. To pewne. Był typem prawnika, który nigdy nie poradziłby swojemu klientowi oddania sprawy do sądu, gdyby nie miał wystarczających dowodów.

Poirot minął zakręt ścieżki, czując, że w tym momencie jego stopy są o wiele ważniejsze od spekulacji. Czy do nadinspektora Spence'a powinien udać się skrótem, czy też nie? Skrótem było prosto jak z łuku strzelił, za to główna droga mogła być dogodniejsza dla jego stóp. Ścieżka nie była ani trawiasta, ani pokryta mchami. Jak przystało na kamieniołom, miała twardość kamienia. Zatrzymał się.

Zobaczył przed sobą dwie postacie. Na części kamienia wylaniającej się z ziemi siedział Michael Garfield. Na kolanach trzymał szkiełko i w skupieniu coś w nim kreślił. Nieco z boku, w pobliżu maleńkiego, spadającego w dół i melodyjnie szumiącego strumienia, stała Miranda Butler. Herkules Poirot zapomniał o stopach, bólach i innych przypadłościach ludzkiego ciała i całą swoją uwagę skupił na pięknie, które mogą osiągnąć postacie ludzkie. Nie było wątpliwości, że Michael Garfield jest bardzo pięknym mężczyzną. Poirotowi trudno było zdecydować, czy lubi Garfielda. Zawsze niełatwo jest stwierdzić, czy lubi się kogoś ładnego. Lubimy patrzeć na piękno i jednocześnie niemal z zasady nie lubimy piękna. Był przekonany, że kobiety mogą być piękne, ale nie był pewien, czy lubi piękno u mężczyzn. Nie chciałby być pięknym młodzieńcem, nawet gdyby kiedykolwiek miał na to choćby najmniejsze szansę. Tylko jeden szczegół w wyglądzie sprawiał Poirotowi szczególną przyjemność: jego obfite wąsy, dające się tak wspaniale szcztokować i kształtować. Były naprawdę wspaniałe. Nie znał nikogo innego z tak doskonałymi wąsami. Na pewno jednak nigdy nie był ani przystojny, ani piękny.

A Miranda? Pomyślał, jak niegdyś, że jej atrakcyjność ma siłę przyciągania. Zaciekawilo go, jakie myśli krążą jej po głowie. Nikt tego nie mógł odgadnąć, gdyż nie umiała ich łatwo wypowiedzieć.

Wątpił, czy gdyby ją zapytać, potrafiłaby powiedzieć, o czym myślała. Ma zagadkową, refleksyjną naturę. Na pewno jest wrażliwa, bardzo wrażliwa. Wydawało mu się, że wie o niej jeszcze kilka innych rzeczy. Były to tylko myśli, lecz niemal bliskie pewności.

Michael Garfield podniósł wzrok i powiedział:

— Ach! Pan Wąsaty. Serdecznie pana witam.

— Czy mogę spojrzeć na pańską pracę? Czy nie będzie to pana krępować? Nie chciałbym być natrętny.

— Może pan patrzeć. To nie ma dla mnie znaczenia. — Po chwili dodał uprzejmie: — Spraw mi to przyjemność.

Poirot stanął mu za plecami. Pokiwał głową z aprobatą. Był to bardzo delikatny rysunek ołówkiem, z prawie niewidocznymi liniami. Poirot pomyślał, że ten człowiek potrafi rysować. Nie tylko projektować ogrody.

— Świetne! — powiedział z zachwytem.

— Też tak sędzę — odrzekł Michael Garfield.

Nie powiedział jasno, czy miał na myśli model, czy rysunek.

— Dlaczego? — spytał Poirot.

— Dlaczego to robię? Myśli pan, że mam szczególny powód?

— Może go pan mieć.

— Ma pan rację. Jest tu tylko jedna lub dwie rzeczy, które chciałbym zapamiętać, jeżeli stąd odejdę. Miranda jest jedną z nich.

— Czy mógłby ją pan łatwo zapomnieć?

— Bardzo łatwo. Taki już jestem. Ale zapomnieć coś lub kogoś, nie móc przypomnieć sobie twarzy, ruchu ramienia, gestu, drzewa, kwiatu lub linii krajobrazu, pamiętać zarys, lecz nie móc wyobrazić sobie pełnego obrazu, to czasami niemal jak śmierć. Widział pan, zapamiętał, a jednak przeminęło.

— Ale nie ogród w kamieniołomie. Ten nie przeminie.

— Tak pan sądzi? Wkrótce to nastąpi. Nastąpi szybko, jeżeli nikogo tutaj nie będzie. Natura przemoże wszystko. Potrzeba tu miłości, uwagi, troskliwości i zręczności. Jeżeli, co nie jest dzisiaj rzadkością, ogród przejmie gmina, zostanie, jak to mówią utrzymany w dobrym stanie”. Posadzą najnowsze rodzaje krzewów, zrobią dodatkowe alejki, w określonych odległościach poustawiają ławki. Ustawią nawet kosze na śmieci.

Są tak delikatni, tak bardzo starają się wszystko uchronić. Tego się nie da uchronić. To dzicz. Utrzymać dzikość jest dużo trudniej, niż ją chronić.

— Panie Poirot — od strony strumienia zabrzmiał głos Mirandy.

Poirot ruszył w jej stronę, aby móc ją lepiej słyszeć.

— A więc tutaj cię znalazłem. Przyszłaś pozować do portretu, tak?

Spojrzał na jej głowę.

— Nie przyszłam w tym celu. Akurat tak wyszło.

— Tak — potwierdził Michael Garfield — tak się złożyło. Szczęście chodzi własnymi drogami.

— Po prostu spacerowałaś po ulubionym ogrodzie?

— Szukałam studni — odpowiedziała Miranda. — Studni?

— Była tu kiedyś w lesie studnia, do której można było wrzucać monety, szepcząc życzenia.

— W starym kamieniołomie? Nie wiedziałem, że w kamieniołomach były studnie.

— Wokół kamieniołomu był las. Rosły tu drzewa. Michael wie, gdzie jest ta studnia, ale mi nie powie.

— Będziesz miała o wiele lepszą zabawę, jeśli sama ją poszukasz — powiedział Michael Garfield. — Zwłaszcza jeżeli nie jesteś zupełnie pewna, czy istnieje.

— Stara pani Goodbody wie o niej wszystko. — Po chwili dodała: — Jest czarownicą.

— To prawda — potwierdził Michael Garfield. — Jest lokalną wiedźmą, *monsieur* Poirot. Wszędzie i zawsze jest jakaś lokalna czarownica. Zwykle same siebie tak nie nazywają, ale wszyscy o tym wiedzą. Przepowiadają przyszłość, rzucają czary na nasze begonie, powodują kurczenie się peonii, pozbawiają krowy mleka i podają napój miłosny.

— To była studnia życzeń — powtórzyła Miranda. — Ludzie zwykli tu przychodzić i wypowiadać swoje życzenia. Trzeba było trzykrotnie obejść ją tyłem. Nie było to łatwe, gdyż znajdowała się na zboczu. — Spoglądała w dal ponad głowami Poirota i Garfielda. — Znajdę ją pewnego dnia — powiedziała — nawet jeśli mi nie powiesz. Jest gdzieś tutaj, ale, jak powiedziała pani Goodbody, została zamknięta na siedem pieczęci już wiele lat temu. Stało się tak, ponieważ, jak mówiono, była niebezpieczna. Przed laty wpadło do niej dziecko, jakaś tam Kitty. Mógł wpaść jeszcze ktoś inny.

— Mów dalej — zachęcał Michael Garfield. — To ciekawa miejscowa historia, ale jest przecież inna studnia marzeń w Little Belling.

— Oczywiście — zgodziła się Miranda. — Wiem o niej wszystko. Jest bardzo popularna. Wszyscy

o niej wiedzą i to właśnie jest głupie. Ludzie wrzucają tam drobne, ale nie słyszą plusku, bo nie ma tam wody.

— Och, szkoda.

— Powiem wam, gdy ją znajdę — obiecała Miranda.

— Nie możesz ślepo wierzyć w to, co mówi czarownica. Nie sądzę, aby kiedykolwiek wpadło do studni jakieś dziecko. Pewnie spadł kot i się utopił.

Gdy będziemy brudni,

wskoczymy do studni,

raz, dwa, trzy,

pierwszy, kotku, ty

— Powiedziała Miranda wstając. — Muszę już iść. Mama czeka na mnie.

Zsunęła się ostrożnie z kamiennego wzgórka, uśmiechnęła się do obu mężczyzn i podążyła w dół ścieżką.

— Raz, dwa, trzy — powtarzał Poirot w zamyśleniu. — Michaelu Garfieldzie, każdy wierzy w to, w co chce wierzyć. Czy Miranda ma rację, czy nie?

Garfield spojrzał na niego w zadumie i uśmiechnął się.

— Ma rację — powiedział. — Jest tu studnia i do tego, tak jak powiedziała, zamknięta na siedem pieczęci. Przypuszczam, że mogła być niebezpieczna. Nie sądzę, aby kiedykolwiek była studnią życzeń. Myślę, że to odrobina fantazji pani Goodbody. Jest również drzewo życzeń lub raczej było niegdyś. Buk znajdujący się w połowie wysokości wzgórza. Ponoć należało go trzykrotnie okrążyć tyłem przed wypowiedzeniem życzenia.

— Co się z nim stało? Nikt go już nie obchodzi?

— Nie. O ile wiem, piorun uderzył w niego mniej więcej sześć lat temu i rozszarpał na dwoje. W ten sposób przeminęła piękna historia.

— Czy opowiadał pan o tym Mirandzie?

— Nie. Myślałem, że lepiej niech ma tę studnię. Czyż strzaskany buk dostarczyłby tyle radości?

— Czas na mnie — powiedział Poirot.

— Wraca pan do swego przyjaciela policjanta?

— Tak.

— Wygląda pan na zmęczonego.

— Jestem zmęczony — przyznał Poirot. — Jestem strasznie zmęczony.

— Byłoby panu wygodniej w butach płóciennych lub w sandałach.

— Ach, *ca, non*.

— Rozumiem. Ubranie jest punktem pańskiej ambicji. — Spojrzał na Poirota. — *Tout ensemble** prezentuje się bardzo dobrze, a szczególnie, jeżeli mogę o tym wspomnieć, pańskie wspaniałe wąsy.

— Cieszę się, że pan to zauważył.

— Rzucają się w oczy. Czy ktokolwiek mógłby ich nie zauważyć?

Poirot, przychyliwszy głowę na bok, odezwał się:

— Wspomniał pan, że robi pan ten rysunek, aby młodzianka Miranda nie zatarła się w pańskiej pamięci. Czy to oznacza, że zamierza pan opuścić to miejsce?

— Tak, myślałem o tym.

— Jednak wydaje mi się, że jest pan *bien placé ici*.*

— Oczywiście, że tak. Mam tutaj dom, niewielki, ale przez siebie projektowany, mam pracę, choć o wiele mniej satysfakcjonującą niż ta, do której przywykłem.

— Dlaczego pańska praca stała się mniej atrakcyjna?

— Ponieważ ludzie życzą sobie, abym robił coraz okropniejsze rzeczy. Chcą, abym upiększał ich ogrody lub projektował nowe wokół domów, które budują na zakupionych właśnie kawałkach ziemi.

— Czy zajmuje się pan ogrodem pani Drake?

— Chciała, abym to robił. Zasugerowałem jej kilka rzeczy i chyba zgodziła się z moją opinią. A jednak — dodał w zamyśleniu — nie dowierzam jej.

— Myśli pan, że nie pozwoliłaby panu na realizację pańskich pomysłów?

— Sądzę, że na pewno realizowałaby własne zamierzenia i choćby zgodziła się na moje pomysły, mogłaby nagle zażądać czegoś zupełnie odmiennego. Być może czegoś utylitarne, drogiego i na pokaz. Myślę, że zadręczyłaby mnie. Upierałaby się przy realizacji swoich pomysłów. Gdybym się nie zgodził, wybuchłaby awantura. Myślę więc, że lepiej wynieść się stąd wcześniej, zanim się pokłócę. Chodzi tu zresztą nie tylko o panią Drake, lecz również o innych sąsiadów. Mam już nazwisko i nie muszę tkwić w jednym miejscu. Mogę znaleźć sobie jakiś inny kąt w Anglii, lub nawet

w Normandii albo w Bretanii.

— Gdzieś, gdzie będzie pan mógł poprawiać naturę lub jej pomagać? Gdzieś, gdzie będzie pan mógł eksperymentować i sadzić przedziwne rośliny, które nigdy przedtem tam nie rosły, gdzie słońce ich nie wypali ani mróz nie zmrozi? Kawał jałowej ziemi, gdzie granie od nowa roli Adama będzie źródłem pańskiej radości? Czy nigdy nie zaznał pan spokoju?

— Nigdzie nie zagrzałem miejsca zbyt długo.

— Czy był pan kiedykolwiek w Grecji?

— Tak. Chciałbym tam znowu pojechać. Ogród na stoku greckiego wzgórza jest rzeczą wyjątkową. Mogą tam rosnąć niemal wyłącznie cyprysy. Jałowa skała. Lecz gdyby tylko chcieć, co by tam można stworzyć?

— Ogród godzin spaceru bogów...

— Tak. Czyżby umiał pan czytać w myślach, panie Poirot?

— Chciałbym, aby tak było. Jest tyle rzeczy, których chciałbym się dowiedzieć, ale i tyle, o których chciałbym nie wiedzieć.

— Mówi pan teraz o czymś całkiem prozaicznym?

— Niestety tak.

— Podpaleniu, morderstwie, nagłej śmierci?

— Mniej więcej. Nie sadzę, abym myślał o podpaleniu. Proszę mi powiedzieć, panie Garfield, czy mieszkając tu od dłuższego czasu, znał pan młodego człowieka nazywającego się Lesley Ferrier?

— Tak, pamiętam go. Zdaje się, że pracował w biurze prawniczym w Medchester? Fullerton, Harrison i Leadbetter. Młodszy urzędnik lub coś w tym rodzaju. Przystojny facet.

— Zdaje się, że zginął nagle?

— Tak. Zakłuto go któregoś wieczoru. Myślę, że to kłopoty z kobietami. Wszystkim wydaje się, że policja doskonale wie, kto to zrobił, ale nie może znaleźć dowodów. Związał się z jakąś Sandrą. Nie mogę sobie przypomnieć jej nazwiska. Jej mąż prowadził lokalną knajpkę. Miała romans z Lesleyem, po czym on znalazł sobie inną dziewczynę. Tak mówiono.

— I Sandrze się to nie podobało?

— No, nie. Niech pan weźmie pod uwagę, że był z niego niezły podrywacz. Zawsze kręciły się koło niego dwie lub trzy dziewczyny.

— Czy zawsze Angielki?

— Ciekawe, dlaczego pan o to pyta? Nie, nie sędzę, aby ograniczał się do Angielek, jeżeli tylko dziewczyny rozumiały mniej więcej, co do nich mówi, i on mógł je zrozumieć.

— Bez wątpienia od czasu do czasu zjawiają się tutaj w okolicy cudzoziemki.

— Oczywiście. Czy jest w ogóle jakaś okolica, gdzie by ich nie było? Dziewczyny *au pair* są częścią naszego codziennego życia. Brzydkie, ładne, uczciwe i nieuczciwe, takie, które są pomocą dla strapionych matek, i takie, które się do niczego nie nadają, i takie, które wychodzą i nie wracają.

— Jak to zrobiła Olga?

— Ma pan rację. Tak jak Olga.

— Czy Lesley był jej przyjacielem?

— A więc to pana interesuje? Tak, był, ale nie sędzę, aby pani Llewellyn-Smythe coś o tym wiedziała. Myślę, że Olga była ostrożna. Mówiła poważnie o kimś w swoim kraju, kogo zamierzała poślubić. Nie wiem, czy tak było naprawdę, czy też wymyśliła to sobie. Jak już powiedziałem, młody Lesley był atrakcyjnym mężczyzną i nie wiem, co sobie w Oldze upatrzył. Nie była piękna. A jednak — dodał po chwili — tkwiło w niej szczególne napięcie. Dla młodego Anglika, jak sędzę, mogło to być atrakcyjne. W każdym razie było dla Lesleya, z czego inne jego przyjaciółki nie były zadowolone.

— To ciekawe — powiedział Poirot. — Przypuszczałem, że pan może mi dostarczyć potrzebnych informacji.

Michael Garfield spojrział nań ze zdziwieniem.

— Dlaczego? Co to wszystko znaczy? Co ma z tym wszystkim wspólnego Lesley? Po co to grzebanie w przeszłości?

— Są rzeczy, które chciałoby się wiedzieć. Odkryć, jak powstawały. Sięgam nawet dalej wstecz, zanim Olga Seminoff i Lesley Ferrier zaczęli się spotykać w sekrecie przed panią Llewellyn-Smythe.

— Tego nie wiem na pewno. Mogę się tylko domyślać. Często się na nich natykałem, ale Olga nigdy mi się nie zwierzała. Lesleya Ferriera ledwie znałem.

— Chciałbym cofnąć się dalej w przeszłość. Zdaje się, że przydarzyło mu się kilka potknięć.

— Chyba tak. Przynajmniej tak tu w okolicy mówiono. Pan Fullerton przyjął go i miał nadzieję zrobić z niego uczciwego człowieka. To niezły facet, ten stary Fullerton.

— O ile wiem, Ferriera oskarżono o fałszerstwo? — Tak.

— Okolicznością łagodzącą było to, że po raz pierwszy złamał prawo. Miał chorą matkę lub ojca pijaka, czy coś podobnego. Tak czy inaczej, łatwo się z tego wywinął.

— Nigdy nie znałem szczegółów. Było to coś, czego z początku nie spostrzeżono. Dopiero potem księgowi przyłapali go. Wszystko to było niejasne. Tylko pogłoski. Fałszerstwo. Tak, oskarżono go o fałszerstwo. A potem, po śmierci pani Llewellyn–Smythe okazało się, że jej testament przedstawiony do urzędowego zatwierdzenia był sfalszowany.

— Tak, rozumiem, do czego pan zmierza. Stara się pan dopasować do siebie oba te fakty.

— Był to człowiek, któremu niemal udało się fałszerstwo i który został przyjacielem dziewczyny, która w przypadku zatwierdzenia testamentu odziedziczyłaby większość olbrzymiej fortuny.

— Tak. Tak to wygląda.

— Ponadto dziewczyna i człowiek, który dokonał fałszerstwa, musieli być dobrze zaprzyjaźnieni. Porzucił kochankę, aby związać się z cudzoziemką.

— A zatem sugeruje pan, że to właśnie Lesley Ferrier sfalszował testament.

— Czyż nie wydaje się to prawdopodobne?

— Przypuszczano, że Olga potrafiła świetnie kopiować pismo pani Llewellyn–Smythe, ale zawsze wydawało mi się, że to rzecz wątpliwa. Pisała odręcznie listy dla pani Llewellyn–Smythe, ale nie sądzę, aby były podobne. Na pewno podobieństwo nie było wystarczające, aby uznano je za prawdziwe. Sprawa wygląda inaczej, jeżeli współdziałała z Lesleyem. Wydaje mi się, że spełnił nieźle swoje zadanie i dufał, że wszystko się uda. Ale zapewne podobnie sądził, gdy popełnił pierwsze przestępstwo, i pomylił się. Pewnie więc nie udało mu się po raz drugi. Gdy sprawa narosła, prawnicy zaczęli robić trudności, a wezwani eksperci, po zbadaniu dowodów, zaczęli snuć wątpliwości, przypuszczam, że jej nerwy nie wytrzymały i pokłóciła się z Lesleyem. Potem związała, myśląc, że jemu przypadnie wypicie piwa, które razem nawarzyli. — Potrzęsnał gwałtownie głową i spytał: — Dlaczego z tymi wszystkimi pytaniami przyszedł pan do mnie, do mego pięknego ogrodu?

— Chciałem wiedzieć.

— Lepiej nie wiedzieć. Lepiej nigdy nie wiedzieć. Lepiej zostawić wszystko tak, jak jest. Nie wtrącać się i nie wściubiać swego nosa.

— Pragnie pan piękna — powiedział Herkules Poirot — piękna za wszelką cenę. Ja pragnę prawdy. Zawsze prawdy.

Michael Garfield roześmiał się.

— Idź do domu, do swoich policyjnych przyjaciół i zostaw mnie w moim rajcu. Nie nękać mnie dłużej, Szatanie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Poirot wspiał się na wzgórze. Nagle przestały go boleć stopy.

Myśli nabrały konkretnych kształtów, coś mu zaświtało. Zaczynały pasować do siebie rzeczy, między którymi od dawna przeczuwał istnienie powiązań; myślał o tych związkach, wiedział o nich, ale nie potrafił ich do końca zobaczyć. Nagle uświadomił sobie niebezpieczeństwo, które w każdej chwili może spaść na pewną osobę, jeżeli nie podejmie się odpowiednich kroków. Wielkie niebezpieczeństwo.

Elsbeth MacKay wyszła mu na spotkanie do drzwi.

— Wygląda pan na zmordowanego — powiedziała. — Proszę wejść i usiąść.

— Czy pani brat jest w domu?

— Nie. Zszedł na dół, na posterunek. Zdaje się, że coś się zdarzyło.

— Coś się zdarzyło? — zdumiał się. — Tak szybko? Niemożliwe!

— Co pan przez to rozumie? — spytała Elspeth.

— Nic. Nic. Czy komuś coś się przytrafiło?

— Tak, ale nie wiem nic bliższego. Tim Raglan zadzwonił i poprosił brata, aby zszedł na dół. Czy mogę podać panu filiżankę herbaty?

— Nie, dziękuję bardzo — odpowiedział Poirot. — Chyba pójdę do domu.

Nie miał zupełnie ochoty na ciemną, gorzką herbatę i szukał w myślach odpowiedniej wymówki, aby odmówić w miarę delikatnie.

— Moje nogi — tłumaczył. — Moje stopy. Nie mam odpowiedniego obuwia do wędrowki w terenie. Będę jednak musiał zmienić buty.

Elsbeth MacKay spojrzała w dół, na jego buty.

— Tak, widzę, że są nieodpowiednie. Lakierki pana uciskają. A przy okazji, jest list do pana. Z zagranicznymi znaczkami. Przyszedł z zagranicy, zaadresowany do nadinspektora Spence'a w Pine Crest. Przyniosę go.

Wróciła po chwili, niosąc list.

— Jeżeli nie potrzebuje pan koperty, wezmę jądlą jednego z moich bratanków. Zbiera znaczki.

— Ależ oczywiście. — Poirot otworzył list i oddał jej kopertę. Podziękowała i wróciła do domu.

Poirot rozwinął papier i przeczytał.

Służba zagraniczna pana Goby'ego działała równie sprawnie jak funkcjonariusze w Anglii. Nie szczędziła wysiłków i szybko uzyskiwała rezultaty. Niestety, nie były one wielkie, zresztą Poirot nie spodziewał się niczego innego.

Olga Seminoff nie powróciła do rodzinnego miasta. Z jej rodziny już nikt nie pozostał przy życiu. Miała przyjaciółkę, starszą kobietę, z którą sporadycznie korespondowała, informując o swoim życiu w Anglii, o tym, że dobrze jej się układało z chlebodawczynią, która, choć od czasu do czasu wymagająca, potrafiła być szczodra.

Ostatnie listy od Olgi pochodziły sprzed półtora roku. Wspominała w nich o jakimś młodym człowieku. Robiła aluzje do małżeństwa, ale, jak pisała, młodzieniec ów, którego nazwiska nigdy nie wspomniała, miał jeszcze pewne sprawy do załatwienia, co nie pozwalało na ustalenie dokładnej daty. W ostatnim liście uszczęśliwiona pisała, że otwiera się przed nią świetna perspektywa. Nie otrzymawszy więcej listów, starsza kobieta pomyślała, że Olga poślubiła swojego Anglika i zmieniła adres. Często się to zdarzało z dziewczętami, które wyjechały do Anglii. Jeżeli szczęśliwie wychodziły za mąż, — nie odzywały się więcej. Dlatego się nie niepokoiła.

Wszystko pasuje, pomyślał Poirot Lesley napomknął o małżeństwie, ale pewnie nie myślał o nim. Pani Llewellyn-Smythe została nazwana „szczodrą”. Lesley został opłacony przez kogoś, zapewne przez Olgę (pieniężmi otrzymanymi od jej chlebodawczyni) i skłoniony do popełnienia fałszerstwa na jej korzyść.

Elsbeth MacKay ponownie wyszła na taras. Poirot skonsultował z nią przypuszczenia na temat współdziałania Olgi z Lesleyem.

Zastanowiła się przez chwilę i rzekła głosem wyroczeni:

— Niech pan będzie z tym bardzo ostrożny. Nigdy nie było na ich temat żadnych plotek, a przed tym trudno się uchronić w takiej miejscowości jak ta.

— Młody Ferrier był związany z zamężną kobietą. Mógł ostrzec dziewczynę, aby nie wspominała o nim swojej pani.

— Bardzo prawdopodobne. Pani Smythe wiedziała zapewne, że Lesley Ferrier jest złym człowiekiem, i ostrzegłaby dziewczynę przed wiązaniem się z nim w jakikolwiek sposób.

Poirot złożył list i schował go do kieszeni.

— Może jednak poczęstuję pana herbatą.

— Nie, nie. Dziękuję. Muszę wracać do pensjonatu i zmienić buty. Nie wie pani, kiedy wróci pani brat?

— Nie mam pojęcia. Nie powiedzieli mu, czego od niego chcą.

Poirot wrócił do pensjonatu. Odległość ta nie przekraczała kilkuset jardów. Kiedy podszedł do frontowych drzwi, dostrzegł, że są otwarte. Jego gospodyni, niezwykle serdeczna kobieta po trzydziestce, wyszła mu naprzeciw.

— Ktoś czeka na pana — powiedziała. — Siedzi tu już dłuższy czas. Mówiłam, że nie wiem, kiedy dokładnie pan wyszedł i kiedy wróci, ale ona odpowiedziała, że poczeka. To pani Drake — dodała. — Jest taka wzburzona. Zawsze taka spokojna w każdej sytuacji, ale teraz myślę, że naprawdę przeżyła jakiś szok. Siedzi w salonie. Czy podać herbatę lub coś innego?

— Nie, dziękuję — odparł Poirot. — Chyba lepiej nie. Najpierw posłucham, z czym przyszła.

Otworzył drzwi i wszedł do salonu. Rowena Drake siedziała koło okna. Nie wychodziło na drogę, więc nie widziała, że wrócił. Odwróciła się gwałtownie, słysząc skrzypnięcie drzwi.

— *Monsieur* Poirot. Nareszcie. Mam wrażenie, że czekam tu już całe wieki.

— Przepraszam, madame. Byłem w Quarry Wood i rozmawiałem z moją przyjaciółką, panią Oliver. Potem widziałem się z dwoma młodzieńcami, Nicholasem i Desmondem.

— Nicholasem i Desmondem? Ach tak, wiem. Niepokoję się... Och! Tyle myśli kołaczę się po głowie.

— Jest pani wzburzona — zauważył grzecznie Poirot.

Nie sądził, że kiedykolwiek zobaczy coś takiego. Rowena Drake wzburzona, nie panująca już nad sytuacją, nie narzucająca wszystkim swoich decyzji.

— Czy już pan słyszał? — spytała. — Ach, pewnie jeszcze nie.

— Co miałem słyszeć?

— Coś okropnego. On nie żyje. Ktoś go zabił.

— Kto nie żyje, *madame!*

— A więc naprawdę nic pan nie słyszał. I to także dziecko, a ja myślałam... Och, jaka jestem głupia. Powinnam panu powiedzieć. Powinnam panu powiedzieć, gdy mnie pan pytał. Dlatego czuję się straszliwie, straszliwie winna, bo myślę, że byłam najlepiej ze wszystkich zorientowana. Ja naprawdę chciałam jak najlepiej, *monsieur* Poirot.

— Proszę usiąść, *madame*. Proszę się uspokoić i opowiedzieć. Czy następne dziecko nie żyje?

— Jej brat, Leopold — powiedziała pani Drake.

— Leopold Reynolds?

— Tak. Znalezione jego ciało przy jednej z polnych ścieżek. Musiał wracać ze szkoły i zszedł na bok, aby pobawić się w pobliskim strumyku. Przytrzymało mu głowę pod wodą.

— Spotkało go to samo, co Joyce.

— Tak, tak. Jak widzę, to musi być... to musi być pewnego rodzaju szaleństwo. I nie wiadomo kto. To właśnie jest straszne. Nikt nie ma najmniejszego pojęcia. A ja chyba wiedziałam. Ja naprawdę wiedziałam. To okropne.

— Musi mi pani powiedzieć, *madame*.

— Tak, dlatego tutaj jestem. Dlatego przyszedłam do pana. Ponieważ, widzi pan, przyszedł pan do mnie po rozmowie z Elizabeth Whittaker. Elizabeth powiedziała panu, że coś mnie zdumiało, że coś zobaczyłam. Coś w holu mojego domu. Powiedziałam, że nic mnie nie zdziwiło i nic nie widziałam, dlatego że, widzi pan, myślałam... — zamilkła nagle.

— Co pani widziała?

— Powinnam panu wtedy to powiedzieć. Zobaczyłam, że drzwi biblioteki otworzyły się ostrożnie i on wyszedł. Właściwie to nie wyszedł. Stał w drzwiach, a potem szybko pociągnął je z powrotem do siebie i cofnął się do środka.

— Kto to był?

— Leopold. Leopold, dziecko, które teraz zabito. I, widzi pan, myślałam, że... Och, co za błąd, co za straszny błąd. Gdybym panu powiedziała, może odgadłby pan, co się za ty m kryło.

— Co pani wtedy myślała? — spytał Poirot. — Sądziła pani, że to Leopold zabił swoją siostrę? Czy tak?

— Tak, tak myślałam. Oczywiście nie wtedy, bo jeszcze nie wiedziałam, że Joyce nie żyje. Leopold miał dziwny wyraz twarzy. Zawsze był dziwnym dzieckiem. Obawiano się go, bo czuło się, że coś z nim nie jest w porządku. Bardzo zdolny, o wysokim ilorazie inteligencji, ale nie wszystko było z nim w porządku. Pomyślałam: „Dlaczego Leopold jest tutaj, zamiast bawić się w łapanie rodzynek?” Pomyślałam również: „Co on tu robi? Dlaczego tak dziwnie wygląda?” A potem, tak, a potem o tym nie myślałam, ale przypuszczam, że jego wygląd mnie zdenerwował. Dlatego upuściłam wazon. Elizabeth pomogła mi pozbierać kawałki szkła. Wróciłam do zabawy z płonącymi rodzynekami i nie myślałam o tym więcej. Aż do znalezienia Joyce. I wtedy pomyślałam...

— Pomyślała pani, że zrobił to Leopold?

— Tak. To właśnie przyszło mi do głowy. Pomyślałam, że dlatego tak wyglądał, że to absolutnie pewne. Tak już ze mną jest. Przez całe życie zbyt często uważam, że wszystko wiem i mam zawsze rację. A mogę się mylić. Zresztą widzi pan, że jego śmierć świadczy o czymś zgoła odmiennym. Musiał tam wejść i znaleźć Joyce martwą. To był dla niego straszny szok. Przestraszył się i starał się wyjść niepostrzeżenie. Pewnie spojrzął do góry i spostrzegłszy mnie, cofnął się do pokoju i zamknął drzwi. Odczekał, aż hol opustoszał, i wyszedł. Ale nie dlatego, że ją zabił. Był w szoku, bo znalazł

Joyce martwą.

— I nic pani nie powiedziała. Nie wspomniała pani o tym, co widziała, nawet po odkryciu trupa?

— Nie. Och, nie mogłam. On jest... on jest taki młody. Pewnie powinnam powiedzieć: on był taki młody. Miał dziesięć, może jedenaście lat. Czułam, że nie mógł wiedzieć, co robi, i nie mógł w pełni odczuć swojej winy. Nie był jeszcze ale myślę, że należało go leczyć i nie zostawiać wszystkiego policji, nie posyłać do zakładu poprawczego. Jeżeli to niezbędne, należało go poddać specjalnej opiece psychologów. Chciałam dobrze. Musi mi pan uwierzyć, że chciałam dobrze.

Co za gorzkie słowa, pomyślał Poirot. Jedne z najbardziej przepełnionych żalem, jakie kiedykolwiek słyszał. Pani Drake zdawała się czytać w jego myślach.

— Tak — powiedziała — „zrobiłam, jak można było najlepiej”, „chciałam dobrze”. Zawsze się myśli, że wie się najlepiej ze wszystkich, ale to nieprawda. Widzi pan, wyglądał na zaskoczonego, bo albo widział mordercę, albo coś, co mogło naprowadzić na jego ślad. Coś, co powodowało, że morderca nie czuł się pewnie. Więc zdybał gdzieś tego chłopca i utopił go, zanim biedak zdążył krzyknąć. Gdybym tylko o tym powiedziała panu albo na policji, albo komuś innemu, ale myślałam, że tak właśnie będzie najlepiej.

Przez dłuższy czas Poirot siedział w milczeniu, spoglądając na panią Drake, która próbowała powstrzymać się od szlochu. W końcu odezwał się:

— Właśnie dzisiaj powiedziano mi, że ostatnio Leopold miał dużo pieniędzy. Ktoś musiał opłacać jego milczenie.

— Ale kto? Kto?

— Wkrótce się dowiemy — odpowiedział Poirot. — To już nie potrwa długo.

Rozdział dwudziesty drugi

Pytanie innych o zdanie nie było zachowaniem charakterystycznym dla Herculeśa Poirot. Zwykle wystarczały mu jego własne opinie. A jednak czasami robił wyjątki. Tak było i tym razem. Odbył ze Spence'em krótką rozmowę, po której skontaktował się z agencją wynajmu samochodów i po ponownej krótkiej rozmowie ze swoim przyjacielem i inspektorem Raglanem odjechał. Samochód miał go zawieźć do Londynu, zatrzymał się jednak na krótko po drodze. Zajechał do willi Elms. Zapewnił kierowcę, że to nie potrwa dłużej niż kwadrans, i poszedł do panny Emlyn.

— Przykro mi, że przeszkadzam o tej porze. To niewątpliwie czas pani obiadu, czy może kolacji.

— Może pan to poczytać za komplement, ale jestem pewna, że nie niepokoiłby mnie pan w czasie obiadu lub kolacji bez ważnej przyczyny.

— Jest pani bardzo uprzejma. Mówiąc szczerze, potrzebuję pani rady.

— Naprawdę?

Panna Emlyn wyglądała na lekko zdziwioną. Właściwie na więcej niż zdziwioną, wyglądała na nastawioną sceptycznie.

— To nie jest do pana podobne, *monsieur* Poirot. Czyż zwykle nie wystarczają panu własne opinie?

— Tak, wystarczają. Jest jednak bardzo pomocne, jeżeli ktoś, kogo zdanie szanuję, zgadza się ze mną.

Nie powiedziała ani słowa, przyglądając się mu badawczo.

— Wiem, kto zabił Joyce Reynolds — powiedział — i wierzę, że pani również wie.

— Tego nie powiedziałam — stwierdziła panna Emlyn.

— Nie, nie powiedziała pani i to prowadzi mnie do przekonania, że z pani strony jest to tylko przypuszczenie.

— Przeczucie? — dopytywała się panna Emlyn lodowatym tonem.

— Wolałbym nie używać tego słowa. Wolałbym powiedzieć, że ma pani na ten temat określone zdanie.

— A więc bardzo dobrze. Przyznaję, że mam sprecyzowaną opinię, ale to nie oznacza, że ją panu wyjawię.

— *Mademoiselle*, chciałbym jedynie napisać cztery słowa na kawałku papieru. Potem spytam panią, czy zgadza się pani z tym, co napisałem.

Panna Emlyn wstała. Przeszedłszy przez pokój, wzięła z biurka kartkę i podała ją Poirotowi.

— Cztery słowa — powiedziała. — Intryguje mnie pan. Poirot wyjął pióro z kieszeni. Napisał coś na papierze, który następnie złożył i podał jej. Panna Emlyn przeczytała jego notatkę. — I co? — spytał.

— Zgadzam się z dwoma pierwszymi. Dwa następne to sprawa trudniejsza. Nie ma żadnych dowodów i poza tym nigdy nie przyszło mi to na myśl.

— Ale w wypadku dwóch pierwszych słów ma pani konkretne dowody?

— Uważam, że tak.

— Woda — powiedział Poirot w zamyśleniu. — Wiedziałem, gdy tylko o tym usłyszałem. Pani również. Pani jest pewna i ja jestem pewien. A teraz — dodał — chłopca utopiono w strumieniu. Czy słyszała pani o tym?

— Tak. Ktoś mnie poinformował telefonicznie. To brat Joyce. W jaki sposób został w to wciągnięty?

— Chciał pieniędzy — poinformował Poirot. — Dostał je, a potem, przy najbliższej sposobności, został utopiony w strumieniu. — Głos mu nie zadrżał. Nawet stwardniał nieco. — Osoba, która mi o tym opowiedziała, była pełna współczucia. Silnie wzburzona. Ja tego nie odczuwam. Był młodzieńkiem, był drugim zabitym dzieckiem, ale jego śmierć nie była przypadkiem. Była, jak wiele rzeczy w jego życiu, konsekwencją postępowania. Chciał pieniędzy i zaryzykował. Był wystarczająco bystry i przenikliwy, aby wiedzieć, że podejmuje ryzyko, ale pragnienie posiadania pieniędzy zwyciężyło. Miał dziesięć lat, ale to samo przydarza się trzydziesto-, pięćdziesięcio- i dziewięćdziesięciolatkom. Czy pani wie, jakie są moje odczucia w takich wypadkach?

— Zapewne — powiedziała panna Emlyn — kieruje się pan bardziej sprawiedliwością niż współczuciem.

— Moje współczucie — stwierdził — w niczym by nie pomogło Leopoldowi. Jest już poza tym. Sprawiedliwość, jeżeli uda się ją wymierzyć, bo wierzę, że mamy podobne pragnienia, również mu nie pomoże. Ale może pomoże jakiemuś innemu Leopoldowi i pozwoli zachować inne dziecko przy życiu, jeżeli będziemy działać wystarczająco szybko. Nie jest to bezpieczne. Morderca zabił wielokrotnie i zabijanie uznał za najlepszą ochronę własnego bezpieczeństwa. Jadę teraz do Londynu, aby przedyskutować z kilkoma osobami metodę postępowania. Chcę ich przekonać, że na pewno mam rację.

— To może być trudne — stwierdziła panna Emlyn.

— Nie sądzę. Sposoby działania mogą być trudne, ale sądzę, że bez trudności przekonam ich do swojej interpretacji zdarzeń. Chciałbym panią jeszcze o coś zapytać, poznać pani zdanie. Tym razem

tylko opinię, bez żadnych dowodów. Co pani sądzi o Nicholasie Ransomie i Desmondzie Hollandzie? Czy uważa pani, że można im zaufać?

— Myślę, że obaj są całkowicie wiarygodni. W wielu wypadkach postępują straszliwie głupio, ale tylko w sprawach powierzchownych. Dusze mają zdrowe. Zdrowe jak jabłka bez żadnego robaka.

— Zawsze wracamy do jabłek — powiedział ponuro Herkules Poirot. — Muszę już iść. Mój samochód czeka. Czeka mnie też jeszcze jedna rozmowa.

Rozdział dwudziesty trzeci

1

— Czy słyszała pani, co się dzieje w Quarry Wood? — spytała pani Cartwright, wkładając do torby z zakupami paczkę płatków śniadaniowych i proszku do prania.

— Quarry Wood? — zdziwiła się pani Elspeth MacKay, do której pytanie było skierowane. — Nie, nie słyszałam nic szczególnego — powiedziała, biorąc pudełko płatków zbożowych.

Rozmowa toczyła się w nowo otwartym supermarkecie, gdzie obie kobiety robiły poranne zakupy.

— Mówią, że tamtejsze drzewa są niebezpieczne. Dzisiaj z rana przyjechała para ludzi z leśnictwa. To tam, gdzie zbrocze pagórka jest strome i drzewa się pochylają. Przypuszczam, że może chodzi o to, że drzewa mogą się złamać. Ostatniej zimy jedno z nich zostało trafione przez piorun, ale myślę, że to było dalej. Kopią wokół korzeni, a nawet trochę głębiej. Szkoda. Narobią bałaganu.

— Ach tak — odparła Elspeth MacKay. — Mam nadzieję, że chociaż wiedzą, co robią. Pewnie ktoś im kazał.

— Jest tam dwóch policjantów, którzy pilnują, żeby ludzie nie podchodzili bliżej i trzymali się z daleka. Mówią coś o sprawdzeniu drzew, które są najbardziej chore.

— Rozumiem — mruknęła Elspeth MacKay.

Być może zrozumiała naprawdę. Wcale nie dlatego, że ktoś jej coś powiedział. Elspeth MacKay nigdy nie musiała czekać na informacje.

Ariadna Oliver wygładziła telegram, który jej właśnie dostarczono. Tak dalece przywykła do otrzymywania telegramów telefonicznie, szaleńczych poszukiwań ołówka, aby zanotować treść, i nalegała na przysłanie kopii potwierdzającej, że zdumiała się, otrzymując coś, co mogła nazwać prawdziwym telegramem.

PROSZĘ NATYCHMIAST ZABRAĆ PANIĄ BUTLER I MIRANDĘ DO SIEBIE DO DOMU. NIE MA CZASU DO STRACENIA. TRZEBA NATYCHMIAST UDAĆ SIĘ DO LEKARZA W SPRAWIE OPERACJI.

Weszła do kuchni, gdzie Judith Butler przygotowywała galaretkę z pigw.

— Judy — powiedziała pani Oliver — spakuj trochę rzeczy. Wracam do Londynu, a ty i Miranda pojedziecie ze mną.

— To bardzo miło z twojej strony, Ariadno, ale mam tu masę rzeczy. Poza tym nie musisz chyba wyjeżdżać dzisiaj?

— Tak, muszę. Kazano mi — odpowiedziała pani Oliver.

— Kto ci kazał? Twoja gospoia?

— Nie — odparła pani Oliver — kto inny. Jedna z niewielu osób, którym jestem posłuszna. No, szybko. Ruszajcie się.

— Nie mam ochoty wyjeżdżać teraz z domu. Nie mogę.

— Ja muszę jechać — powiedziała pani Oliver. — Samochód jest przygotowany. Podjadę pod frontowe drzwi. Możemy już wyruszyć.

— Nie sądzę, abym mogła wziąć Mirandę. Mogę ją tutaj z kimś zostawić, na przykład z Reynoldsami albo z Roweną Drake.

— Miranda jedzie z nami — przerwała rozkazująco pani Oliver. — Nie rób trudności, Judith. To nie zabawa. Nie rozumiem, jak w ogóle możesz zastanawiać się nad zostawieniem jej z Reynoldsami. Czyż dwoje z ich dzieci nie zostało zamordowanych?

— Tak, tak. To prawda. Myślisz, że źle się dzieje z tą rodziną? To znaczy, czy jest ktoś, kto... Och, co o tym myślisz?

— Za dużo mówimy — stwierdziła pani Oliver. — Jednak — dodała — jeżeli ktoś jeszcze ma zginąć, będzie to prawdopodobnie Anna Reynolds.

— Co się dzieje z tą rodziną? Dlaczego mają ginąć jedno po drugim? Och, Ariadno, to przerażające!

— Tak — zgodziła się pani Oliver — nadszedł czas, gdy trzeba się bać. Właśnie otrzymałam telegram i działałam zgodnie z otrzymanymi poleceniami.

— Och, nie słyszałam telefonu.

— Nie przesłano go telefonicznie. Przyniesiono z poczty. Zawahała się przez moment, po czym podała go przyjaciółce.

— Co to znaczy? Jaka operacja?

— Zapewne migdalki — odpowiedziała pani Oliver. — Przecież Miranda miała kłopoty z gardłem w ostatnim tygodniu. Cóż bardziej prawdopodobnego niż to, że powinna pójść na konsultację do laryngologa w Londynie?

— Czyś ty oszalała, Ariadno?

— Możliwe — odparła pani Oliver. — Może po prostu oszalałam. No, ruszajcie się. Miranda będzie zadowolona z wyjazdu do Londynu. Nie martw się. Nie będzie miała żadnej operacji. W historiach szpiegowskich nazywa się to zmyleniem przeciwnika. Zabierzemy ją do teatru, na operę lub balet, zgodnie z jej upodobaniami. Myślę, że najlepiej byłoby pokazać jej balet.

— Strach mnie ogarnia — przyznała Judith.

Ariadna Oliver spojrzała na przyjaciółkę. Drżała lekko. Pomyślała, że teraz bardziej niż kiedykolwiek przypomina rusałkę. Wyglądało na to, że traci kontakt z rzeczywistością.

— No, rusz się — poganiała pani Oliver. — Obiecałam Herkulesowi Poirot, że przywiozę was, kiedy da mi znać.

— Co się dzieje? — spytała Judith. — Nie mogę zrozumieć, po co tu w ogóle kiedyś przyjechałam.

— Też mnie to zastanawia — przyznała pani Oliver — ale to doprawdy nie mieści się w głowie, gdzie ludzie czasami znajdują sobie dom. Jeden z moich przyjaciół przeniósł się któregoś dnia do Moreton-in-the-Marsh. Spytałam go, dlaczego chce tam mieszkać. Odpowiedział, że zawsze o tym myślał. Przeniósł się, gdy przeszedł na emeryturę. Przyznaję, że nigdy tam nie byłam, ale kojarzy mi się z jakimiś moczarami. Co go tam naprawdę ściągnęło? Powiedział, że nie wie, bo nigdy tam przedtem nie był. Ale zawsze chciał tam mieszkać. Był całkowicie normalny.

— Przeniósł się tam?

— Tak.

— Spodobało mu się, gdy się tam znalazł?

— Jeszcze nie miałam od niego wiadomości — powiedziała pani Oliver. — Ale ludzie są jednak bardzo dziwni. Prawda? Rzeczy, które chcą robić, i rzeczy, które muszą robić... — Wyszła do ogrodu i zawołała: — Mirando, wyjeżdżamy do Londynu.

Miranda podeszła do nich powoli.

— Jedziemy do Londynu?

— Ariadna nas tam zabierze — powiedziała matka. — Obejrzymy przedstawienie w teatrze. Pani Oliver sądzi, że dostanie bilety na balet. Czy chciałabyś zobaczyć balet?

— To byłoby wspaniałe — odpowiedziała Miranda z płonącymi oczyma. — Ale najpierw muszę pożegnać się z jednym z moich przyjaciół.

— Wyjeżdżamy właściwie natychmiast.

— Och, nie będę aż tak długo, ale muszę wytłumaczyć. Obiecałam coś zrobić.

Pobiegła w dół ogrodu i zniknęła za furtką.

— Kim są przyjaciele Mirandy? — spytała pani Oliver z zaciekawieniem.

— Nigdy nie wiem naprawdę — odpowiedziała Judith. — Wiesz, że pewnych rzeczy nigdy nie mówi. Czasami myślę, że jedynie jej przyjaciele i ptaki oglądane w lesie mają dla niej znaczenie. Wiewiórki i temu podobne. Sądzę, że wszyscy ją lubią, ale nie sądzę, aby miała jakichś szczególnych przyjaciół. Mam na myśli to, że nie przyprowadza żadnych przyjaciółek na herbatę. Nie tak jak inne dziewczęta. Zdaje się, że jej najlepszą przyjaciółką była Joyce Reynolds. Joyce zwykle opowiadała jej niezwykle historie o słoniach i tygrysach — dodała ironicznie. Wstając powiedziała: — A więc sądzę, że należy się spakować, skoro tak nalegasz. Ale nie chce mi się stąd wyjeżdżać. Zaczęłam i nie skończyłam wielu rzeczy, choćby tej galaretki.

— Musisz jechać — stwierdziła pani Oliver. Była co do tego święcie przekonana.

Kiedy Judith zeszła na dół z parą walizek, Miranda wpadła bez tchu przez boczne drzwi.

— To nie zjemy najpierw lunchu? — spytała z niezadowoleniem.

Pomimo wyglądu leśnego elfa była zdrowym dzieckiem, lubiącym dobrze zjeść.

— Zatrzymamy się na lunch po drodze — powiedziała pani Oliver. — Zjemy w „Czarnym Chłopcu” w Haversham. Karmią tam całkiem dobrze, a będziemy tam mniej więcej za trzy kwadranse. Rusz się, Mirando. Wyjeżdżamy.

— Nie będę miała czasu, aby powiedzieć Cathie, że nie pójdę z nią jutro do kina. A może mogłabym do niej zadzwonić?

— Dobrze, ale pospiesz się — powiedziała matka.

Judith i pani Oliver układały walizki w samochodzie.

Miranda podbiegła do telefonu umieszczonego w salonie. Po chwili wróciła i powiedziała dysząc:

— Zostawiłam dla niej wiadomość. Teraz wszystko w porządku.

— Myślę, Ariadno, że jesteś szalona — stwierdziła Judith. — Zupełnie szalona. Co to wszystko znaczy?

— Przypuszczam, że dowiemy się we właściwym czasie — odpowiedziała pani Oliver. — Nie wiem, czy ja jestem szalona, czy on.

— Kto?

— Herkules Poirot — odparła pani Oliver.

W Londynie Herkules Poirot siedział właśnie w pokoju w towarzystwie czterech mężczyzn. Jednym z nich był inspektor Timothy Raglan, pełen szacunku, z twarzą pokerzysty, jak zwykle w towarzystwie zwierzchników, drugim był nadinspektor Spence, trzecim Alfred Richmond, naczelnik policji hrabstwa, a czwartym mężczyzna o ostrej, beznamiętnej twarzy pracownika prokuratury. Spoglądali na Herkulesa Poirota z pewną obojętnością lub zgoła bez wyrazu.

— Czy jest pan całkiem pewien, *monsieur* Poirot?

— Najzupełniej — odrzekł Poirot. — Zdarzenia same układają się według określonego scenariusza i możemy jedynie szukać powodów, które zmienią nasze widzenie sprawy. Jeżeli ich nie znajdziemy, umacniamy się w swojej opinii.

— Motywy wydają się nieco złożone, jeżeli mogę tak powiedzieć.

— Nie — odpowiedział Poirot — nie są naprawdę złożone. Są tak proste, że trudno je zauważyć.

Dżentelmen wyglądający na prawnika spojrzał sceptycznie.

— Wkrótce będziemy mieli pierwszy dowód rzeczowy — powiedział inspektor Raglan. — Oczywiście, jeżeli popełniono pomyłkę...

— I studnia jest pusta? Czy to pan chciał powiedzieć? — spytał Herkules Poirot.

— Musi pan przyznać, że to tylko pański domysł.

— Wszystko wskazuje na to, że mam rację. Niewiele jest powodów, dla których dziewczyna znika. Po pierwsze, może uciec z mężczyzną. Po drugie, może być martwa. Wszystkie inne wyjaśnienia są bardzo naciągane i zwykle nieprawdziwe.

— Czy jeszcze na coś innego chciałby pan zwrócić naszą uwagę, *monsieur* Poirot?

— Skontaktowałem się ze znaną agencją handlu nieruchomościami. To moi przyjaciele, którzy zajmują się nieruchomościami w Indiach Zachodnich, nad Morzeni Egejskim, Adriatykiem, Morzem Śródziemnym i w innych miejscach. Specjalizują się w terenach dobrze nasłonecznionych i mają raczej bogatych klientów. Oto ostatni zakup, który może panów zainteresować.

Wręczył im złożony papier.

— Myśli pan, że to ma jakiś związek ze sprawą?

— Jestem pewien, że tak.

— Myślałem, że rząd tego kraju zakazał sprzedaży wysp.

— Pieniądze zwykle umożliwiają ominięcie zakazów.

— Czy to wszystko, co może pan nam teraz przedstawić?

— Prawdopodobnie w ciągu dwudziestu czterech godzin będę miał coś, co zakończy sprawę.

— A co to takiego?

— Świadek.

— Myśli pan...

— O naocznym świadku zbrodni.

Prawnik spojrzał na Poirota z milczącym niedowierzaniem.

— A gdzie jest teraz pański świadek?

— Wierzę, że w drodze do Londynu.

— Wydaje się, że jest pan zaniepokojony.

— To prawda. Zrobiłem, co mogłem, aby zapanować nad sytuacją, ale mam obawy. Tak, boję się, pomimo podjętych środków ostrożności. Ponieważ, panowie — jak by to określić? — mamy przed sobą przeciwnika bezlitosnego, szybko reagującego, o żądzy posiadania przekraczającej zwykłe ludzkie granice; nie jestem pewien, ale, być może, tkniętego szaleństwem. Nie naturalnym, lecz wyhodowanym. Jak ziarno, które zapaściło korzenie i rośnie szybko. Teraz zapewne podjął wyzwanie, inspirowany przez swoje nieludzkie podejście do życia.

— Będziemy potrzebowali kilku dodatkowych opinii na ten temat — stwierdził prawnik. — Nie możemy pędzić na oślep. Oczywiście wiele zależy od leśników. Jeżeli wypowiedzą się pozytywnie, będziemy musieli przemyśleć to od nowa.

Herkules Poirot wstał.

— Muszę panów opuścić. Powiedziałem panom wszystko, co wiem i co przypuszczam, i co obawiam się, że może się zdarzyć. Będę z panami w kontakcie.

Podał wszystkim rękę z cudzoziemską skrupulatnością i wyszedł.

— Ten człowiek wygląda na szarlatana — stwierdził prawnik. — Czy nie sądzicie, panowie, że on sam jest nieco stuknięty? Że ma trochę źle w głowie? Poza tym jest już stary. Nie wiem, jak można polegać na zdolnościach kogoś w tym wieku.

— Myślę, że możemy jednak na nim polegać — odezwał się naczelnik policji. — Przynajmniej takie mam wrażenie. Spence, znamy się już tyle lat. Jesteś jego przyjacielem. Czy dostrzegasz u niego uwiad starczy?

— Nie, skądże? — odpowiedział nadinspektor Spence. — A co pan sądzi, Raglan?

— Spotkałem go dopiero niedawno, panie nadinspektorze. Najpierw myślałem, że jego sposób mówienia i jego pomysły są fantastyczne, ale zmieniłem zdanie. Myślę, że udowodni, iż ma rację.

Rozdział dwudziesty czwarty

W „Czarnym Chłopcu” pani Oliver znalazła sobie zaciszny kąt przy stole, koło okna. Było jeszcze wcześniej, więc sala nie była zapełniona. Judith Butler wróciła właśnie po upudrowaniu nosa i przeglądała menu.

— Co lubi Miranda? — spytała pani Oliver. — Myślę, że możemy coś dla niej zamówić? Wróci chyba za chwilę.

— Lubi pieczone kurczaki.

— Więc nie będzie z nią kłopotu. A co dla ciebie?

— Wezmę to samo.

— Trzy pieczone kurczaki — zamówiła pani Oliver. Odchyliła się do tyłu, przyglądając się swej przyjaciółce.

— Dlaczego mi się tak przyglądasz?

— Myślę — odpowiedziała pani Oliver.

— Myślisz? O czym?

— Myślę o tym, jak mało o tobie wiem.

— Tak jest ze wszystkimi. Nie sadsisz?

— Masz na myśli to, że nigdy nie wie się wszystkiego o innych?

— Tak, właśnie o tym.

— Może masz rację — przyznała pani Oliver.

Obie kobiety zamilkły na chwilę.

— Chyba już podają — zauważyła pani Oliver.

Podeszła kelnerka z zastawioną tacą.

— Mirandy nie ma już dość długo. Czy wie, gdzie jest sala restauracyjna?

— Tak, oczywiście. Widziała ją po drodze.

Judith wstała gwałtownie.

— Pójdę po nią.

— Chyba zrobiło się jej niedobrze w samochodzie.

— Od dzieciństwa przywykła do jeżdżenia.

Powróciła po czterech lub pięciu minutach.

— Nie ma jej w damskiej toalecie — powiedziała. — Wewnątrz są drzwi prowadzące do ogrodu. Pewnie wyszła popatrzeć na ptaki lub coś podobnego. Już taka jest.

— Dzisiaj nie ma czasu na przyglądanie się ptakom — powiedziała pani Oliver. — Idź i zawołaj ją. Musimy ruszać.

Elsbeth MacKay nakłuła widelcem kilka kielbasek, ułożyła je w brytfance, wsunęła do piekarnika i zaczęła obierać ziemniaki.

Zadzwonił telefon.

— Czy to pani MacKay? Mówi sierżant Goodwin. Czy zastałem pani brata?

— Nie. Jest dzisiaj w Londynie.

— Dzwoniłem tam do niego, ale już wyjechał. Kiedy wróci, proszę powiedzieć mu, że wynik jest pozytywny.

— Czy to oznacza, że znaleźliście ciało w studni?

— Nie ma czego ukrywać. Wieść już się rozeszła.

— Kto to jest? Dziewczyna *au pair*?

— Wygląda, że tak.

— Biedactwo — westchnęła Elspeth. — Rzuciła się do studni, czy co?

— To nie było samobójstwo. Zabito ją nożem. To było zwyczajne morderstwo.

Po wyjściu matki z toalety Miranda odczekała chwilę. Potem, uchyliwszy drzwi, rozejrzała się ostrożnie. Otworzyła drzwi wiodące do ogrodu i pobiegła ścieżką wiodącą wokół podwórza na tyłach budynku, który niegdyś służył powozom, a obecnie został zamieniony na garaż. Przez małą furtkę, umieszczoną tu dla wygody pieszych, wydostała się na pobliską dróżkę. Nieopodal czekał samochód. Siedział w nim mężczyzna z nastroszonymi siwymi brwiami i siwą brodą. Miranda otworzyła drzwiczki, usiadła obok kierowcy i roześmiała się.

— Śmiesznie wyglądasz.

— Cieszymy się. Nic nie potrafi cię zatrzymać. Samochód ruszył dróżką, skręcił w prawo, potem w lewo, potem ponownie w prawo, wyjeżdżając na lokalną drogę.

— Jesteśmy na czas — powiedział mężczyzna z siwą brodą. — W odpowiednim momencie ujrzymy podwójny topór. Właśnie wtedy, gdy należy na niego patrzeć. No i płaskowyż Kilterbury. To piękny widok.

Jakiś samochód przemknął tak blisko, że wdusił ich niemal w żywopłot.

— Młodzi idioci — powiedział siwobrody.

Jeden z młodzieńców miał drugie, sięgające do ramion włosy i wielkie okrągłe okulary. Drugi miał bokobrody i był nieco podobny do Hiszpana.

— Nie sądzisz, że mama będzie się o mnie niepokoić? — spytała Miranda.

— Nie będzie miała na to czasu. Zanim zacznie się niepokoić, dotrzemy już tam, gdzie chcemy się znaleźć.

W Londynie Herkules Poirot podniósł słuchawkę telefonu. Usłyszał głos pani Oliver.

— Zgubiłyśmy Mirandę.

— Co pani przez to rozumie?

— Zatrzymałyśmy się na lunch w „Czarnym Chłopcu”. Poszła do łazienki i nie wróciła. Ktoś widział, jak odjechała ze starszym mężczyzną. Ale może to nie była ona. Mógł to być ktoś inny. To...

— Bez przerwy ktoś powinien z nią być. Żadna z was nie powinna spuszczać z niej oka. Mówiłem, że grozi niebezpieczeństwo. Czy pani Butler jest zdenerwowana?

— Oczywiście, że tak. Co pan sobie wyobraża? Szaleje i upiera się, aby dzwonić na policję.

— Tak, to oczywiste. Ja również zadzwonię.

— Ale dlaczego jakieś niebezpieczeństwo grozi Mirandzie?

— Nie wie pani? Powinna pani wiedzieć — dodał. — Znaleziono ciało. Właśnie się o tym dowiedziałem...

— Jakie ciało?

— Ciało leżące w studni.

Rozdział dwudziesty piąty

— Jak tu pięknie — powiedziała Miranda, rozglądając się wokół.

Pierścień Kilterbury, choć mało znany, był najpiękniejszym miejscem w okolicy. Ludzie odeszli stąd przed tysiącami lat. Do dziś sterczą tu i ówdzie megalityczne kamienie, mówiące o długiej historii rytualnych obrzędów.

— Po co przyciągnęli tu te wszystkie kamienie? — spytała Miranda.

— Z powodów rytualnych. Rytualnych obrzędów i rytualnych ofiar. Czy rozumiesz, Mirando, co oznacza ofiara?

— Myślę, że tak.

— Widzisz, ofiary muszą być składane. To ważne.

— Uważasz, że to nie jest rodzaj kary? To coś innego?

— Tak, to coś innego. Umierasz, aby inni mogli żyć. Umierasz, aby piękno mogło istnieć, aby ożyło. To bardzo ważne.

— Myślę, że może...

— Tak, Mirando?

— Myślę, że może ty powinieneś umrzeć, ponieważ zabiłeś kogoś.

— Co ci wpadło do głowy?

— Myślałam o Joyce. Nie umarłaby, gdybym jej czegoś nie powiedziała, prawda?

— Pewnie nie.

— Coś mnie dręczy od czasu śmierci Joyce. Prawda, że nie powinnam jej nic mówić? Ale tak chciałam mieć jakąś historię wartą opowiedzenia. Ona była w Indiach i wciąż opowiadała o tygrysach i słoniach obwieszonych złotymi draperiami, ozdobami i czaprakami. I nagle, myślę, że zbyt nagle, zapragnęłam, aby jeszcze ktoś wiedział o tym. Wiesz, przedtem jakoś o tym nie myślałam. Czy... czy to też była ofiara? — spytała.

— Swego rodzaju.

Pomyślawszy chwilę, spytała:

— Czy jeszcze nie pora?

— Słońce jeszcze nie jest w odpowiednim miejscu. Gdzieś za pięć minut promienie padną wprost na kamień.

Milcząc usiadła koło samochodu.

— Myślę, że to już — powiedział towarzysz Mirandy, spoglądając na niebo, gdzie słońce chyliło się ku linii horyzontu. — Co za wspaniała chwila. Nikogo wokół. Nikt o tej porze dnia nie wdrapie się na ten płaskowyż, aby podziwiać Pierścień Kilterbury. W listopadzie jest już za zimno na jeżyny. Najpierw pokażę ci podwójny topór. Znak podwójnego topora na kamieniu. Wyrzeźbili go tutaj przybysze z Myken lub z Krety setki lat temu. Czyż to nie cudowne, Mirando?

— Tak, wspaniałe — szepnęła Miranda. — Pokaż mi go.

Wspięli się na najwyższy gładz. Obok leżał inny, przewrócony, a nieco dalej jeszcze jeden pochylał się nad zboczem, jakby zgięty ciężarem stuleci.

— Czy jesteś szczęśliwa, Mirando?

— Tak, bardzo szczęśliwa.

— Tu mamy znak.

— Czy to naprawdę podwójny topór?

— Tak, choć nieco zatarty przez czas. To symbol. Połóż na nim rękę. A teraz wypijemy za minione i przyszłe piękno.

— Och, jak wspaniale — powiedziała Miranda. Towarzysz podał jej złoty kubek i z butelki nalał złotego płynu.

— Ma smak brzoskwiń. Wypij, Mirando, i staniesz się jeszcze szczęśliwsza.

Miranda podniosła poślacany kubek i powąchała.

— Tak, pachnie brzoskwiniami, ach, patrz na słońce. Jest naprawdę czerwone, jakby się miarło skryć na skraju świata.

Obrócił się w jej stronę.

— Unieś kubek i wypij.

Poruszyła się posłusznie. Jedną rękę trzymała wciąż na ledwo widocznym megalitycznym znaku. Jej towarzysz stanął obok. Poniżej szczytu pagórka, spod pochylonego nad stokiem kamienia wychynęły dwie zgięte wpół postaci. Kryjąc się, szybko podążyły na szczyt. Stojący na górze byli odwróceny plecami i niczego nie zauważyli.

— Pij za piękno, Mirando.

— Do diabła, nie rób tego! — usłyszała głos za sobą.

Różowa welwetowa marynarka spadła na głowę mężczyzny, a nóż został wytrącony z jego wolno wznoszącej się dłoni. Nicholas Ransom schwycił Mirandę i trzymając w mocnym uścisku, odciągnął od dwóch pozostałych osób, które zwały się w walce.

— Ty cholerna mała idiotko! — krzyknął Nicholas. — Przyszedłeś tu z tym zbzikowanym mordercą. Powinnaś wiedzieć, co robisz.

— Właśnie wiedziałam — odrzekła Miranda. — Chciałam się złożyć w ofierze, ponieważ to wszystko była moja wina. To z mojego powodu Joyce została zabita. Czyż nie byłoby słuszne, gdybym została ofiarowana? Byłby to rodzaj zabójstwa rytualnego.

— Nie gadaj głupstw o śmierci rytualnej. Znaleźli inną dziewczynę. Wiesz, tę *au pair*, co zginęła tak dawno. Chyba jakieś parę lat temu. Wszyscy myśleli, że uciekła, bo sfałszowała testament. Nigdzie nie uciekła. Jej ciało znaleźli w studni.

— Och! — Mirandzie wyrwał się okrzyk pełen udręki. — Chyba nie w studni marzeń? Nie w studni marzeń, której bez skutku szukałam? Och, nie chcę, aby ona była w studni marzeń. Kto ją tam wrzucił?

— Ten, kto cię tu przyprowadził.

Rozdział dwudziesty szósty

Po raz wtóry czterej mężczyźni zasiedli razem, spoglądając na Poirota. Timothy Raglan, nadinspektor Spence i naczelnik policji mieli minę kota, który czeka na spodeczek śmietanki. Na twarzy czwartego nadal malowało się niedowierzanie.

— A więc, *monsieur* Poirot — odezwał się naczelnik policji, przejmując w swoje ręce bieg zdarzeń i pozostawiając przedstawicielowi prokuratury rolę adwokata — obserwatora. — Jesteśmy tu wszyscy...

Poirot poruszył ręką. Inspektor Raglan wyszedł z pokoju i powrócił, prowadząc kobietę po trzydziestce, dziewczynkę i dwóch dorastających młodzieńców.

Przedstawił ich naczelnikowi policji.

— Pani Butler, jej córka Miranda, pan Nicholas Ransom i pan Desrnond Holland.

Poirot wstał i wziął Mirandę za rękę.

— Usiądź tutaj koło mamy, Mirando. Pan Richmond, który jest naczelnikiem policji, chce ci zadać kilka pytań. Chce, abyś na nie odpowiedziała. Dotyczy tego, co widziałaś ponad rok, niemal dwa lata temu. Wspomniałaś o tym komuś i, o ile wiem, tylko jednej osobie. Czy tak było?

— Powiedziałałam Joyce.

— Co jej dokładnie powiedziałaś?

— Że widziałam morderstwo.

— Czy jeszcze coś?

— Nie, ale myślę, że Leopold odgadł wszystko. Podśluchiwał. Wie pan, pod drzwiami. Robił takie rzeczy. Lubił znać sekrety innych.

— Słyszałaś o tym, że Joyce Reynolds po południu w przeddzień przyjęcia w wieczór Halloween oświadczyła, że to ona widziała, jak popełniono morderstwo. Czy to była prawda?

— Nie. Powtarzała to, co jej powiedziałam, udając, że to jej się przydarzyło.

— Powiedz nam teraz, co naprawdę widziałaś.

— Najpierw nie wiedziałam, że to było morderstwo. Myślałam, że zdarzył się wypadek. Myślałam, że ona skądś spadła.

— Gdzie to było?

— W Quarry Garden, w dziurze, gdzie była fontanna. Siedziałam między gałęziami drzewa. Oglądałam wiewiórki, a wtedy trzeba siedzieć bardzo spokojnie, bo uciekną. Wiewiórki są bardzo płochliwe.

— Powiedz nam, co widziałaś.

— Mężczyzna i kobieta podnieśli ją i ponieśli ścieżką. Myślałam, że zabierają ją do szpitala albo do Quarry House. Nagle kobieta stanęła, powiedziała: „Ktoś nas obserwuje” i spojrzała na moje drzewo. Wtedy się przestraszyłam. Siedziałam cichutko. Mężczyzna powiedział: „Nonsens” i poszli dalej. Widziałam na chuście krew i zakrwawiony nóż, i pomyślałam, że może ktoś chciał się sam zabić, i siedziałam bardzo cicho.

— Dlatego, że się bałaś?

— Tak, ale nie wiedziałam dlaczego.

— Mamie nic nie powiedziałaś?

— Nie. Myślałam, że może nie powinnam tam siedzieć i przypatrywać się. A następnego dnia nikt nie mówił nic o żadnym wypadku i o wszystkim zapomniałam. Nigdy o tym nie myślałam, aż...

Urwała nagle. Naczelnik policji otworzył usta, ale nie odezwał się. Spojrzał na Poirota, wykonując lekki gest.

— Aż co się stało, Mirando?

— Było tak, jakby wszystko zdarzyło się znowu. Wtedy siedziałam cichutko za krzakiem, patrząc na zielonego dzięcioła.

I tych dwoje znów przyszło, rozmawiając o wyspie, o greckiej wyspie. Ona powiedziała mniej więcej tak: „Wszystko już podpisane. Jest nasza. Możemy tam jechać, gdy tylko zechcemy. Ale lepiej wciąż działać powoli i nie wywoływać wilka z lasu”. Wtedy dzięcioł odleciał i ja się poruszyłam. Ona powiedziała: „Cicho, uspokój się, ktoś nas obserwuje”. To było zupełnie tak jak kiedyś i miała ten sam wyraz twarzy, i ja znów się przestraszyłam, i przypomniałam sobie. I teraz już wiedziałam. Wiedziałam, że wtedy widziałam morderstwo i że to trupa nieśli gdzieś, aby go ukryć. Wie pan, już nie byłam dzieckiem. Wiedziałam, co to musi znaczyć: krew, nóż i bezwładne, wiotkie ciało.

— Kiedy to było? — spytał naczelnik policji. — Jak dawno temu?

Miranda zastanowiła się przez chwilę.

— Pod koniec marca, tuż po Wielkanocy.

— Czy możesz, Mirando, na pewno powiedzieć, kim byli ci ludzie?

— Oczywiście, że mogę — odpowiedziała zmieszana Miranda.

— Czy widziałaś ich twarze?

— Oczywiście.

— Kto to był?

— Pani Drake i Michael...

Nie było to dramatyczne oświadczenie. Jej głos był spokojny i pełen przekonania, choć z odcieniem niepokoju. Odezwał się naczelnik policji.

— Nic nikomu nie mówiłaś. Dlaczego?

— Myślałam, że to mogła być ofiara.

— Kto o tym mówił?

— Michael mówił, że ofiary są konieczne.

— Kochałaś Michaela? — łagodnie spytał Poirot.

— O, tak — odpowiedziała Miranda. — Bardzo go kochałam.

Rozdział dwudziesty siódmy

— A teraz, kiedy wreszcie pana tu sprowadziłam — powiedziała pani Oliver — chcę się wszystkiego dowiedzieć. — Spojrzała na Poirota z determinacją i spytała ostro: — Dlaczego nie przyszedł pan wcześniej?

— Proszę przyjąć moje przeprosiny, *madame*, ale byłem bardzo zajęty, asystując policji w poszukiwaniach.

— To mogli zrobić tylko kryminaliści. Co, na Boga, spowodowało, że zaczął pan podejrzewać, iż Rowena Drake jest w to wmieszana? Nikomu to nawet przez myśl nie przeszło.

— Było to proste od czasu, gdy dostrzegłem najważniejszy klucz.

— Co pan nazywa najważniejszym kluczem?

— Wodę. Szukałem kogoś, kto był mokry, choć nie powinien. Ktokolwiek zabił Joyce Reynolds, musiał się zamoczyć. Gdyby trzymała pani w wiadrze z wodą głowę pełnego wigoru dziecka, walczącego i chlapiącego dookoła, musiałaby pani zostać zmoczona. A zatem ten ktoś musiał podać niewinny powód swojego zmożenia. Kiedy wszyscy tłoczyli się w jadalni, chwytając płonące rodzynki, pani Drake zabrała Joyce do biblioteki. Jeżeli gospodyni gdzieś panią zaprasza, naturalnie idzie tam pani. I oczywiście Joyce o nic panią Drake nie podejrzewała. Miranda powiedziała jej jedynie, że kiedyś widziała, jak popełniono morderstwo. Tak więc Joyce została zabita, a jej morderczyni porządnie zmoczona. Trzeba to było jakoś wyjaśnić i pani Drake sfingowała powód. Potrzebowała świadka, który by zobaczył, jak się zmoczyła. Czekąca na podeście z olbrzymim, wypełnionym wodą wazonem kwiatów.

Po niedługim czasie panna Whittaker wyszła z pokoju, gdzie płonęły rodzynki, ponieważ było tam za gorąco. Pani Drake udała nerwowy ruch i upuściła wazon tak, aby oblała ją woda. Zbiegła potem ze schodów i razem z panną Whittaker zebrała kwiaty i kawałki szkła, narzekając, że straciła tak piękny wazon. Udało się jej sprawić na pannie Whittaker wrażenie, że zobaczyła kogoś wychodzącego z pokoju, gdzie zostało popełnione morderstwo. Panna Whittaker przyjęła wszystko za dobrą monetę, ale gdy wspomniała o tym pannie Emlyn, ta od razu uświadomiła sobie, co w tym tkwiło naprawdę interesującego. Nacisnęła na pannę Whittaker, aby mi opowiedziała tę historię. Tak więc — ciągnął Poirot, podkreślając węża — ja również wiedziałem, kto zamordował Joyce.

— A Joyce naprawdę nie widziała nigdy żadnego morderstwa!

— Pani Drake o tym nie wiedziała. Ale zawsze podejrzewała, że gdy wraz z Michaeliem Garfieldem zamordowała Olę Seminoff, ktoś był w Quarry Wood i mógł wszystko zobaczyć.

— Kiedy dowiedział się pan, że to była Miranda, a nie Joyce?

— Gdy tylko zdrowy rozsądek zmusił mnie do zaakceptowania ogólnej opinii, że Joyce była kłamczuchą. Wówczas wszystko wskazało na Mirandę. Często bywała w Quarry Wood, obserwując ptaki i wiewiórki. Jak mi powiedziała, Joyce była jej najbliższą przyjaciółką. Powiedziała: „Mówiliśmy sobie wszystko”. Mirandy nie było na przyjęciu i impulsywna kłamczucha Joyce mogła posłużyć się historią przyjaciółki tak, jakby sama widziała kiedyś morderstwo. Zapewne zrobiła to, aby wyrzucić wrażenie na pani, znanej autorce powieści kryminalnych.

— To prawda. Wszystko to spada na mnie.

— Ależ nie.

— Rowena Drake — zadumała się pani Oliver. — Wciąż nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ona.

— Miała wszystkie potrzebne cechy. Zawsze mnie ciekawiło — dodał — jaką naprawdę kobietą była lady Makbet. Jaka by była, gdybyśmy ją spotkali naprawdę? Tak, sądzę, że ją spotkałem.

— A Michael Garfield? Wydają się tak nieprawdopodobną parą.

— To ciekawe. Lady Makbet i Narcyz to niezwykła kombinacja.

— Lady Makbet — pani Oliver mruzczała w zamyśleniu.

— Była ładną kobietą, sprawnie działającą i kompetentną, urodzoną administratorką i nadszpiegowaniem dobrą aktorką. Powinna pani ją słyszeć, lamentującą nad śmiercią biednego, małego Leopolda, szlochającą i wylewającą wielkie łzy w suchą chusteczkę.

— To wstrętne.

— Czy pamięta pani, że pytałem, kto pani zdaniem jest nieprzyjemnym człowiekiem?

— Czy Michael Garfield był w niej zakochany?

— Wątpię, aby kiedykolwiek kochał kogoś prócz siebie. Chciał pieniędzy, mnóstwa pieniędzy. Być może na początku wierzył, że uda mu się spowodować, aby pani Llewellyn-Smythe na tyle zwariowała na jego punkcie, aby uczynić go swoim spadkobiercą, ale pani Llewellyn-Smythe nie była taka naiwna.

— A co z fałszerstwem? Tego wciąż nie rozumiem. O co tu chodziło?

— Najpierw mi to zamieszało w głowie. Można powiedzieć, że było zbyt wiele fałszerstw. Ale kiedy się zastanowiłem, cel tego stał się dla mnie jasny. Musi pani jedynie rozważyć, co się naprawdę zdarzyło.

— Fortuna pani Llewellyn-Smythe przechodziła na panią Drake. Pokazany kodycył był sfałszowany w sposób tak oczywisty, że żaden prawnik nie dałby się nabrać. Byłby oprotestowany i obalony na podstawie świadectwa ekspertów, a właściwy testament pozostałby w mocy. Rowena Drake odziedziczyłaby wszystko, gdyż jej mąż niedawno zmarł.

— Ale co z kodycylem, który poświadczała sprzątaczką?

— Domyślam się, że pani Llewellyn–Smythe odkryła, że Michael Garfield i Rowena Drake byli kochankami jeszcze przed śmiercią pana Drake’a. W gniewie sporządziła kodycył, pozostawiając wszystko swojej dziewczynie *au pair*. Zapewne dziewczyna opowiedziała o tym Michaelowi, mając nadzieję wyjść za niego za mąż.

— Myślałam, że chodziło o młodego Ferriera!

— To pozornie prawdziwa historyjka, opowiedziana mi przez Michaela. Nic tego nie potwierdza.

— Jeżeli więc wiedział, że istnieje prawdziwy kodycył, dlaczego nie ożenił się z Olgą, zdobywając w ten sposób pieniądze?

— Ponieważ nie był pewien, czy ona je rzeczywiście otrzyma. Istnieje coś takiego jak czyjś „nieodpowiedni i nadmierny” wpływ. Pani Llewellyn–Smythe była starą i chorą kobietą. Wszystkie poprzednie testamenty były na korzyść jej własnej rodziny; dobre, rozsądne testamenty, które sąd może zatwierdzić. Cudzoziemka była u niej dopiero od roku i nie miała prawa spodziewać się czegokolwiek. Ten kodycył, nawet prawdziwy, mógł być obalony. Oprócz tego wątpię, aby Olga mogła załatwić zakup greckiej wyspy i czy w ogóle miałyby na to ochotę. Nie miała żadnych wpływowych przyjaciół ani kontaktów w kołach biznesu. Była zainteresowana Michaelem, ale wiązała z nim widoki na małżeństwo, które pozwoli jej osiąść w Anglii. Oto, do czego dążyła.

— A Rowena Drake?

— Była zaślepiona. Przez lata jej mąż był inwalidą. Była w średnim wieku, lecz kobiecość w niej wrzała i oto w jej otoczeniu pojawił się młody mężczyzna rzadkiej urody. Zakochała się od razu, ale on pożądał nie pięknej kobiety, lecz urzeczywistnienia pragnienia tworzenia piękna. A na to potrzebował pieniędzy, dużo pieniędzy. A co do miłości, kochał tylko siebie. Był Narcyzem. Przypomina mi się stara francuska pieśń, którą słyszałem wiele lat temu... Zanucił miękko:

Regarde, Narcisse

Regarde dans l ‘eau

Regarde, Narcisse, que tu es beau

Il n’y a au monde

Que la Beaute

Et la Jeunesse,

Helas! Et la Jeunesse...

Regarde, Narcisse...

— Nie mogę uwierzyć, po prostu nie mogę uwierzyć, aby ktoś mógł popełnić morderstwo tylko po to, aby założyć ogród na greckiej wyspie — powiedziała pani Oliver z niedowierzaniem.

— Nie może pani? Nie potrafi pani sobie wyobrazić, jak to wszystko w myślach wyhodował? Nagie skały, lecz dające nieograniczone możliwości kreowania. Ziemia, całe statki żyznej ziemi do przykrycia nagiego kamienia szkieletu, a potem rośliny, nasiona krzewów, drzewa. Zapewne czytał w gazetach o milionerze — armatorze, który stworzył wyspę — ogród dla ukochanej kobiety, i przyszło mu na myśl, że mógłby stworzyć ogród nie dla kobiety, lecz dla siebie.

— Wciąż wydaje mi się to szaleństwem.

— Oczywiście. Jednak wszystko to zdarzyło się naprawdę. Wątpię, czy Michael kiedykolwiek pomyślał, że motyw jego działania jest wstrętny. Sądził, że to konieczne do tworzenia piękna. Oszalał na punkcie tworzenia. Piękno Quarry Wood, piękno innych ogrodów, które rozplanował i założył, a teraz wymyślił coś więcej: całą wyspę piękna. I znalazła się zaślepiona Rowena Drake. Miała dla niego znaczenie jedynie jako źródło pieniędzy do tworzenia piękna. Tak, zapewne oszalał. Kogo Bóg chce zgubić, odbiera mu rozum.

— Czy naprawdę tak bardzo pragnął owej wyspy? Nawet z Roweną Drake uwiązaną u szyi? Rządzącą nim przez cały czas?

— Mógł się zdarzyć jakiś wypadek. Myślę, że coś by się pani Drake wkrótce przytrafiło.

— Jeszcze jedno morderstwo?

— Tak. Zaczęło się bardzo prosto. Trzeba było usunąć Olgę, bo wiedziała o kodycyli. Wyznaczono jej rolę kozła ofiarnego, napiętnowanego za fałszerstwo. Pani Llewellyn–Smythe ukryła oryginalny dokument, więc sądzę, że opłacono młodego Ferriera, aby sporządził podobny, fałszywy. Miał być sfalszowany w sposób tak oczywisty, aby od razu wzbudził podejrzenia. To przypieczętowało wyrok śmierci także na niego. Wkrótce upewniłem się, że nie miał żadnych schadzek ani przygód miłosnych z Olgą. To właśnie sugerował mi Michael Garfield, ale myślę, że to on opłacał Lesleya. To on zdobywał uczucie dziewczyny *au pair*, jednocześnie ostrzegając ją, aby milczała na ten temat i nie mówiła nic swojej chlebodawczyni. Wspominając jej o przyszłym małżeństwie, jednocześnie z zimną krwią przeznaczał jej rolę ofiary potrzebnej jemu i Rowenie Drake do zdobycia pieniędzy. Nie było konieczne, aby Olga Seminoff była oskarżona o fałszerstwo i skazana. Wystarczyło, aby była o to tylko podejrzana. Fałszerstwo przynosiło jej korzyść. Mogła go z łatwością dokonać, gdyż były dowody, że kopiowała odręczne pismo swojej pani, i gdyby nagle zniknęła, można było przypuścić, że była zamieszana nie tylko w fałszerstwo, lecz z dużym prawdopodobieństwem również w nagłą śmierć pani Llewellyn–Smythe. A więc w odpowiednim momencie Olga Seminoff zakończyła życie. Śmierć zabitego nożem Lesleya Ferriera określono jako wewnętrzne rozliczenia gangu czy zemstę zazdrosnej kobiety. Ale nóż znaleziony w studni pasował świetnie również do jego ran. Wiedziałem, że ciało Olgi musi być ukryte gdzieś w okolicy, ale nie miałem pojęcia, gdzie — aż do momentu, gdy usłyszałem, jak pewnego dnia Miranda, poszukując studni marzeń, nalegała na Michaela Garfielda, aby ją wskazał. Odmówił. Wkrótce potem,

rozmawiając z panią Goodbody, wspomniałem, że ciekawi mnie, gdzie zniknęła ta dziewczyna. Odpowiedziała: „Gdy będziemy brudni, wskoczmy do studni, raz, dwa, trzy, pierwszy ty”. Wówczas upewniłem się, że ciało dziewczyny wrzucono do studni. Odkryłem, że znajdowała się w lesie, w Quarry Wood, na stoku, niedaleko domku Michaela Garfielda, i pomyślałem, że Miranda mogła widzieć albo samo morderstwo, albo pozbywanie się ciała później. Pani Drake i Michael obawiali się, że ktoś ich widział, ale nie mieli pojęcia, kto to mógł być, i ponieważ nic się nie działo, opanował ich błogi spokój. Realizowali swoje plany. Nie śpiesząc się, dążyli do celu. Ona wspominała o kupieniu kawałka ziemi za granicą, dając ludziom do zrozumienia, że zamierza opuścić Woodleigh Common. Zbyt wiele przykrych skojarzeń odnawiało jej żal po śmierci męża. Wszystko szło jak najlepiej i wtem nastąpił szok, gdy podczas przyjęcia w wieczór Hallowe'en Joyce oświadczyła, że była świadkiem morderstwa. Więc teraz Rowena wiedziała lub tylko sądziła, że wie, kto był tamtego dnia w lesie. Działała szybko. Lecz przyszły następne kłopoty. Mały Leopold zażądał pieniędzy. Jak powiedział, chciał sobie kupić różne rzeczy. Nie było pewne, co wiedział lub odgadł, ale był bratem Joyce, a zatem można było przypuszczać, że naprawdę coś wie. A więc i on zakończył życie.

— Ją podejrzewał pan z powodu wody — powiedziała pani Oliver. — Dlaczego zaczął pan podejrzewać Michaela Garfielda?

— Pasował do tego — stwierdził Poirot po prostu. — Po ostatniej rozmowie z nim byłem już pewny. Śmiejąc się powiedział do mnie: „Nie nękać mnie dłużej, Szatanie. Idź i przyłącz się do swych policyjnych przyjaciół”. Wtedy nabrałem pewności. Było akurat odwrotnie. Powiedziałem do siebie: „Odchodzę i pozostawiam cię, Szatanie”. Szatan tak młody i piękny, jak Lucyfer ukazujący się śmiertelnym...

W pokoju była jeszcze jedna kobieta, dotychczas siedząca spokojnie. Teraz poruszyła się na krześle.

— Lucyfer — powtórzyła. — Tak, teraz rozumiem. Zawsze był taki.

— Był piękny i kochał piękno — powiedział Poirot. — Piękno, które tworzył swym umysłem, wyobraźnią i rękoma. Dla niego poświęciłby wszystko. Myślę, że po swojemu kochał Mirandę, ale był gotów poświęcić ją, aby ocalić siebie. Zaplanował jej śmierć bardzo starannie, uczynił z tego rytuał i, o ile to było możliwe, wpoił jej odpowiednie przekonania. Miała zawiadomić go, gdyby opuszczała Woodleigh Common. Zgodnie z jego poleceniem miała się z nim spotkać w gospodzie, w której panie zatrzymały się na lunch. Później zostałaby znaleziona w Pierścieniu Kilterbury, obok znaku podwójnego topora, ze złotą czarą u boku: ofiara rytualna.

— Szaleństwo — powiedziała Judith Butler. — Musiał oszaleć.

— *Madame*, pani córka jest bezpieczna, lecz jest coś, co bardzo chciałbym wiedzieć.

— Myślę, że może pan zadać każde pytanie, na które potrafię odpowiedzieć, *monsieur Poirot*.

— Miranda jest pani córką. Czy jest również córką Michaela Garfielda?

Judith, po chwili milczenia, odpowiedziała: — Tak.

— Ale ona o tym nie wie?

— Nie. Nie ma o tym pojęcia. Spotkanie z nim tutaj było czystym przypadkiem. Znałam go jako młoda dziewczyna. Zakochałam się do szaleństwa, a potem... A potem zaczęłam się bać.

— Bać?

— Tak. Nie wiem dlaczego. Nie tego, co mógłby zrobić, nie, nic takiego. Zaczęłam się bać jego natury. Jego łagodności kryjącej chłód i brak litości. Bałam się nawet jego umiłowania piękna i pasji tworzenia. Nie powiedziałam mu, że będę mieć dziecko. Opuściłam go, odjechałam i urodziłam Mirandę. Wymyśliłam historię o mężu lotnika zabitym w katastrofie. Przeprowadzałam się niemal bez przerwy. Do Woodleigh Common trafiłam prawie przez przypadek. Przez pewne kontakty mogłam w Medchester znaleźć pracę sekretarki. I oto pewnego dnia przyjechał tutaj Michael Garfield, aby podjąć pracę w Quarry Wood. Właściwie nie przywiązywałam do tego wagi. On również. Wszystko zdarzyło się tak dawno. Lecz później, choć nie zdawałam sobie sprawy, jak często Miranda przebywa w Quarry Wood, zaczęłam się niepokoić...

— Tak — rzekł Poirot — między nimi istniała więź. Coś ich do siebie ciągnęło. Zauważyłem ich podobieństwo, lecz Michael Garfield, piękny następca Lucyfera, nosił w sobie diabła, a pani córka niewinność i mądrość bez szatańskich domieszek.

Podszedł do biurka i wziął kopertę. Wyciągnął z niej delikatny, ołówkowy rysunek.

— Pani córka — powiedział.

Judith spojrzawszy zobaczyła podpis: „Michael Garfield”.

— Rysował ją nad strumieniem w Quarry Wood — poinformował Poirot. — Jak powiedział, rysował, aby nie zapomnieć. Obawiał się, że zapomni, a jednak nie mogło go to powstrzymać przed zabójstwem.

Wskazał na słowa nakreślone ołówkiem w górnym lewym rogu.

— Czy może pani odczytać?

Przeliterowała powoli.

— Ifigenia.

— Tak, Ifigenia — powtórzył Poirot. — Agamemnon poświęcił swą córkę Ifigenię, aby sprzyjający wiatr pozwolił jego okrętom dopłynąć do Troi. Michael poświęciłby swą córkę, aby osiąść nowy Grecki Raj.

— Wiedział, co robi — powiedziała Judith. — Ciekawe, czy kiedykolwiek odczuwał żal?

Poirot nie odpowiedział. Przed oczyma stanęła mu postać młodego mężczyzny o klasycznej urodzie, leżącego obok megalitycznego kamienia ze znakiem podwójnego topora. Martwe palce wciąż zaciskał na złotej czarze, którą schwycił i wychylił, gdy zobaczył, że sprawiedliwość wydziera mu ofiarę, a jego samego postawi przed swym obliczem.

Taki był koniec Michaela Garfielda. Śmierć pasowała do życia, pomyślał Poirot, ale niestety jedna z wysp na Morzach Greckich nie stanie się kwitnącym ogrodem...

Zamiast tego pozostanie żywa, młoda i piękna Miranda.

Podniósł rękę Judith i ucałował ją.

— Do widzenia, *madame*. Proszę wspomnieć o mnie swojej córce.

— Powinna zawsze pamiętać o panu i o tym, co panu zawdzięcza.

— Lepiej nie. Niektóre wspomnienia lepiej zagrzebać w pamięci.

Podszedł do pani Oliver.

— Dobranoc, *madame*. Lady Makbet i Narcyz. To wyjątkowo interesujące. Muszę podziękować za zwrócenie mojej uwagi na tę sprawę...

— W porządku — powiedziała pani Oliver rozgoryczonym głosem. — Zawsze ja jestem wszystkiemu winna!

* Eleven Plus — egzamin zdawany po skończeniu jedenastu lat

* *franc.* Tym samym

* *franc.* woda życia

* Pośledniejszy typ angielskiej szkoły średniej.

* *ang. shandy* — piwo zmieszane z piwem imbirowym lub lemoniadą

* *franc.* pomoc domowa

* *cod, codfish* — wątuś, sztokfisz — gatunki ryb morskich z rodziny *Gadidae*.

* *franc.* Rozumie pan, to oznacza kłopoty

* *ang. hell* — piekło

* *ang.* daktyle, ale też daty

* *franc.* ścieżka, droga

* *franc.* wszystko razem

* *franc.* zadomowiony

* *franc.* Spójrz Narcyzie / Spójrz w wodę / Spójrz, Narcyzie, jaki jesteś piękny / Niestety, na świecie jest tylko piękno / młodość